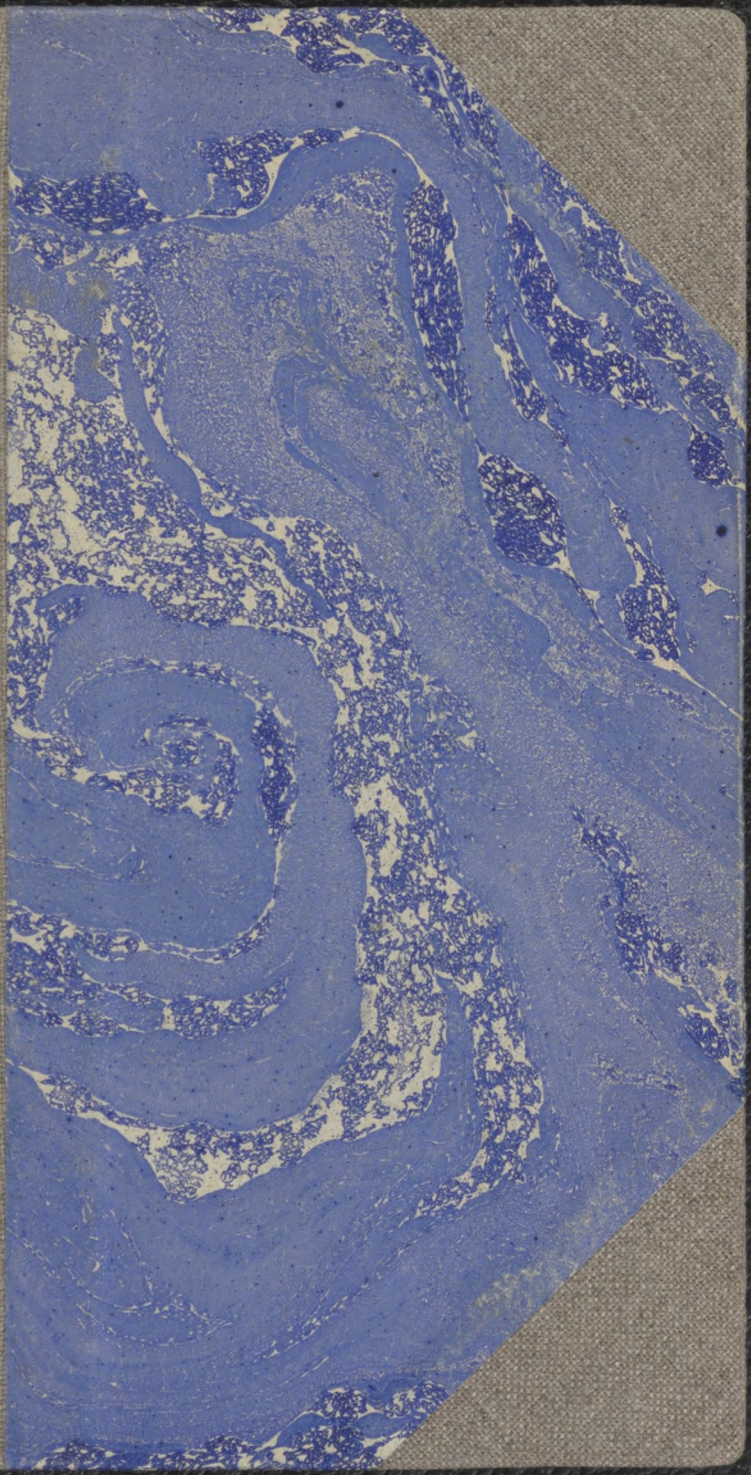

34 128614 956

81B

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

Or 25 yp 956

SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Powieść Szósta.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1841 roku 15 Lutego.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radzca Kollegialny i Kawaler JAN WASZKIEWICZ.

BIBLIOTEKA NARODOWA

J.128.614

1953 W370/469

Preot Ioan Hondin

CZTÉRY WESELA.

SZKIC FANTASTYCZNY.

WYDANIE DRUGIE POPRAWNE.

TOM I.

WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI
Ambasady [illegible] Bukareszcie
№ 956

Kilka słów Autora.

Powieść, którą teraz poprawną po raz drugi drukujem, urodziła się za naszych lat młodych, wśród akademickiego jeszcze życia. Różne były o niéj, różnych sądy, i my sami powiedzieliśmy nawet zdanie swoje w wędrówkach literackich. Ono powinno wytłumaczyć, dla czego powtórnie oddajem ją pod prassę; ze wszystkiemi bowiem wadami układu i wykonania, jakie w niéj widzim najpierwsi, mamy słabość dla tego utworu lat młodszych. Znaleźli się także łaskawi, którzy tę słabość mieli za wytłumaczoną; a powieści drugiego wydania życzyli. To nas spowodowało do powtórnego przejrzenia jéj i włączenia w zbiór nowszych

powieści. Wyczerpanie piérwszéj edycij, która jak wiadomo, niesłychanie była zaniedbana, na oko brzydka i błędna; przyczyniło się także do tego. (Wyszły Cztéry Wesela *piérwszy raz u A. Dworca r. 1834 w Wilnie, w osemce,* na bibule).

Musiemy tu choć słówko powiedzieć, przeciw zarzutom powszechnym ze strony kobiét, które w téj powieści znalazłszy crimen lesae majestatis femininae; *osądziły ją razem z jéj autorem na ogień. Zdaje się nam, że kilka indywiduow wystawionych w ciągu powieści, nic nie dowodzą przeciw całéj płci; one są jak zwyczajnie w powieściach wyjątkami excentrycznemi. Nigdzie nie powiada autor, żeby wszystkie szanowne czytelniczki podobne Julij być miały, od czego* Boże *je uchowaj! Gdy więc która z pań szeroko się rozwodzić zaczyna; gotów autor mniemać, że to są odzywające się za uderzeniem w stół, nożyce. Zarzucano także, iż charakter Julij jest przesadzony, nienaturalny; autor zaś zaręcza, że gdyby go naturalniejszym chciał uczynić, jeszcze by się bardziéj przesadzonym wydawał. Pięknie jest bardzo nie wierzyć w zło; ale gdy ono w oczy*

skacze, trudno znowu nie widzieć. Ileż to Julij żywych i zdrowych chodzi po świecie! Zresztą nie mogą szanowne czytelniczki zarzucać autorowi, jakiegoś sprzysiężenia się na ich płeć całą; gdyż ta sama powieść dowodzi, że i swoich współbraci nie oszczędzał. Świadkami są pan Adolf, pan Alexy, pan Djonizy, pan Sędzia i cała kompanija.

A zatém szanowne panie, raczą ferowany na autora dekret, cofnąć, jako widocznie ze zbytecznem uczuciem a niewielką rozwagą ogłoszony.

Gródek—Lipiec 1840.

J. I. Kraszewski.

I.

I.

Umierająca.

— Czy ja mam jechać po Xiędza?

—Niech jedzie ktokolwiek, ty, drugi — co mi do tego, byle prędzéj jechał! Proszę i wołam od pół godziny, ażeby też który do téj pory raczył się domyślić, że wszystko jedno, czy ten, czy drugi pojedzie, byle prędzéj! Wiecie że pan słowa do nikogo przemówić z żalu nie może, że ja chodzę jak odurzony, i przychodzicie mi obijać głowę, pytając sto razy o jedno!

—Ale bo panie! — bo to, bo to, bo, kiedy pan każe, to już ja pojadę.

BIBLIOTEKA NARODOWA

—No to jedźże gamoniu, a nie czekaj, żebym cię sam wziąwszy za kark na koń wsadził. Właśnie tak samo było, kiedym po doktora posyłał.

— Ale ja jadę.

— A czegoż stoisz tu jeszcze? Bierz konia, leć na łeb, na szyję, choćbyś go miał w śmierć zamęczyć. Przecież to niedaleko, mili podobno niema?

— Tak! o! mili niema! niema panie mili — ale co droga to droga, same roztopy, grzęzawica. Ja chciałem jechać na gniadym, ale gniady kula trochę, i na przednie nogi tak słaby, że pozawczoraj Maciéj jadąc po lekarstwo, omało —

— Dajże mi pokój! weź sobie jakiego chcesz, weź mojego, weź dwa — a jedźże z lichem prędzéj.

— Ruszam panie — ale —

— Jeszcze co?

— Siodło panie fornalskie u rymarza, a oklep to ja —

— Weź moje — Jedźże — Jeszcze stoisz?

— Hę, hę — Bo to widzi pan jakoś — dziś z przeproszeniem, uroczyste święto — żeby *kwandransik* poczekać, toby słońce zaszło.

— Głupiec! Widzę że się do jutra nie wybierzesz! Pójdźże precz — Konia! Ja sam pojadę!

— Iij panie — ee — toż ja jadę, toż ja jadę, zaraz, ot siadam. Cóż robić!

To mówiąc powoli wyszedł służący, skrobiąc się w zafrasowaną głowę, a młody Adolf został sam jeden, miotany najokropniejszą niespokojnością.

Kto z was miał matkę, kto czuł to przywiązanie syna, silne, nieprzełamane; ten pojmie całą okropność chwili, w któréj blizki stracenia jedynéj istoty, nieodzyskanéj całém życiem, niezastąpionéj nikim; syn, jak dusza konającego, wahał się między dwóma światami, patrząc na blizki jéj koniec.

Adolf wyszedł z przedpokoju, gdzie piérwsza scena téj powieści odbyła się, i zbliżył się do drzwi uchylonych nieco. Przez nie widać było zasłonione firankami ciemnemi okna, w głębi pokoju łóżko. Przy łożu siedział z jednéj strony lekarz, z drugiéj smutny starzec, z głową wspartą na ręku. Cichość panowała głęboka. Wszedł Adolf na palcach; lekarz i starzec obrócili się ku niemu. On z cicha przybliżył się

ku łożu, i stanął wryty spójrzawszy na bladą twarz choréj, zapadłe lecz mocno jeszcze jaśniejące jéj oczy, pierś wznoszącą się częstym i ciężkim oddechem.

Lekarz po chwilce ziewnął szeroko, zaraźliwie, splunął i spójrzał na zegarek; potém wstał, zbliżył się do stoliczka, w głowach łoża stojącego, nalał kubek lekarstwa, i poszedł z nim do choréj. Ujął ją lekko za rękę, podniosł nieco w górę głowę z poduszką, podał napój. Ona usiłowała sama pochwycić kubek zwiędłemi palcami, poniosła do ust, wypiła chciwie, wstrząsnęła się i w milczeniu nazad oddała naczynie. Potém głowa i poduszki znowu zwolna opadły.

Adolf patrzał na to, oczy miał kolejno wlepione, to w chorą, to w lekarza, to w ojca; a twarz jego była blada, i zachowywała jeden po wszystkich rysach przeciągnięty, i jakby wyklejony w nich wyraz głębokiéj wewnętrznéj boleści.

Lekarz po cichu szeptał cóś do choréj, dawał jéj wąchać flaszeczki, ruszał ramionami nieznacznie, i słuchał jak ona odpowiadała półgłosem, przerywanemi duszącym oddechem

słowy, w których dla tego tylko był związek, kto przygotowany i zastosowany do stanu jéj duszy, znał już alfabet języka tego, jego tajemnicze znaki, dla zdrowych, szczęśliwych, zimnych i obojętnych, tak niepojęte, jak hieroglif dla poprzedników Champolliona.

Adolf patrzał długo na matkę, potém ocierając łzy płynące z oczów, wyszedł po cichu, i w drugim pokoju usiadł pod oknem. Zwrócił oczy, patrzał w dziedziniec, patrzał i widział tyle, ile widzi trup z wytrzeszczoném okiem; bo dusza jego nie była przy oczach.

Kilka osób przeszło przez pokój, on nikogo nie widział, na nic nie uważał, cały zamknięty w sobie. Wtém kobieta młoda, ubrana w salopę, kapelusz i chustkę obszerną, ukazała się we drzwiach, i widząc go dumającego, na palcach ostrożnie podeszła. Z politowaniem spójrzała na niego, a chcąc z gorzkich rozmyślań obudzić, wzięła go powoli za rękę. Adolf tém dotknięciem wrócony do rzeczywistego świata, obrócił się szybko, spójrzał wielkiemi oczyma, uśmiechnął się półuśmiechem, ukłonił nieśmiało, ale niedość jeszcze zebrał myśli, aby mógł choć słowo wymówić.

— Jak się ma matka twoja? zapytała kobiéta.

Adolf milczał.

— Mówiono mi że lepiéj?

Adolf westchnął tylko.

— Przyjechałam umyślnie, mówiła daléj z słodyczą kobiéta, przyjechałam sądząc że moje odwiedziny rozerwą was trochę. Mówiono mi bowiem, że ojciec twój i ty panie Adolfie, bez przyczyny nadto rospaczacie.

—Jakto bez przyczyny! rzekł smutnie Adolf.

— Możnaż tak prędko, tak łatwo tracić nadzieję?

Adolf pochwycił ją za rękę, w oczach jego smutny jakiś zapał błysnął, na twarzy rozlał się wyraz dwoistego, walczącego z sobą nieokreślonego uczucia.

— Jam dawno wszystkie stracił nadzieje! rzekł po chwilce — żadna mi nie dotrzymała, wszystkie zdradziły. A gdy to mówił, oczy jego wlepione były w niebieskie oczy kobiéty, w których zdawał się szukać odpowiedzi, zaprzeczenia. Ona, zdawała się pomięszana, jak ten, kogoby złapano z romansem, zamiast kantyczek w kościele; nie odpowiedziała mu ani słowa, wyrwała z lekka rękę, i poszła powolnie

ku drzwiom pokoju choréj, a za nią pociągnął się smutny wzrok Adolfa.

Cicho było, — gdy weszła nikt się nie ruszył, po chwili dopiero głos stłumiony, jakby z niezasypanego jeszcze wychodzący grobu, odezwał się.

— To ty Matyldo?

— Ja, odpowiedziała przybyła.

Potém, zmieszał się razem głos kobiéty z głosem starca i lekarza, ale nie można było rozmowy wyrozumieć, jak muzyki, w któréj każdy gra co innego, a wszyscy się tłumią. Potém słychać znów było głos choréj.

— Czy dawno tu jesteś?

— Tylko co przybyłam.

— Bóg ci zapłać, moja droga, żeś o mnie umierającéj nie zapomniała, ja o tobie na tamtym świecie nie zapomnę.

Otworzyły się drzwi przedpokoju, Adolf podniosł głowę; widział, ale spytał dla tego.

— Kto tam?

— To ja, przebąknął dziecinny głosek, i wszedł żwawo mały chłopczyna, od lat ośmiu, spotniały, czerwony, zmęczony, z łukiem w ręku.

— Cicho Jasiu! cicho! zawołał na niego

Adolf, wiesz że mama chora; mówiłem ci tyle razy, żebyś do pokoju nie wchodził.

— A czyż ja ciągle będę siedział na ganku? odpowiedział rezolutnie chłopczyk. — Kiedy ja mówiłem Karolinie, że jéj kazali mnie bawić, a ona nie chciała, pokazała mi język, i poszła z Tomaszem do officyny.

— No to sam bawić się możesz.

— A! a kiedy ja sam nie chcę! To mówiąc chłopczyk nieukontentowany, obracał łuk w ręku, potém nagle podniosł się na palcach, spójrzał w okno i zawołał.

— Ktoś przyjechał! To powiedziawszy wybiegł trzasnąwszy drzwiami, a Adolf wyszedł za nim. Na progu Xiądz go spotkał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków Amen! odpowiedział do pobożności przywykły Adolf, witając przybyłego, opasłego Xiędza z wielkim czerwonym nosem. Reverendissimus sapiąc i przewracając językiem w gębie, jakby żuł razem całą litanją, postąpił z głupowatą niedecyzją na środek pokoju.

— A matka, rzekł, jak się tam ma? słyszałem że słaba? hę? I wytrzeszczył oczy na Adolfa — Hę?

— Źle się ma, bardzo źle! odpowiedział syn cicho, właśnie dla tego życzyła sobie odbyć spowiedź. Nie wiem tylko, może zasnęła teraz.

— Może zasnęła! hem! tak! rzekł Xiądz ciągle przewracając językiem i oczyma dziwacznie, i przesuwając się ociężale z obojętną miną po pokoju. Tak! tak! hem! hem!

Usiadł nareszcie, a Adolf wcisnął się do choréj. Zastał wszystkich przy łożu; lekarz administrował napój jakiś, starzec patrzał na twarz jéj bladą zmienioną, i płakał gorzko, gorzko, bo łzy i boleść musiał połykać, aby ich chora nie zobaczyła. Krzywił się, wstrzymywał, tłumił łkania, ucierał się chustką, wzdychając piersiami tylko, ustami bojąc się nawet puścić westchnienia.

Adolf wszedłszy dał znak przybyłéj niedawno kobiécie, wywiodł ją do drugiego pokoju i oznajmił o przybyciu Xiędza, po którego posyłano. Poszła pytać lekarza i dowiedzieć się, czy można będzie wpuścić przewielebnego. Adolf pozostał z poleceniem zabawiania Xiędza; stał naprzeciw niego i patrzał mu w oczy, probował kilka razy napróżno rozmowy, wreście widząc że żadna udać się nie może, a Xiądz

ziewa z nudów, domyślił się kazać mu przynieść wina i ciasta, sądząc i niepłonnie, że temi go najskuteczniéj rozerwie. Sposób ten zabawienia nieomylny jest i jedyny do użycia z osobami wszelkiego stanu, niemającemi, jak pospolicie mówią, resursów; najskuteczniejszy z temi, którzy mechanicznie pewną tylko ilość myśli i wyrazów wyuczywszy się dla chleba, nie umieją wcale i o niczém rozmawiać.

Gdy się Xiądz już zabawiał i wesoło uśmiechał, weszła Matylda prosząc go do choréj. On otarł śpiesznie usta, strząsnął z czarnéj sukni okruchy ciasta, dokończył lampeczki wina, i biorąc pod pachę brewiarz, zbliżył się ku drzwiom, przestąpił cicho próg — i już był w pokoju choréj. Słysząc stąpanie obcego, które łatwo poznała, chora podniosła głowę; mąż jéj spojrzał, brwi zmarszczył i odwrócił się smutnie, lekarz skrzywiony, postawił lekarstwo na stole, zawinął rękawki sukni i wysunął się z pokoju.

Chora prosiła Xiędza aby usiadł; wszyscy wyszli powolnie, starzec jakby niechętnie i ociągając się wywlokł wzdychając, została tylko ona i Xiądz.

Reszta osób zgromadziła się w przedpokoju, milcząc i bojąc się przerwać przedgrobowych dumań starca, które latać musiały w téj chwili po przyszłości, mogiłach i niebie, bo wyrastały z myśli o umierającéj.

II.

II.

Pocałunek i Śmierć.

—Czy wyszli wszyscy? spytała chora podnosząc z trudnością głowę nad poduszki. Ojcze, czyśmy sami?

—Niéma nikogo.

— Ja umrę, czuję, bliska jestem śmierci i już nie żałuję życia, ojcze, ale pragnę z niego, z grzechów młodości i starszego wieku wyspowiadać się przed Bogiem i tobą.

Tu, po zwyczajnych przygotowaniach, zaczęło się w posępnéj izdebce, straszliwe wyznanie całego życia, tém szczersze, że w obliczu śmierci i ze skruchą uczynione. Nie wolno nam

podnieść świętokradzko zasłony, która pokrywa może najsmutniejsze dzieje kobiecego słabego serca; przejdźmy od łoża konającéj, do otaczających ją. Ci, w cichości, w smutku stali z spuszczonemi głowami do koła przywalonego rospaczą starca. Nikt nie śmiał go cieszyć, nikt nie odważył się przemówić, spoglądali po sobie, milczeli, wzdychali; niekiedy tylko spoglądając na drzwi pokoju choréj, przez które dochodził ich szmer jéj głosu, żywszy to słabszy, konwulsyjny to boleśny i mdlejący. Ile razy doszedł on uszu starca, tyle razy się wzdrygnął, tyle razy porywał się z siedzenia i upadł, rękę przesuwał po czole, usta jakby dla wciągnienia oddechu otwierał, oczy w niebo podnosił, a z czoła żółto-bladego, zimny pot ocierał. Widna w nim była ciężka, niepojęta walka, zgryzoty czy boleści. Zdało się nieraz jakby do téj spowiedzi, biegł swoje dołożyć wyznanie, jakby przypominał cóś sobie, jakby w duszy z sumieniem swojém w téj chwili rozmawiał. Nareście od dwóch drobnych poczęty, puścił się strumień łez z jego oczów, załamał ręce, spuścił głowę, płakał — odstąpili wszyscy szanując boleść, na którą nie było

lekarstwa. Wtém otwarły się drzwiczki, on się porwał, Xiądz wychodził od choréj; mąż pobiegł do niéj.

Lekarz który za nim pośpieszył, znalazł ją gorzéj, w godzinę gorzéj była jeszcze, i już powątpiewał nawet o jéj życiu. Na miejscu z którego od tygodnia nie zchodził starzec, siedział znowu i płakał, przy nim był syn i Matylda.

Noc nadchodziła, słudzy po cichu po domu przechodzili; w pokoju choréj panowało nieprzerwanie to uroczyste milczenie, poprzednik śmierci przeprowadzający duszę do wysokich krain pokoju. Myśli przytomnych zawieszone nad grobem zdawały się oczekiwać tylko popędu jaki im nadadzą wypadki; — czy z duszą umarłéj pójdą do niebios, czy z nią zostaną na ziemi. Lekarz tylko zimny, trawiący boleść cudzą tak łatwo, jak najlżejszą potrawę, z zimną krwią, z zamkniętém sercem patrzał na ostatni oddech umierającéj, licząc tylko w myśli, ile mu dać mogą za trzy nocy bezsenne. Wreście spokojniejsza usnęła chora; starzec nie chciał jednak odejść od jéj łoża; z zwieszoną głową, pełną wspomnień ubiegłego życia, wpatrując

się w jéj twarz bladą i jęcząc cicho pod ciężarem swoich boleści. Tuż przy nim lekarz zażywał tabakę, ucierał nos i przemyślał właśnie ile będzie miał straty na dukatach, które zamiérzał wymieniać.

Adolf znużony kilkodniową niespokojnością i trudem, przeszedł do sali, siadł na kanapie i dumał. Za nim zaraz weszła Matylda, zrzuciła chustkę, poszła do źwierciadła, poprawiła trochę rozrzucone włosy, a potém zbliżyła się do niego. Oboje byli smutni, oboje milczeli. Adolf spoglądał na zamknięte fortepiano stojące u okna, potém na nią, potém na sufit — nareście podniosł się trochę, westchnął i wziął ją za rękę.

— Tak to, rzekł, Matyldo, zmienia się wszystko na świecie — dawniej bywało wesoło w téj sali, dziś tak smutno!

Zwyczajna koléj rzeczy ludzkich, odpowiedziała kobiéta z westchnieniem, rzucając ledwie dojrzany przelotny wzrok na źwierciadło. Smutki mijają przecie, musi mijać i radość. Matka twoja zdaje się mieć lepiéj.

Adolf nic nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową.

— Czy pamiętasz, odezwał się po chwili, pamiętasz Matyldo, tuśmy się zobaczyli raz piérwszy.

Westchnęli oboje i mimowolnie zbliżyli się ku sobie magnetycznie.

Wieczor był ciemny, cicho i smutno do koła. Adolf poczuł jéj serce, tuż blizko o cal tylko od swego bijące, uczuł jak jéj ręka drgała w jego dłoni; przyłożył twarz do jéj twarzy: — westchnął jakby chciał sprobować czy obie dusze do jednego są nastrojone tonu, — i ona westchnęła. Zgodziły się harmonijnie i zlały dwa westchnienia — ale to tylko była próba. Adolf zbliżył usta i pocałował ją raz piérwszy.

Wtém, wpadł doktor ze świécą — matka Adolfa umarła!

III.

III.

Kuglarze.

Na progu domu stali słudzy czarno ubrani, z trumną na ramionach; starzec za nimi w niemej rospaczy patrzył na drzewo okrywające *„posąg wzniesiony znikłéj duszy”* (tak Richter nazwał wymownie trupa). Głębiéj w ganku lekarz zażywał machinalnie tabakę, wpatrując się zamyślony w tabakierkę, jeszcze daléj był Adolf. On płakał jedném okiém, a drugiém — patrzał na Matyldę. O biedna ludzka naturo! W dziedzińcu stał wóz żałobny, na któren właśnie niesiono trumnę; otaczali go włościanie ze świécami w ręku; za nim trzech Xięży rozmawiało

obojętnie między sobą, czekając na zaczęcie obrzędu.

— Hm, rzekł jeden, trzeci to już pogrzeb tak bogaty tego roku w naszéj parafij! Pan Bóg nie zapomina o nas, zapomaga po troszę sług swoich. I począł przewracać arkusze, z których miał czytać mowę pogrzebową.

— Tak! przerwał drugi, lecz kiedy proboszczowi wszystko, to wikaremu tylko okruchy. Jeśli wolno spytać, rzekł obracając się do trzeciego, jak się udało wczorajsze polowanie?

— Cóś tam się zabiło! Nie czasże już zacząć śpiéwać? Uważam że nie możesz znaleźć w swoim brewiarzu! U mnie są zakładki na wszystko, to daleko wygodniéj. Jaki masz brewiarz, nowy? To mówiąc podniosł oczy, i odezwał się do stawiących trumnę na wozie.

— Ustawcie ją tam dobrze, bo to kawał drogi.

Przerwał drugi.

— Mówią że tego roku będzie dużo kaczek; cieszy mnie to jako myśliwego.

— A cóż, znalazłeś, rzekł piérwszy, *officium defunctorum*, powinno być na 124. Co tam? Jeszcze? — Muszę sobie sprawić nowy watowa-

ny płaszcz, w tym, czasem zimno, bo wiatrem tylko podbity, wikarjuszowski.

— Ja mam watowany, odpowiedział trzeci, ale go nie wziąłem. — Mówiłeś zdaje mi się że będzie wiele kaczek?

— Tak.

— A gdzie będziemy śpiewać?

— Tu.

— A! Jest, jest! mój brewiarz z nótami, uczyłem się wokalnéj w Seminarjum.

— Ja nie — na pamięć śpiewam! Patrzajno patrzaj, co to za pani, co tam na ganku stoi?

— To prezesówna — gada z synem nieboszczki. — Hej! ty tam gapiu z chorągwią daléj wystąp, daléj! A Wincenty z Krzyżem niech się cofnie. — A cóż trumna już gotowa!

— Jeszcze nie, uwiązują, niech lepiéj przymocują. Źle że takie konie swawolne do wozu zaprzęgli, moich tu było dać chudeuszów. Patrzno jak stary płacze, mówią że ją bardzo kochał. Ale, powiadają, (*relata refero*), że to nie żona jego była, *non legitima*, ale tylko jakieś *matrimonium conscientiae*.

— Bóg to wie, odpowiedział drugi. Ale, ale, mówiono mi żeś swojego stępaka osednił?

— Nie! żarty to były, umyślne, powiedziałem tak tylko żeby nie pożyczać, zdrowiuteńki. Patrzcie no, ten osioł Wincenty, Boże odpuść, już spił się, i z Krzyżem tańcuje z nogi na nogę, jak gdyby był na weselu, niepohamowany pijanica, niczém go poprawić nie można!

— Ale my całą drogę nie pójdziemy piechotą?

— Gdzież znowu! co za potrzeba — konie na nas czekają za wrotami u piérwszego krzyża. A co? już?

— Już gotowo!

— No zaczynaj Waszmość basem, ja będę wtórował, Jegomość prym trzyma. Ależ patrzcieno, ten stary we łzach się roztopi. Zaczynamy! Chwila tylko. Kapa spada mi z ramienia! — Oto już gotów jestem.

I śpiéw się ozwał, a wóz ruszył powolnie z miejsca — w téj chwili starzec padł na ganku bez zmysłów. Adolf, któremu łzy także przyszły nareście, udał się za ciałem matki, starca słudzy odnieśli do łóżka. Lekarz przeprowadził okiem trumnę, zażył tabaki i stał.

— Nic tu twoja sztuka nie nadała, rzekł do niego stary domownik.

— Jakto? jakto? spytał lekarz.

— Umarła nasza pani!

— Umarła, umarła, rzekł konsyljarz z pogardą, ale umarła wykurowana zupełnie i zdrowa! To mówiąc oddalił się szybko. Właśnie wołano go do starca, który w okropnéj leżał gorączce.

Matylda siedziała u łoża jego — od czasu ruszenia wozu z dziedzińca utracił był przytomność, rzucał się, krzyczał, wołał, śmiał się, płakał; było to prawdziwe pomieszanie wszystkich uczuć i myśli, wśród których wybitniéj od innych odzywały się wrażenia, jakie świéżo sprawiła na nim choroba i śmierć żony — te przypominały mu się co chwila.

— Słuchajno ty, wołał do lekarza powstając, ja ci zapłacę, ja ci co zechcesz zapłacę, ty lecz moją żonę, ona jest mocno chora. Ja ci zapłacę po królewsku, obsypię złotem. Cicho! cicho! Śpi teraz, jak się obudzi niechaj znać dadzą, pójdziem do niéj. Ja jéj na chwilę nie opuszczę, ja jéj tyle winienem! Ona dla mnie męża i dzieci opuściła. — Gdzie jest Adolf?

— Zaraz przyjdzie, odpowiedziała Matylda. Adolf poszedł był z pogrzebem.

— On jest tu? spytał stary.

— Jest!

— Czy śpi?

— Kto?

— Ona.

— Śpi! rzekła Matylda po cichu, a z oczu jéj popłynęły dwie łzy ciche. Straszne i przykre patrzącym było obłąkanie starca, który wróciwszy myślą na czas choroby żony, nie przypomniał nawet jéj śmierci.

Trwało to długo. Można sobie wystawić męki tych, którzy przytomni umysłem musieli w odpowiedziach swoich stosować się do obłąkania starca. Po godzinie blizko, jeden z sług domowych, długi, suchy, z otwartą gębą, oczyma wytrzeszczonemi, założonemi w tył rękoma wszedł na palcach do pokoju, w którym stary leżał bez zmysłów, i stanął u drzwi.

— Czego chcesz? spytała spójrzawszy na niego Matylda.

— Hm! Sługa począł od głupowatego uśmiechu. Tu, Jéjmość, jakiś kuglarz przejeżdżający chce sztuki pokazywać.

Matylda osłupiała.

— Powiedz mu, powiedz, zawołała — niech sobie jedzie!

— E! ja mówiłem, ale kiedy on koniecznie —

W tém stary usłyszał szmer i porwał się z łóżka wołając.

— Co? co tam? obudziła się może? może tyś ją obudził?

— Idź! idź, wychodź, szepnęła Matylda zbliżając się do służącego, i ledwie nie ledwie wyprowadziła go za drzwi.

Kwadrans nie upłynął, a służący wśliznął się znowu i stanął u drzwi.

— Czego chcesz? niecierpliwiéj spytała go Matylda.

— Ten kuglarz kazał powiedzieć —

— Ale odprawże go mój kochany! Co ci się dzieje! Idż, idź, zawołała Matylda lękając się, aby wejście jego znowu starca obłąkania nie rozjątrzyło.

— Hm! Kiedy on prosił, rzekł uparty głupiec, żebym ja powiedział, że on jakoś tam zegarki w moździerzu tłucze i reperuje potém, że z dwóch stołów się tacza; że umie różne sztuki osobliwego —

— A! wzruszając ramionami odpowiedziała Matylda, czyś oszalał, idźże sobie.

— On ma uczonego kanarka, dodał nie ruszając się krokiem sługa.

— Ona słaba! ona chora! Gdzie ona? zawołał starzec porywając się z łóżka, ona choruje, a ja tutaj!

— Idź, idźże, oddal się, wypychając prawie głupca zawołała Matylda. Idź sobie ztąd!

— Umierająca! mówił daléj stary, widziałem, byłem przy łóżku. Moja Marysia!

Potém padł osłabiony jęcząc ciężko i boleśnie. Chwila milczenia. Lekarz zażywając tabakę, patrzał za okno, stary oczyma biegał po suficie, Matylda drżała, służący jeszcze u drzwi stał z gębą otwartą i wytrzeszczonemi oczyma. Po chwilce, ciszéj już i powolniéj zbliżył się do samego ucha Matyldy, i poważnie jéj szepnął, wielką wagę nadając swym wyrazom.

— On mówił, że ma kopersztychy do przedania.

Łzy płynęły jeszcze po twarzy Matyldy, ruszyła ramionami, i z cierpliwością anioła rzekła do niego.

— Mówiłam ci żebyś go odprawił.

Służący sobie także ruszył ramionami z politowaniem, i dziwując sią że nic wskórać nie mógł, wyszedł znowu. Lekarz ciągle patrzał za okno, starzec ciężko oddychał, czasem słaby

jęk wyrywał się z jego piersi, potém łzy płynęły mu z oczu. — Cichość głęboka otaczała ich.

Nagle pod oknem, jakby na przekorę, dał się słyszeć głos piskliwy fujarki, wygrywający jakąś niezgrabną pieśń pastuszą. Tak dziwne smutnego milczenia przerwanie, jak piorunem uderzyło Matyldę; wybiegła do drugiego pokoju, aby wytłumaczyć konieczność spokojności największéj w téj chwili. Zaledwie się wymknęła, spotkał ją ten sam sługa, z miną, która okazywała, że się ciężko biedził, i nie wiedział co począć.

— Ale cóż ja poradzę pani, rzekł, kiedy ten kuglarz —

— Zmiłuj się człowiecze, odpowiedziała wybiegając szybko Matylda, maszże ty kroplę rozsądku! Pani tylko co umarła, ledwie ją z domu wyniesiono, pan chory, wszyscy we łzach, a ty godzinę prawisz mi o kuglarzu.

— A cóż ja poradzę?

Matylda nie słuchając go, już była na ganku, i spoglądała niespokojném okiem, szukając zkąd się odzywała ciągle pieśń tak wesoła, w dniu tak smutnym. Jedno spójrzenie odkryło jéj niepojętą wprzód tajemnicę. Mały Jaś z ró-

wieśnikiem jakimś stał i grał pod oknami. Matylda zawołała go.

— Jasiu! przestańże! Co ty robisz, papa chory. — Jaś z fujarką w ręku podbiegł do ganku i spytał wesoło.

— Co?

— Jasiu, godziż się hałasować? papa chory.

— Ja nie wiedziałem, mnie mówili że mama pojechała, to ja myślałem, że już można się głośno bawić. Bo jak mama była chora, to mnie do officyny odprowadzali bawić się.

Matylda ruszyła ramionami i westchnęła; Jaś poszedł z głową smutnie zwieszoną — ona, wróciła do pokoju.

Stary leżał jeszcze jak wprzódy obłąkany, z okiem zapaloném, otwartém, jak gdyby niém chciał za granice świata tego przejrzéć. Czasami z ust jego wyrywały się słowa na pozór bez związku, których pasmo ukryte przed ludźmi, snuło się w głębi jego duszy. Wypadki całego życia, całego życia myśli i uczucia, mieszały się w jego głowie razem i przez wpół otwarte usta wzlatywały rozbijając się w powietrzu, bo nikt ich uczuć, ani zrozumieć nie mógł. Po długich mękach, gwałtem prawie wlany do ust

starca napój, skutkował nareście, i powolny sen spuścił się nad nim rozwijając skrzydła nad jego duszą. Zdawało się przytomnym, że odpoczywał, lecz któż zgadnie co marzył? O! straszne marzenia rospaczającego, straszniejsze niż myśli, choć z nich splecione, sen wgniata je w duszę, jak okowy w ciało wbija długie ich noszenie.

Gdy usnął, lekarz i Matylda z wlepionemi oczyma oczekiwali niecierpliwie, aż się całkiem uspokoi, i konwulsyjnie drgać i wołać przestanie.

Już to uspokojenie nadchodziło, gdy nagle znowu, wrzask, śpiewy, głos skrzypiec i basetli, obudził okropnie starca. Wszyscy wybiegli co prędzéj. Było to przejeżdżające z sąsiedniéj wsi wesele; przyszło po życzenia szczęścia i wódkę. Odprawiono je jak najprędzéj, a zimny nawet lekarz pluć już zaczął z nieukontentowania; gdyż wszystko spikać się zdawało na biednego starca. On usnął znowu, lecz przeznaczeniem jego widać było, ostatnich chwil kilku życia nie mieć nawet spokojnych. Zaledwie odprawiono wesele, które zdeptało murawę niedawno wozem śmierci zgniecioną, wto-

czył się ten sam służący, który przed chwilą tak uporczywie do łoża umierającego chciał przyprowadzić kuglarzy; i podchodząc z znaną nam miną do Matyldy, spytał jéj nie dość cicho, aby słowa jego nie przebudziły niespokojnie usypiającego biédnego starca.

— Kucharz się pyta, co państwo każą zrobić na kolaciją

Chory chwycił się, zerwał, usiadł i zawołał.

— Co? co? ona umarła? czy ona umarła!

Stanął służący i domyśliwszy się że pan nie jest przy swoim rozumie, pewien że się spisze jak najlepiéj, odpowiedział z gapiowatym uśmiechem.

— Ej, nie panie! nie umarła. To ja przyszedłem pytać się pani, co będzie na kolaciją, bo pani niéma, *panicz poszedł za pogrzebem*, to ja sądziłem że JW. Prezesówna zadysponuje.

Starzec usłyszawszy wyraz — *za pogrzebem*, wywrócił oczy, zgrzytnął zębami okropnie, chciał cóś powiedzieć, lecz jakby słowa sługi przewróciły mu myśli wszystkie, zamilkł i opuścił głowę. Potém ponuro wybęknął.

— Jéj niéma, ją powieźli!

Uradowany że panu przytomność wraca,

służący podstąpił bliżéj i z nowym uśmiéchem zawołał.

— Jeszcze nie dawno! o! jeszcze niedaleko! Nawet widać na długiéj grobli światło.

Matylda musiała podbiedz, prosić i prawie gwałtem go wyprowadzić, ruszającego ramionami i niepojmującego, dla czego został wyprawiony, kiedy tak się dowcipnie znalazł i przytomność panu przywrócił.

IV.

IV.

Pogrzeb.

Na smętarzu parafjalnym w W..... pełno było ludzi wszelkiego stanu; — wóz żałobny przybliżał się ku niemu, ze spruchniałéj dzwonicy odzywały się dzwony, kościół stał otworem, a w nim widać było przygotowany, oświecony katafalk.

Z całego miasteczka zbiegli się ludzie patrzéć na kondukt; z małych okien drewnianych domków, wyglądały jak z ramek flamandskich obrazów, głowy bab i dzieci. Każdy był niémy— Każdego przypomnienie i obraz Królowéj świata śmierci, poruszał do głębi duszy.

Zbliżając się do miasteczka, trzéj xięża wiodący kondukt śpiéwać zaczęli, wyszedł naprzeciw ciała proboszcza z chorągwiami i bractwem, szmér ludu, śpiéw xięży, odgłos rozbitych dzwonów mięszały się w powietrzu i składały jeden z tych nieopisanych dźwięków pozbawionych wyrazu, nie czyniących na człowieku innego wrażenia, prócz nieukontentowania.

Adolf szedł za trumną, zadumany, płaczący, myśli bez początku i końca, urywane, poplątane, snuły się po jego duszy; wspomnienie matki, przeczucia przyszłości, przypomnienia lat młodszych i to okropne *nigdy* towarzyszące śmierci ulubionych nam osób, szarpały jego serce. Wśród tego, dziwném zjawiskiem stawała mu na myśli Matylda, szczęście, — błyskały nadzieje i rozwinięte nikły przytłumione dzikim śpiéwem, piskliwym krzykiem dzwonów, wyobrażeniami o śmierci. W chwilach najstraszniéjszéj boleści, nie może się człowiek obronić od tych natrętnych, obcych całkiem jego najżywszym ówczesnym uczuciom, myśli, które przybywają tłumem najgrawać się jego cierpieniu i pokazywać strapionemu, dalekie niepodobne, niedostępne rozkosze. I biedny Adolf

przelotem miał myśli podobne; chociaż jeśli nie żal po zgonie matki, to osobiste jego położenie tak go zajmowało, że długo niémi zajęty być nie mógł. Adolf w powszechnéj opinij świata, miał tylko matkę, powiadano i on sam tak sądził, że w obliczu praw i ustaw towarzyskich nie miał ojca; gdyż ojciec jego i matka nie powiązani byli stułą, nie przysięgali się kochać, i bez przysięgi się kochali do śmierci, nie błogosławioną miłością.

O dwa kroki od Adolfa, stali dwaj jacyś ludzie na smętarzu i nie znając go zapewne, taką prowadzili rozmowę.

Pierwszy. Tak — Aspan nie wierzysz, ale bodajem się z tego miejsca nie ruszył, jeżelim tego sam, na swoje własne uszy nie słyszał, od ich własnego sługi. Oniż to przecie słyszeli także od tych co wprzódy służyli u nich, toć to Mosanie wszyscy o tém wiedzą.

Drugi. Ej! gdzie zaś by tam —

Pierwszy. Ale mówię Aspanu, to pewna że nie była żona ślubna!

Trzeci. Jać to także wiém pewnie, od brata ich lokaja Tomasza. A co to strasznego! żył jednak stary z nią przykładnie lat dwadzie-

ścia i kilka, i miał z nią dwóch synów. Mówią że im zapisał cały majątek nawet.

Czwarty. Zapomniałem ja tylko Mosanie, jak się ona zwała z piérwszego męża. Bodajże! Ot, ot — Była za kassjerem jednym ubogim człowiekiem w Ostrołęce. Jeszczem ja był chłopak niewielki, pamiętam jak bywało chodziła z dziećmi do kościoła; bo i z pierwszego męża miała pięknych dwóch synaczków.

Pierwszy. I ona porzuciła męża? hę?

Czwarty. Porzuciła panie!

Pierwszy. Ciężko jéj z tym grzechem na tamten świat pójść! Męża i dzieci porzuciła! I dzieci!

Czwarty. A mąż słyszę umarł w nędzy.

Drugi. A dzieci?

Czwarty. Nie wiadomo co się z niémi stało, powiadają, że gdzieś ich ubodzy krewni pobrali czy coś.

Drugi. Ależ to serce, żeby tak dzieci porzucić!

Pierwszy. Zwyczajnie panie młodość, może tego potém i pożałowała nieraz potém.

Trzeci. A no, zmówmy za jéj duszę po Zdrowaśce.

Adolf słyszał tę całą rozmowę wyraźnie, żadne słowo go nie minęło, im bolesniéj utkwić w nim miały, tém wyraźniéj dochodziły jego uszów. Biédny! został na ziemi żeby wysłuchał wszystkiego, żeby wycierpiał wszystko za matkę, i gdy mu serce krwią zabiegało, myślał, że Bóg w niedocieczonych sądach swoich musi czasem karać dzieci, za grzechy rodziców. Obcy otaczającemu go tłumowi, stał i patrzał na trumnę, straszne *nigdy więcéj* wpijało się w jego duszę, wnosząc w nią z sobą wszystkie przekleństwa, wszystkie smutki i boleści, do jakich tylko wmięszać i przyczynić się może.

Kilku panów szlachty okolicznéj, stało na smętarzu, poglądając na niego okiem politowania i wzgardy, nie smiejąc go powierzchownie nawet pocieszać, żeby się politowaniem nad odrzuconą z towarzystwa ich dostojnego istotą, nie poniżyć w oczach drugich i w oczach własnych.

Przez miasteczko, dwóch jakichś młodych, wracali z polowania, na koniach zhasanych, pianą i pyłem okrytych. Mijali właśnie smętarz, spójrzeli; pogrzeb.

Pan Alexy (niewielki, przez nos mówiący).

Hej panie Djonizy zsiądźmy z koni, toż to pogrzeb staréj..... warto zmówić kawałek paciérza, dobra była kobiéta, a do tego filozofka! Słyszałeś jéj historją!

Pan Djonizy (wysoki gapiowaty). A zsiądziem, zobaczym, tu i Adolf być musi.

P. Alexy. A, ot tam stoi! No chodź, obejdziemy go bokiem, nie będziem go witać ani z nim gadać, ambarassownie by było, jabym się na to nie potrafił zdecydować przy tylu świadkach — Jeszcze taki od płaczu zamazany; co jabym z nim gadał.

P. Djonizy. Chodźże tędy.

P. Alexy. Powoli tylko, bo mnie od polowania dobrze nogi bolą, jak rozłamane. Jaki to jéj, panie, pogrzeb wyprawili, co za katafalk! Nie było tego kiedy mojego ojca chowali! Chodź, wejdziemy do kościoła.

P. Djonizy. Poco? tam swąd od lamp i swiéc być musi. Cóż tam osobliwego zobaczysz? Choć nie dosłyszym mowy, nie wielka szkoda, proboszcz własnie zaczyna.

P. Alexy. To fanatyk okropny, niéma czego słuchać!

P. Djonizy. Fanatyk?

P. Alexy. Prześladuje mnie że się nie spowiadam, wyobraź sobie, albo koniecznie chce żeby my wszyscy pościli! — A, a wiesz ty, że jakoby ten Adolf udaje się do Prezesównéj? Nie wiesz, czy to prawda?

P. Djonizy. Bajki! wysokie progi na jego nogi. Patrz no jak płacze! Dalibóg żal mi go trochę. Na honor płacze jak bóbr.

P. Alexy. Widzę tylko że oczy obciéra, wstydziłby się płakać, w mężczyznie to znak babskiego wychowania — Odstąpmy, będzie ścisk, niosą trumnę do dołu — Chodź, nasypiem jéj garść piasku na oczy!

P. Djonizy. Ot, jedźmy lepiéj, bo się jeść chce.

Tak rozmawiając P. Alexy z P. Djonizym spoglądali okiem zimném, uzbrojoném w lornetkę, na trumnę w któréj leżały zwłoki kobiéty, jakiéj nie jedną podobną, od jakiéj tysiąc gorszych, kochali, szanowali pozornie. Śmierć rozwięzuje dopiéro usta zimnym tym ludziom, którzy za życia wstrzymują się dla pewnych względów przyzwoitości lub rachub miłości własnéj. Trup idący do mogiły w ich oczach już był tylko gliną; nie mógł im bowiem,

pomodz ani zaszkodzić. A tam gdzie się nie lękają i nie spodziewają, ludzie bez czucia wyuzdani są na wszystko, nic ich nie trzyma, gdyż dwa jedyne węzły pękły.

Szły naprzód chorągwie, potém lud, potém trumna, Adolf, xięża; biły dzwony znowu. Koło świéżo w piasku wykopanego dołu, leżało kilka rydlówek, dwóch obok stało grabarzy gotując sznury na których trumnę spuszczać mieli. Kondukt zbliżył się do mogiły, lud cisnął się, pchał, dusił, gniotł i wywracał, bo każdy chciał być tuż, każdy chciał spójrzeć w głębinę, jak gdyby na dnie trzyłokciowego dołu, miał ujrzéć wieczność i niebo, kiedy po dośpiewaniu pieśni, po poświęceniu trumny, postawiono ją na sznurach, zaczęto spuszczać ostróżnie, kiedy głos grabarzy: Niżéj—Wyżéj—Powoli—Trzymaj!—Ręce mi drętwieją— i t. p. odezwał się wśród powszechnego milczenia; —sto oczu razem spuściło się w dół i spoczęło w nim na chwilę. Każdy usta otworzył szepcząc *Wieczne odpocznienie* i patrzał, patrzał długo, póki xiądz piérwszéj garści piasku nie rzucił. Za nim tysiące rąk porwało się spiesznie, zdawało się jak gdyby ciężar miał zostać na duszy temu, kto

choć garsteczką, nie przysypał trumny. Jeden Adolf nie miał dość siły na to, płakał nie wstydząc się łez swoich, a za niémi skryło się przed nim wszystko, nie zobaczył grobu ni trumny, a kiedy ucha doszedł odgłos kamieni obijających się w dole o wieko, zdawało mu się, że każde uderzenie, w sercu jego wymierzoném było. Sparł się na ręku sługi, który do niego przybiegł i żałośnie jęczéć zaczął. Wszyscy obrócili oczy; dziś trudno boleść zobaczyć, bo każdy się hartuje, aby na wszystkie świata przygody, jedném zimném: Cha—cha!— odpowiadać. Mają dziś pospolicie nieczułość, za warunek dobrego wychowania, za jego najpiérwszy dowód. Radości ani smutku, łzy ani uśmiechu; — twarz być powinna jak spłowiały obrazek bez barwy, piersi wzdychać, oko płakać nie powinno. Śmieją się z cierpiącego, z śmiejącego się śmieją, ci ludzie którym się przeto zdaje, że są najmędrsi; człek potém widząc że jego uczuć nikt nie dzieli, wstydzi się je jak stare gałgany próżno na targ wynosić.

V.

V.

Pan Półkownik.

Parę miesięcy upłynęło od pogrzebu; stary wstał z łóżka, ale śmierć żony, wypiętnowała na jego umyśle niezgładzoną pamiątkę; od téj chwili nie odzyskał przytomności i rozumu. Myśl jego jak sprężyna przykuta do koła, kręciła się ciągle w koło jednego obrazu, który go najmocniéj uderzył. Zdawało mu się że był ciągle przytomny konaniu swojéj drogiéj Marij; szukał jéj bezustannie i pytał wszystkich gdzie się podziała. Nie chciał wierzyć, żeby umarła, nie przypuszczał tego. Smutnie było patrzéć na siwy włos jego okrywający głowę, z któréj

rozum przed zgonem uleciał, smutno było widzieć go wlokącego ciężar życia, ogołocony ze wszystkich przyjemności które dźwiganie jego płodzą. Była to sucha łodyga, z któréj kwiat upadł na zawsze, uginająca się wiatrom, wdeptana w zielsko i chwasty. Proszęż sobie wyobrazić położenie Adolfa zostawionego sam na sam z dziecięciem niepojmującém jeszcze cierpienia i obłąkanym ojcem; proszę pojąć, (jeśli to chłodno da się pojmować) uczucie jego na głos zimny patentowanego lekarza, który zażywając tabakę, powiedział mu na ostatku.

— To próżno, Jegomość pewno nie odzyszcze przytomności.

Mijały dni jednostajne, długie, głuche, smutne, stary chodził tylko jęcząc bolesnie po całym domu i pytał w każdym kątku, w każdym pokoju:

— Gdzie ona? gdzie Marysia?

Potém nie czekając odpowiedzi szedł daléj, szpérał i pytanie swoje powtarzał. Często kiedy Adolf siedział smutny, myśląc o swojém położeniu okropném, drzwi otwiérały się powoli, ukazywała się głowa starca i cichy, bojaźliwy głos dawał się słyszéć.

—Czy jéj tu niéma?

Ktożby znalazł odpowiedź na pytania, sięgające za groby? Starzec szedł daléj, pytał ciągle, a nikt, nawet słudzy, nie mieli odwagi powiedzieć mu, gdzie ona.

Pytał przez sen w nocy, pytał na jawie od rana do wieczora, nikt nie odpowiadał, każdy wzdychał, ruszał ramionami lub rękawem suche oczy obciérał, dla pokazania przed drugiemi że jest czuły, a w duszy nic nie czując przecie. Prości ludzie tak samo czułość udają, jak wyższego towarzystwa osoby odrętwiałość na wszystko.

Wieczor był, zachodziło słońce; na dziedzińcu dwóch powracających z polowania sług rozmawiało z woźnicą, który konie od wody prowadził; wtém pojazd jakiś zajechał przed wrota i głos z niego dał się słyszéć.

—Ha! a otwórzcie tam przecie.

Spójrzeli myśliwi w tę stronę i ujrzeli koczyk żółty niewielki, czterma końmi wzdłuż zaprzężony, z tłumokiem z tyłu.

Pośpieszono otworzyć wrota, pojazd wtoczył się na dziedziniec.

—A czy jest pan w domu? zapytał głos z koczyka.

—Jest! jest! odezwali się słudzy ponuro potrzęsając głową.

Pojazd stanął przed gankiem, z niego za pomocą dwóch barczystych lokajów wysiadł otyły, sapiący jak wół mężczyzna, i stanąwszy na progu, spytał z nich jednego.

—Słuchaj ty, a co pan robi?

Sługa nie wiedział co robić i ramionami tylko ruszył.

—Czyś głuchy? co pan robi?

—Jest w domu! odpowiedział zapytany i unikając dalszych badań umknął.

Adolf, którego hałas na ganek sprowadził, zaszedł w téj chwili drogę przybywającemu. Do niego natychmiast obrócił mowę.

—Słuchaj no Wasan, czy jest pan Jerzy w domu?

—Kto? spytał Adolf.

—Kto! pan Jerzy, toż mówię Wasanu! czyś i Wasan głuchy? Mój brat, rodzony brat z którym Bóg wié jak dawno nie widziałem się, pan Jerzy.

—Jest panie, ale chory.

— Co? hę? chory! O fe! chory! no proszę! A Jejmość ta wasza, ta, ta! jakże ją tam nazywacie?

Adolf zaczerwienił się cały i ustami tylko poruszył boleśnie.

— Ta zdrowa, odpowiedział ze łzą krwawą w oku — bo już nie żyje.

— Co? hę? co? przerwał sapiąc ciągle przybyły i opierając się o kolumnę ganku — Umarła? co? no, czemuż nie gadasz? A Wasan co za jeden jesteś?

Jakże miał na takie pytanie odpowiedzieć Adolf?

— Co? milczysz? hę? pytam, co za jeden Wasan jesteś? co? no, mów! Co? Pisarz? nie? Kommisarz? co? nie? No gadajże! tfu z lichem! Ja tu ładu nie dójdę! No cóż?

— Jestem syn téj która umarła, odpowiedział cicho udręczony Adolf.

Co? Alboż ja wiém tam, która umarła? A! a! to ta! krzyknął sapiąc po chwilce. A! to ta! wasza Jéjmość! To Wasan jesteś, a wiém! syn, syn — A no, jak się ma Jerzy?

— Chory, mówiłem panu dobrodziejowi —

— Chory! To ze smutku pewnie, ha? Czy

bardzo chory, nie można by się z nim widzieć, co?

— Stracił zupełnie przytomność, od czasu śmierci mojéj matki, rzekł Adolf, i chociaż w sobie zdrów jest na pozór, nic nie mówi prawie, nie rozumie i mało kogo poznaje.

— A! pfe! co ja słyszę, pan brat mój! A, pfe! to głupstwo! A ja mówiłem że się to tak skończy! Uu! I cóż? Kto tu interessa prowadzi? hę? Opiekun jaki, co? przecież ja jestem naturalny?

— Dotąd niéma opiekuna, bo mamy jeszcze nadzieję że z pomocą lekarzy, po których posyłam nieustannie, przyjdzie do zdrowia. Interessami ja się sam zajmuję.

— Dajcie no mi tu krzesło, przerwał przybyły sapiąc zmordowany, muszę się z Wasanem rozmówić. Konie niechaj odejdą. Słuchaj! Tłumok wypakować i lulkę mi tu dać, i kapciuch średni. Hę? co? uuu! tegom się nie spodziewał!

— Możebyśmy przeszli do pokojów —

— A no, dobrze, niech mi tylko który rękę poda.

Służący poskoczył i z jego pomocą, prze-

niósł się przybyły do pokoju Adolfa, sapiąc, dysząc i kaszląc niemiłosiernie. Usiadłszy na kanapie, wysapawszy się trochę, spójrzawszy marsem na stojącego przed sobą Adolfa, przybyły odezwał się po chwili.

— A! a ja mówiłem jemu! No, czy doprawdy mój pan brat zwarjował?

— Tak jest, cicho rzekł Adolf, a znowu mimowolnie łzy mu się potoczyły z oczu.

— Nu, co? czego płaczesz jak baba! fe! Czego? porzuć Waspan! fe! Czy dacie mi tam lulkę? hę? — Proszę! Wasan syn jego jejesteś? syn? tęgi chłopak! jaka szkoda? nu proszę!

To mówisz, gdérał daléj, mówisz, że interessami sam się zatrudniasz? Węgla mi daj do fajki, ja papierkiem nigdy nie zapalam. A macie tu co jeść? Dobrze że tu przyjechałem, to ja się wszystkiém zajmę, a Waspana uwolnię, będziesz sobie mógł pojechać, żebyś tu darmo nie wisiał.

Adolf spojrzał pękając od żalu i gniewu, ale zmilczał.

Zapaliwszy fajkę, przybyły rozparł się wygodnie i odezwał się znowu.

— To tak Mosanie! A czy jest was może więcéj dzieci:

— Mam brata małego.

— Brata jeszcze! A kiedy Wasan chcesz, u mnie do jednego folwarku potrzeba offićjalisty, to ja wezmę Wasana, jeżeli co umiesz, a będziesz wiernie służył. Brata, za moją protekcyą, można będzie umieścić u Xięży w miasteczku, między *Paupery*. Co? hę?

— Znajdziemy sposób utrzymania się, odpowiedział Adolf poruszony do żywego, z pewną dumą.

— No! no! A poduszkę mi tam skórzaną przynieść każ z koczyka. Uu! To tak! Proszę! że to go ta śmierć tak mocno zmartwiła! pst! osobliwsza! Ja bo myślałem, czemu to on do mnie tak dawno ani literki nie napisał! A i Waspan także zrobiłeś bez sensu; toć to przecie choć ja u niego nie bywałem od dawna, wiedziałeś że ma brata, trzeba mi było zaraz dać znać! Karolin mój, nie Ameryka panie. A to ja wiem, że to Waspan młody jesteś, to i interessa po diable poszły pewnie.

— Starałem się je w jak najlepszym stanie utrzymać, odezwał się Adolf zniecierpliwiony—

jeśli uchybiłem, to chyba z niewiadomości, szczérzebym tego żałował.

— Tak, mosanie, ale to żal pieniędzy nie wróci, a widzisz Waspan z drugiéj strony, że mnie to diabelnie interessuje, bo to na mnie spada po bracie, bliższych niema, a on jak powiadasz *mente captus* i lada dzień może zadrzeć nogi. Czy zrobił on testament, nim zwarjował?

— Nie wiem!

— Tha! juściż to mi wszystko jedno! Ale, niedobrze że stary odwlekał; uf! bo to i Wasanom by po parze tysięcy złotych wypadało zapisać. Ja to znam te okoliczności, i ze mną to było, Wasana matka, może i swego co miała?

— Nie wiemy.

— Nie wiesz! hm to prawnego nic nie ma, dokumentów? hę? Choćby i było, to przepadło! Hm! kiedy testamentu niema to i Waspanom nic się nie dostanie! hm! co? Bo juściż ślubu nie brali, przyznania was za dzieci nie było? Co? Bękarty! tak!

Adolf zmarczył się i nasrożył straszliwie usłyszawszy te słowa, ale miałże się bić z głupcem? przybyły palił fajkę, wyciągał się na poduszce, patrząc na niego jak na człowieka,

z którym tylko rozmawiał z potrzeby koniecznéj, jak na człowieka, któremu bezkarnie mógł prawić największe niedorzeczności, a w przypadku poszczuć nawet chartami dla zabawki swojéj.

— Więc przyznania was za dzieci nie było? spytał po chwili.

— Nie wiem, odpowiedział odwracając się Adolf.

— I jak to Waspan interessami możesz się trudnić, kiedy nic nie wiesz? Co! hę? Kiedy ja się tu do nich wezmę, inaczéj będzie. Hm! ale jeśli on zupełnie sfixował, to on *civiliter mortuus*, jabym jego do *bonifratelów* odesłał, czy co? hę?

Gdy to mówił jakby sam do siebie, drzwi się otwarły powoli, i przybyły oniemiał na widok siwéj głowy starca, osłupiał usłyszawszy zwykłe jego pytanie, bojaźliwie wymówione.

— Czy jéj tu niema? Gdzie ona?

I zchylony z posępną miną, z zapadłémi oczyma, z drżącemi rękoma, siwy jak gołąb staruszek, krokiem niepewnym przeszedł pokój, jakby szukał kogo, lub też czekał odpowiedzi. Zbliżył się do brata, nie poznał go, głową potrząsnął i powtórzył.

— Gdzie ona? Adolfie? gdzie ona? czy widziałeś ją?

Adolf w milczeniu przybliżył się do starca, a pan brat sparty na poduszce wypuścił z ust cybuch i jak na dziwo patrząc na nieszczęśliwego, z tą zimną krwią i suchém okiem właściwém samolubom, otworzył szeroko gębę oniemiałą i wytrzeszczył oczy. Potém nie mogąc pojąć, żeby brat go nie poznał, choć się bardzo dawno nie widzieli, w te się odezwał słowa.

— Ps! panie bracie! Cóż to! to i mnie nie poznałeś? Półkownika Salezego, brata rodzonego? hę? hę? co?

Starzec usłyszał tylko głos, obłąkany wzrok powiódł po nim, spójrzał po kątach i cicho jakby się lękał kogo obudzić, spytał znowu obracając się do Adolfa.

— Czy jéj tu niéma?

— Proszę! zawołał półkownik, dalipan ze wszystkiém sfixował! fe! uu! fe! Wszak i mnie nie poznaje!

To mówiąc ciężko podniósł się z kanapy i sapiąc okropnie, z fajką w zębach zbliżył się do starca, który na widok jego, z przestrachem

zasłaniając sobie oczy, w kąt uciekł i przytulił się do ściany.

— Proszę Waspana, jak gdyby nigdy nieznał! Co? To dziwnie dalipan!

To mówiąc poszedł znowu za starcem do kąta, a on jak dziecię, zatulając twarz i siwą głowę rękoma stał, tulił się, unikał go napróżno.

— Czy mnie nie znasz? zakrzyczał mu nielitościwie nad uchem. Co? hę? brat Półkownik Salezy jestem! hę?

Starzec drżał cały i piskliwym bełkocząc tylko głosem zdawał się prosić aby mu pokój dano. Głos ten jego bez słów, dość miał wyrazu, aby każdy zrozumiał o co prosił; — był to okropny jęk boleści, jaki się tylko z ust obłąkanych wyrywa, gdy ich przyciśnie nadzwyczajne cierpienie. Półkownik jednak stał ciągle nad nim i pytał — Co? i dym puszczał kłębami.

Oburzony tém Adolf odważył się przybliżyć nareście i odezwał do Półkownika.

— Uwolńże go pan, czy nie widzisz jak się lęka i drży?

— Ale! poczekaj! krzyknął Półkownik i znowu pytał.

— Czy mnie nie znasz, hę?

Starzec pisnął raz jeszcze przeraźliwie — Ten odgłos przeszył na nowo duszę syna, który stał i patrzał na męki, z zimną krwią ojcu jego zadawane. Wziął nareście Adolf powoli ojca, i chciał go ku drzwiom poprowadzić, ale biédny obłąkany, drżący z przestrachu stał w kącie i tak silnie się upiérał zakrywając sobie oczy, że biédny syn nie śmiejąc użyć gwałtu, nie mógł go ztąd wynieść.

Półkownik ciągle stał nad nimi, fajkę palił i powtarzał.

—U! bracie, czyż ty *mnie* nie znasz? nie znasz doprawdy? a to fe! hm?

— Widzisz panie Półkowniku, boleśnie przerwał Adolf, widzisz że się lęka ciebie, głosu twego, czyż nie będziesz miał litości?

—A to osobliwość! Ten młokos mnie uczy! Czy ja nie wiém jak się z nim obchodzić, czy co? to także! Puść, puść go Waspan, co się tobie dzieje? Ja przecie muszę się z nim rozmówić! fe! puść go zaraz!

Adolf był jak na mękach, bo biédny starzec piszczał boleśnie, drżąc cały i zakrywając ciągle twarz rękoma, a półkownik z wytrzeszczonemi oczyma i otwartą gębą, kroku nie ustępował.

— Toż i jutro będziesz mógł sprobować rozmówić się panie półkowniku, rzekł Adolf pokornie, sądząc że go ujmie tonem swego przełożenia, widzisz pan dobrodziéj, jak mu przykro, cały drżący, słyszysz pan te jęki?

— Tfu! plunął półkownik i odszedł rzucić się na kanapę, a Adolf powolnie wziąwszy za rękę starca, przemówiwszy do niego, nareście ku drzwiom go wyprowadził. Obłąkany obrócił się na progu raz jeszcze, drżąc rzucił okiem na półkownika i szepnął do Adolfa smutnie przenikającym głosem:

— Tu jéj niéma!

VI.

VI.

Matylda.

—Tak więc Adolfie, półkownik rozgościł się tu ze wszystkiém; mówiła nazajutrz Matylda, która przybyła dowiedzieć się o zdrowiu starego a rozmawiała z młodym.

—Łatwo też pojąć, odpowiedział Adolf smutnie, jak mi to boleśnie. Ten człowiek nie czuły i zimny dziś by może, dla tém łatwiéjszego zagarnięcia spadku, rad brata widzieć w grobie; najmniéjszego w nim uczucia, najmniéjszego względu dla okropnego stanu mojego ojca! I to brat jego! O nas, to już niemam co i mówić, nas chce wypędzić stąd jak naj-

prędzéj i z tém się wcale nie tai. Gdzie się z bratem podzieję, co poczną nie mając sposobu do życia, krewnych, przytułku; tego niewiém. Piérwszy raz wyszedłszy na świat, w progu jego przyjdzie się spotkać z nędzą! — zła wróżba!

Matylda słysząc to westchnęła, potrząsła głową i wzięła Adolfa za rękę.

— Mój drogi Adolfie, rzekła, alboż nie macie przyjaciół, nie wierzyszże w nikogo? Czyliż myślisz że wszyscy obcy podobni są twemu półkownikowi, któryby dla ocalenia stu ludzi pół fajki nie oddał? Chociażby ci się przyszło ztąd oddalić, czyż nie znajdziesz przytułku?

— A któżby, odpowiedział Adolf, któżby chciał próżnym obarczyć się ciężarem, z którego żadnéj nie miałby korzyści?

— O! nadto masz złe o ludziach wyobrażenie! rzekła słodko Matylda — to się nie godzi! Ty i brat twój, oddalając się z tąd, udacie się wprost do nas, do mojego ojca. Tak będzie koniecznie, nie odstąpię, tak być musi. Jesteśmy trochę krewni, w ścisłych oddawna stosunkach— to wszystko niech tłumaczy ofiarę naszą, w któréj bojąc się upokorzenia od obcych ci może nie

przyjął. Znasz mego ojca, wiész (bez pochlebstwa) jak cię kocha; nieraz on dawniéj nawet, napomykał ci, abyś mu dopomagał w jego interesach; tyś młody, czynny. Wstrzymywały cię wprzód obowiązki domowe; lecz jeśli teraz gwałtem oderwą cię od ojca, cóż ci przeszkodzi? Będziesz blizko niego, będziesz mógł dowiadywać się przynajmniéj o nim.

Adolf milczał, spuścił głowę, w myśli rozważał każde jéj słowo, a po chwilce z gorzkim odpowiedział uśmiéchem.

—A! byłoby to bardzo szczęśliwie, ale to być nie może! Dawniéj, Adolf uważany jako członek waszéj rodziny, miał prawa do waszego serca, do względów i pomocy; dziś, od wszystkich odrzucony, siérota, bez imienia, mógłżeby dla ocalenia siebie od burzy, wnieść w wasz dom nieoddzielne od siebie upokorzenie, mógłżeby słuchać jakby was obwiniano o dziwaczną powolność, o niepojętą litość dla bezimiennego tułacza. Dziś, potrzeba mi uciec tam, gdzie nigdy imie moje, słuch o mnie nie doszedł;— a jeśli Bóc poszczęści staraniom, wrócę kiedyś może w te strony, obejrzéć ze łzą w oku te miejsca, gdziem miał ojca, matkę i rodzinę—

gdzie w jednéj chwili wszystko mi jedna śmierć wzięła.

—Nie mówże, żeś wszystko postradał, odpowiedziała Matylda, ja nigdy nie przestanę być twoją — przyjaciółką. Chętnie przyjmę upokorzenia, jeśliby jakie na ciebie spadły, podzielę je i rada będę z mojéj ofiary, bom przyrzekła cię kochać, bo cię —kocham.

—Kochasz! podchwycił Adolf porywając się, kochasz Matyldo? A! czemuż teraz niémam imienia i majątku, abym ci je razem z sercem oddał.

—Dość mi twojego serca! odpowiedziała Matylda.

—Serca! O! dla nas w téj chwili, jest ono wszystkiém, rzekł smutnie Adolf, ale co świat powié? Ludzie sobie tylko pobłażają, drugim nie przebaczą. Śmiałażbyś oddać rękę temu, który niéma imienia, który wstydzić się musi urodzenia swego, a odbiérając piękne twoje nazwisko, nie wiedziałby jakie ci w zamian ma nadać? ty, która całe życie nie znałaś co to upokorzenie, którą świat nosił na ręku i każdy krok tysiącem oklasków okrywał, śmiałażbyś jednemu tylko sercu poświęcić—

— Wszystko! odpowiedziała z pozorną obojętnością Matylda. Ty Adolfie nie znasz kobiéty jeszcze; kobieta która prawdziwie kocha, poświęci sercu, imie, majątek, spokojność, — nawet honor i cnotę — Jest-li to słabość, jest-li to moc duszy?

— Lecz któżby przyjął tak wielkie ofiary? spytał Adolf. Śmiałżebym ja goniąc za własném szczęściem, pociągnąć cię w przepaść za sobą? Wyszlibyśmy potém na świat słuchać upokarzających nas oboje szyderstw. Jedni mówiliby, żem ja wziął cię dla majątku tylko, którego potrzebowałem, drudzy w oczy tobie śmieliby się z twojego wyboru. I Matylda, piękna, młoda, wolna, bogata, szczęśliwa, musiałaby to znosić! I jabym słuchając tego, niemiał sobie całe życie wyrzucać żem jest twych cierpień przyczyną? Wiész, dawno nie wątpisz Matyldo, że cię kocham, tak jak Aniołowie Boga kochają, ale połączyć los mój z twoim w téj chwili, byłoby to na złe użyć twojéj miłości i zrobić ją narzędziem twojego nieszczęścia.

— Dziwno mi doprawdy, żem tak długo i cierpliwie mogła słuchać tak dziwnéj przemowy — odpowiedziała Matylda urażona wstając

z kanapy. Nie chcesz mnie? odrzucasz? nie kochasz? miałażbym się narzucać? miałażbym ci świat zawiązać? Daj Boże, abyś znalazł taką która cię uszczęśliwić potrafi, ja nie znajdę pewnie drugiego Adolfa, bo go i szukać nie będę— Zostanę dwa razy wdową, po mężu który mnie odumarł i po kochanku, który mnie nie chciał.

Oboje milczeli, Adolf blady, smutny, w duszy rad swojéj wspaniałomyślnéj ofierze, w sercu niązmartwiony, spoglądał machinalnie po oknach sali, ukradkiem wzrok rzucał na Matyldę i wzdychał. Ona łzę ocierała.

—Musim więc rozstać się, odezwał się Adolf po chwili, czując potrzebę zawiązania rozmowy, musim się rozstać. Kto inny może na mojém miejscu, mniej przewidujący, z upragnieniem pochwyciłby szczęście, które mu samo do rąk przychodzi; ja nauczony krótkiém, ale bolesném doświadczeniem, w samych nawet roskoszach, nieszczęścia przewiduję. Cóżbym nie dał Matyldo, gdybym równy tobie imieniem i majątkiem, mógł wyznaczoną mi cząstkę szczęścia, przynieść ci do podziału! Ale dziś, przyszłość ciemna, upokorzenia, walki widzę tylko przed sobą, mógłżebym odważyć się dać je do podziału

téj, którą tak kocham! O! beze mnie będziesz szczęśliwszą!

— Nie, Adolfie, odpowiedziała Matylda, dziwne są twoje marzenia o urojonych nieszczęściach, o których tak lubisz dumać, które lubisz wymyślać, jak drudzy sobie szczęście niesłychane tworzą. Kobieta nie może być szczęśliwą bez tego którego kocha. Ojciec mój zezwoli i pobłogosławi nas z radością — Będziemy szczęśliwi! Nie bój się upokorzeń od świata, ja cię poświęceniem mojém (jeśli je tak zwać można) zakryję, zasłonię! Trzebaż żebym się aż do prośb uniżyła? Także to mnie kochasz?

— Więc ty doprawdy miałabyś odwagę pójść za mnie? spytał jéj Adolf cicho i nieśmiało.

— O dziwny człowiecze! zawołała Matylda, czyliż widzisz we mnie piętnastoletnię roztrzepanicę która nie myśli o tém co mówi, na któréj raz wyrzeczone słowo nie można rachować? Czyliżem oddawna kochając ciebie, nie rozmyśliła się nad tém, czy mogę być twoją. Jedna jest rzecz którąby mnie wstrzymywać powinna— różnica wieku i nie taję jéj; tyś młódszy o parę lat ode mnie, za kilka lat ja zacznę starzéć, ty

dójdziesz ledwie siły męzkiéj. Kobiéta jak oranżeryjny kwiat, prędko rozkwita i prędko więdnieje. Ta uwaga długo mi stała na myśli, ale Bóg cieszy mnie nadzieją, że potrafię umrzéć, gdy ty już nie będziesz mógł mnie kochać.

—Nie będę mógł kochać! zawołał Adolf, możnaż to przestać kochać? Na cóż tak piękny obraz przyszłości postrzygłaś wyobrażeniami smutnemi śmierci i obojętności.

—O! w tém niéma nic dziwnego, co przewiduję Adolfie. Możesz przestać mnie kochać i dla tego—być ze mną szczęśliwym. Ja ci pewnie na przeszkodzie do żadnego szczęścia nie stanę, będziesz mieć dostatki, zechcesz świata użyć, doświadczyć i sprobować wszystkiego, zabawić się, odurzyć; wszystko ci będzie wolno. Ja jak postarzeję będę tylko myślała nad tém, czém cię uszczęśliwić, jeśli już nie sobą.

Adolf nie chcąc słuchać tych dziwnie brzmiących w uszach jego wyrazów, posunął się ku Matyldzie z zapałem i usta jéj pocałunkiem zamknął. Lecz w téjże chwili drzwi sali skrzypnęły, i tłusty, sąpiący półkownik wtoczył się powolnie.

Jakże się zdziwił, jakże się przeląkł widząc

ten pocałunek, jakże osłupiał — postrzegłszy dwie osoby, które w jego wyobrażeniu, tak bardzo rozdzielało ich położenie towarzyskie, połączone takim węzłem! Fajka którą trzymał w ręku z ust mu wypadła, narobiła stuku i zwróciła uwagę dwojga (bo tak ich muszę nazwać) kochanków.

— A co to, to pięknie! odezwał się półkownik posuwając się powoli ku najbliższemu krzesłu. A! uu! tegom się po pani nie spodziéwał nigdy! A i Waspan jak widzę ptaszek noszony, o! noszony, zwąchał co dobrego! Patrzaj no go, jak mierzy wysoko! o! Cóż ty za jeden jesteś, że śmiałeś posunąć się i bałamucić prezesównę! hę! hę!

Nikt nie odpowiedział półkownikowi, on rozparł się wygodnie, buchnął kłębem dymu i rozgniéwany coraz bardziéj tak mówił daléj.

— Nie darmo ja zaraz spójrzawszy Waspanu w oczy, cóś niedobrego w nich upatrzyłem! Jutro żeby mi tu ciebie nie było ani nogi, ani ciebie, ani twojego braciszka, fora ztąd! Ja tu obejmę rządy, ale wprzód zdasz mi jeszcze rachunki z twego sławnego prowadzenia interesów. Ptaszek! ziółko! pokrzywka! Cicha woda! A, i

pani także! jakżeś się mogła tak dalece zapomnieć, żeby do tego stopnia poufałości przypuścić człowieka nieprawego, podłego urodzenia, młokosa. Jutro ja się będę widział z ojcem pani, niewiém co on na to powié, gdy mu doniosę o tém! Hm! hm! przyjeżdża niby do starego, chorego, a z młodym figluje! fe!

Adolf i Matylda nie słuchając i nie odpowiadając nic, na gderanie półkownika wyszli, a on sam z fajką i swojém *fe* i *hm!* w ustach pozostał.

Znać już było po całym domu jego rządy— Stary obłąkany ojciec Adolfa, wprzódy pan tutéjszy, teraz z rozkazu jego zamknięty został w osobnym pokoju i pozbawiony téj nawet pociechy, ażeby wedle zwyczaju mógł chodzić po domu i pytać:

— Gdzie ona? czy jéj tu niéma?

Słudzy prędko uczuli potrzebę posłuszeństwa półkownikowi, bo Adolf zabity moralnie nie przeczył przywłaszczonéj przez niego władzy, officjaliści przychodzili z raportami; on jak u siebie krzyczał, rozkazywał, sapał i fajkę palił.

Słaby Adolf nareście zdobył się na odwagę

przedstawienia półkownikowi, jak nieludzko, jak tyrańsko obchodził się z bratem, modlił i prosił aby go przestano więzić w jednym pokoju, ale półkownik, nie słuchał nawet co do niego mówiono i pogardliwie uśmiechał się tylko.

W istocie bowiem biedny starzec, zamknięty w ciasnéj izdebce, dzień i noc tłukł się po niéj płacząc, krzycząc, pytając czemu go nie puszczano, skarżąc się że mu duszno i ciasno; niepodobna było widzieć go w tém położeniu i nie ulitować się nad nim; ale półkownik nie zaglądał nawet do niego. Słudzy wzdychali nad swoim panem, ale więcéj się jeszcze bali przybyłego, niż litowali nad dawnym panem. Jeden Adolf jak mógł najczęściéj przesiadywał u ojca, wynajdując sposobów rozerwania go, ulżenia jego cierpieniom; a kiedy półkownik zapowiedział mu aby wyjeżdżał postanowił ojca uwieść z sobą. Na nieszczęście przyszedłszy do pokoju jego wieczorem, znalazł go tak dalece gorzéj, iż zaraz posłać musiał po lekarza. Przybyły medyk wyexaminowawszy chorego, żadnéj o życiu nawet nie uczynił nadziei.

VII.

VII.

Koniec mąk.

Ciemno jeszcze było prawie i ledwie piękny świt wiosenny zapowiadał ranek świeży i pełen życia, a już konie Adolfa stały w dziedzińcu. On chcąc ostatnie chwile pobytu w tym domu niegdyś swoim, ojcu poświęcić, nie odstępował jego łoża. Starzec w nocy miał się lepiéj trochę, nad rankiem zapadł gorzéj znowu, cały był prawie zimny, oczyma tylko przewracał, lecz mowy i władzy już nie miał. Lekarz wyjechał powiadając, że niéma tu co robić. Jednakże mimo zupełnego odrętwienia starca, zdawało się że musiał odzyskać przytomność z utratą

władzy i mowy, bo kiedy do niego zbliżał się Adolf, drgał jak gdyby chciał ku niemu rękę wyciągnąć, dwie łzy płynęły mu po twarzy, usta się krzywiły choć otworzyć nie mogły. Adolf klęczał u łoża — w téj chwili zapomniał on całkiem o sobie, o świecie, widział tylko konającego ojca. Stary! coraz mniéj się poruszał, coraz mniéj dawał znaków czucia, w chwil kilka całe ciało było zimne, a oczy słupem nie ruchome stanęły. Adolf wziął go za rękę, zimna była jak lód; przyłożył dłoń drżącą do serca, nie biło; śledził oddechu, naprożno. Bez konwulsij, rzucań, jęków, powoli, ze łzami w oczach, umarł starzec stygnąc, zgasł jak dopalona lampa. Śmierć ta, do któréj oddawna był przygotowany, nie bardzo poruszyła Adolfa, owszem spokojniéjszym się być zdawał, jak gdyby z śmiercią ojca, ciężar jaki spadł mu z piersi. Łatwo to wytłómaczyć, lękał się bowiem złego z nim obejścia półkownika, które okropny stan obłąkanego, nieznośniéjszym jeszcze uczynić mogło; musiał się oddalić, a ojca zostawić i zostawić pod taką opieką! Teraz, z westchnieniem, drżącą ręką przymknął mu powieki, ukląkł pomodlić się przy łożu, kazał po-

słać po xięży i spokojniéjszy myślał o wyjeździe.

Nic go już tutaj prócz wspomnień, nie zatrzymywało. Poszedł potém zbudzić małego brata i poprowadził go do ciała ojca. Mały Jaś z podziwieniem i trwogą patrzał na trupa, zimnego, bez ruchu, leżącego z założonemi rękoma na tapczanie zasłanym kilimkiem, obstawionym na prędce świécami; potém cicho, jakby się lękał przerwać sen wieczny ojca, spytał Adolfa.

— Czy papa już nie wstanie?

— Nie! odpowiedział Adolf, nigdy! pomódl się Jasiu, pocałuj go w rękę, pożegnaj na zawsze, my go już nigdy nie zobaczym.

—Nigdy! powtórzyło dziécię jakby ten wyraz w głowie się jego pomieścić nie mógł—Nigdy!— Jaś z bojaźnią przystąpił do martwego ojca, zdawało mu się że co chwila poruszyć się musi i wstanie. Dał się nareście przekonać, prędko pocałował go w rękę, odskoczył prędzéj jeszcze, potém ukląkł i niespokojném okiem poglądając na trupa, zmówił *Wieczne odpocznienie* i wyszedł oglądając się bojaźliwie.

Gdy się to dzieje słońce weszło świetne, we-

sołe, czyste, z niém półkownik ocknął się ziéwając. Zaledwie oczy otworzył i machinalnie się przeżegnał; ledwie mógł splunąwszy i odchrząknąwszy, zawołać aby mu fajkę podano, Adolf oczekujący tylko na to, wszedł do pokoju.

Półkownik podniósł głowę i odezwał się pełen nieukontentowania.

— Nie leź że mi od samego rana w oczy.

— Chciałbym wyjechać!

— Poczekaj! jeszcze mi rachunków nie zdałeś.

— Rachunek bardzo krótki, wszystko oddam według regestrów.

— A któż, może ty sam także robiłeś i regestra? ptaszek! hm!

— Są podpisane ręką nieboszczyka!

— Co? co mówisz? hę? jak to? nieboszczyka? co to?

— Ojciec mój umarł dziś rano.

— Jezu! umarł! już umarł! Otoż proszę! psi! uu! fe! Héj gapiu, czemu mi fajkę nie dajesz! hm! umarł! Niech mi tam kawę przynoszą. No! a gdzież te regestra! Gdzie papiéry, co? Dajcie mi szlafrok — Gapiu! szlafrok mówię! Hm! hm! fe! uu! Wasan masz klucze?

Klucze od wszystkiego dotąd u mnie, pieniądze i papiery pod regestra oddam. Co się wydało w czasie choroby, na to są ślady, rewersa i świadkowie!

— Świadkowie! Cygańscy! Umarł! fe! hm! dajcie mi szlafroka! trzeci raz gadam, za czwartym bić będę! Gap! fe!

Już wychodził odziawszy się pan półkownik sapiąc i puszczając dym, gdy przyszła mu myśl jakaś, zawołał na sługę i odezwał się do niego.

— Hej! ty! Każ zaraz konia osiodłać, jedź do miasteczka, po pana Piórcewicza, niech tu formalnie przyjeżdża, het precz wszystko opieczętować. Niech będzie wedle prawa! No! no! umarł? proszę! Chodźże mi pokaż te regestra i klucze daj! no! chodźże.

Wyszli powoli, półkownik przechodząc koło pokoju, w którym trup leżał rozciągniony na tapczanie, zajrzał uchylając drzwi, kiwnął głową i puszczając kłąb dymu zawołał.

— No! no! i umarł! proszę no go!

Potém zatrzasnął drzwi i poszli daléj.

Adolf zaprowadził półkownika do gabinetu nieboszczyka, pokazał regestra, kazał ludzi przy-

wołać i w krótkim przeciągu czasu, ze wszystkiego zdał sprawę. Potém poszedł raz jeszcze pożegnać zwłoki ojca i oznajmił półkownikowi, że natychmiast wyjeżdża.

—A jedź, jedź sobie Waspan, a nie wiś tu darmo! hm! odpowiedział stryjaszek obojętnie rzucając dym razem z odpowiedzią w oczy Adolfowi — Bądź zdrów, radzę Waspanu przystać gdzie za ekonoma, albo za zastępcę wójta gminy, z pannami i paniami nie wdawaj się, a nosa nie zadzieraj wysoko. Z Panem Bogiem, krzyżyk na drogę!

To powiedziawszy i widząc że Adolf zabiera się wychodzić, półkownik zerwał się nagle z ciężkością z kanapy i, o ile mu tylko dozwoliła tusza, pobiegł potrąciwszy Adolfa, wyprzedzając go i stanął na ganku. Tu, zobaczywszy dwie bryki na których były rzeczy wyjeżdżającego,—potrząsł głową.

— Hej Mosanie, hej ty! Chodź no tu! zawołał na Adolfa, a co to tam wieziesz w tych brykach i tłumokach?

— Moje rzeczy.

— Rzeczy Wasana! Co? pś! tyle rzeczy! Każ no je rozpakować, muszę zobaczyć czy się

tam co mojego nie zamięszało? hę! Mówię rozpakować to.

Na te słowa wyrzucone w obec sług, krew uderzyła do głowy Adolfowi, zapomniał się z uczucia i ze ściśniętą pięścią postępując do półkownika, zawołał.

— Ty! może z siebie o drugich nauczyłeś się sądzić! Jak śmiałeś to powiedzieć, jak śmiałeś to pomyśleć. Szczęście że twój wiek broni cię od słusznéj kary, jakąbym ci domierzył; lecz na Boga, nie otwieraj więcéj gęby jeśli chcesz być całym. Każ pozabiérać te tłumoki i weź ostatek jakeś przywłaszczył wszystko! Chodź Jasiu!

Porwał brata za rękę i oddalił się szybko zostawując półkownika, z zagasłą fajką, z sercem bijącém od przestrachu. Rzeczy Adolfa kazano znieść i złożyć w osobnéj izbie do dalszego rozporządzenia.

Koło południa przybył Notarjusz pan Piórcewicz i kilka innych figur sądowych. Zajęto się natychmiast robieniem doskonale dokładnych inwentarzy, spisano wszystko i opieczętowano. Zostawały wreście papiéry do przejrzenia i w chwili kiedy półkownik może, najmniéj się tego spodziewał, pan Piórcewicz z je-

dnéj szufladki biórka wysunął paczek opieczętowany, z nadpisem wielkiemi głoskami:

Mój testament.

—Co! testament! co! hm! podchwycił Półkownik a! a! tegomsię nie spodziewał! Był przecie *mente captus*, a przeto *civiliter mortuus* i *ab omni activitate* prawnie usuniony. Ale no jak sobie chce, tém lepiéj! jak sobie chce! To ludziom gęby pozamyka.

Na wierzchu paczka napisano było, iż testament nie inaczéj powinien był zostać otwarty, tylko w przytomności trzech świadków, brata i dwóch synów, nie licząc w to urzędnika cywilnego, nie odbicie w takim razie dla formy potrzebnego.

Opisanie tych ceremonij i nazwisko *synów*, dały trochę do myślenia półkownikowi, ale po chwili zadumania, powiedział znowu:

—Jak sobie chce!

Rozpisano listy zapraszające na pogrzeb, sąsiadów; po pogrzebie miał być zaraz otwarty testament. Pan Piórcewicz został u półkownika tymczasem, już to dla opieczętowania reszty pozostałości, już to że smaczniéjszy był stół tutejszy, niż miejski jego oszczędny

rękami kucharki przyrządzany. Gospodarz chętnie się na to zgodził, gdyż nudno mu już było, bo nie miał kogo łajać i na kogo gdérać, prócz służących, a potrzebował odmiany dla zdrowia.

VIII.

VIII.

Otwarcie testamentu.

Odbył się pogrzeb. W domu, w którym już przedwcześnie panował półkownik, zgromadzone były sproszone na otwarcie testamentu osoby. Musiał przybyć Adolf z bratem; notarjusz Piórcewicz attentował pilnie, zjechał prezes ojciec Matyldy i wielu sąsiadów. Prezes był to łysy, podeszłego już wieku człowiek, mało mówiący zwyczajnie, z miny srogi, ale w sercu najlepszy człowiek. Był on z liczby tych, którzy dziwacznym kaprysem przyrodzenia noszą na twarzy wyraz przeciwny całkiem charakterowi ich duszy. Najlepsze w świecie serce ukrywało się

pod zmarszczoną, niby dumną, a wiecznie pochmurną twarzą. Może też Prezes doświadczywszy jak ludzie łatwo korzystają z dobroci i nadużywają, pokrywał ją tak starannie i nie dawał widzieć umyślnie. To też patrzący nań, nie lgnął od razu do niego, trzeba było długiego nawyknienia, głębokiéj znajomości serca, wypadku wreście, aby z pod téj nasrożonéj powierzchowności widzieć się dała anielska dobroć i prawość charakteru staropolska. Jedynaczkę córkę kochał Prezes nad wszystko w świecie, na nią zléwały się uczucia najtkliwsze jego serca, których stary nie miał gdzie indziéj obrócić nawet. — Przed nią nie taił się nawet z swoim charakterem, żądania Matyldy były mu rozkazami, a choćby najdziwniéjsze wyroiła, nie sprzeciwiał się, nie zastanawiał, spełniał,— to tylko umieją prawdziwie kochający czynić. Matylda zaślubiona za życia matki, bardzo młodo, podżyłemu obywatelowi, utraciła męża wkrótce. Od lat kilku wdowa wolna, bogata, sprawiała oskomę wszystkim młodym i starym kawalerom w okolicy. Prezes na wszystkich starających się patrzał z boku, a milcząc uważał tylko, kogo córka wybierze. Widocznie bardzo dała piér-

wszeństwo Adolfowi — Prezes dostrzegłszy to uśmiechnął się: rad był z wyboru, ale milczał, bo nie lubił mówić piérwszy. Chcąc wiedzieć jego zdanie, trzeba go było o nie zapytać wówczas otwiérał się z niém i nie pytając czy zostało przyjęte lub odrzucone; milczał znowu. — W chwili kiedy po śmierci matki i ojca, zachwiał się los przyszły Adolfa, Prezes nic nie powiedział córce, ani postępowanie względem niego odmienił; pomyślał, że im biédniejszy będzie, tém wdzięczniéjszy, a Matylda pewniéjsza przyszłego szczęścia.

Wszyscy oczekiwali otwarcia testamentu, lecz Półkownik kończył jeszcze fajkę rozwalony na kanapie, dmuchając popiołem na nogi bliżéj stojących i mrucząc pod nosem. Pan Piórcewicz z paczką w ręku stojący, chciał przypomnieć, ale się lękał, stąpał z nogi na nogę, ręce zacierał, czuba nastrzępiał i chrząkał. Adolf z bratem usunął się spokojnie pod okno, odosobniony wśród tłumu, bo do niego nikt nie mówił nawet i ledwie przechodząc mimo, grzeczniejsi nieznacznie kiwali głową. Jeden tylko Prezes często rzucał na niego wejrzenie, jakby chmurnym lecz pełnym ognia wzrokiem swoim,

chciał mu dodać odwagi i siły do zniesienia przykrości, które go spotykały.

— A czy wiesz Waspan, odezwał się po chwili obracając do Prezesa Półkownik, nie zważając bynajmniéj na licznych świadków, czy wiesz Aspan Dobrodziéj, że ja tu piękną rzecz onegdaj wieczór widziałem. Pilnuj dobrze swojéj córki, tać to ten o to! (i pokazał palcem na Adolfa) bardzo się do niéj przysuwa! hm! hm! fe! Jam się tego nie spodziewał, ale ptaszek przewąchał piéniądze, a sam jak bizun goły! O! są blizko z sobą, bardzo blizko! hm!

Adolf cały zaczerwienił się z gniewu, namarszczył czoło, spojrzał po uśmiechających się nieznacznie twarzach otaczających go osób, chciał cóś przemówić, lecz w téj chwili Prezes sam przemówił, odzywając się mrukliwie z spuszczoną głową, nie patrząc na Półkownika.

— A cóż w tém złego, że są tak blizko?

— Co? Aspan Dobrodziéj, chyba mnie nie rozumiesz?

— Owszem, rozumiem, ale w tém nic złego nie widzę. Jeśli się lubią to się pobiorą.

— Jakto! jakto! hm! krzyknął zrywając się Półkownik patrząc to na Adolfa to na starego,

który pochylony na poręcz krzesła, obojętnie palcami przebierał—A Aspanbyś na to pozwolił?

— Czemuż nie!

— Jakto! za tego! za tego, bez grosza, bez—

— Moja córka nie potrzebuje bogatego, odpowiedział obojętnie stary.

— A — imie, urodzenie, hm?

— O tém nie spiesz się sądzić, rzekł Prezes — Kat też po urodzeniu, kiedy z dobrego gniazda, urwis się wyrodzi.

— Ależ przecie! co za porównanie, wrzeszczał Półkownik! Jam *bene natus et possesionatus* temu lat trzy chciałem ją wziąść, czemu nie szła za mnie?

— Widać żeś się jéj nie podobał.

— A on się podobał, ten, ten — ten! wołał Półkownik z urąganiem, ten — jeden —

Adolf cały w płomieniach, poskoczył ku niemu i stukając pięścią w stół, zawołał.

— Mosanie, przystępuj do otwarcia testamentu natychmiast, nie przywykłem słuchać urągań z krwią zimną. Jeśli po to mnie tu wezwałeś, byś igraszkę robił, mam ręce jeszcze i za nic nie odpowiadam, jeśli ich użyję.

— Ja za to odpowiadam, że ich nie użyjesz,

bo mam ludzi we dworze, zawrzeszczał Półkownik. Patrz no go! panicz, fortunat! Królewicz jakiś! fąfry w nosie! słówka powiedzieć nie można.

Przerwał Prezes, który wziąwszy kapelusz w rękę i namarszczywszy czoło zbliżył się do Półkownika.

— Ja odjeżdzam, rzekł, bo widzę że mnie chcesz w osobie przyszłego zięcia dotknąć, na swojém miejscu będę prosił o wytłómaczenie i satysfakcją.

— Ależ no! no! nie unoś się, Panie Prezes! o! o! zawołał Półkownik rzucając fajkę i idąc za nim, nie gniewajże się, nie chciałem cię obrazić! Przepraszam najuroczyściéj — Proszę, siadaj, zaraz testament otworzym. Jesteś bo widzę uprzedzony dla tego młokosa, że go tak bronisz.

— Za kogożby mnie ludzie mieli, gdybym go nie bronił, odpowiedział Prezes, będzie przecie moim zięciem.

— Jego zięciem! słyszałeś! hm! szczególna *raritas*! a mnie nie chcieli za zięcia! mnie! hm! mnie! Cóż on jest? Ja byłem Półkownikiem! ja mam krzyże, ja mam medale, ja mam zasługi! hm! hm! a mnie to nie chcieli!

Wszyscy śmiać się zaczęli. Półkownik myślał że z Prezesa, Prezes że z Półkownika.

Położono testament na stole, Pan Piórcewicz rozpieczętował go, ucichło zgromadzenie, Półkownik nową fajkę zapalił, Adolf westchnął— Notarjusz czytał.

Zaczynał się testament zwykłym wstępem staropolskim, przeżegnaniem, wyznaniem wiary, opisaniem stanu umysłu, duszy, ciała i majątku, to jest funduszów w obligach, w ziemi, gotowiźnie, na bankach, w processach. i t. d. Podział potém następował taki.

— „Żonie mojéj„ czytał urzędnik.

— Jakiéj żonie? przerwał Półkownik, onże nie miał żony? hę? Urzędnik nic nie zważając czytał daléj.

— Żonie mojéj Maryj z NN. *primo voto* NN., dziś NN., na wszystkich funduszach zapisuję dożywocie, bez żadnego rachunku i określeń.

— Ten artykuł sam z siebie upada, rzekł Półkownik, gdyż aktorka nie żyje. Tylko tego nie pojmuję, dla czego on tę kobietę nazwał żoną. Była *uxor non legitima* więc i *matrimonium* jest *putativum* czyli *praesumptum* tylko, nie prawda

panie Piórcewicz? hm! O! ja znam prawo, jak moją kieszeń. Wyuczyły mnie processa.

Pan Piórcewicz czytał daléj.

— „Po śmierci zaś jéj synom moim"

— A kiedy on nie miał synów, przerwał znowu Półkownik — to są.

Nikt niechciał słuchać, fajka z ust mu wypadła, notarjusz czytał daléj.

— „Synom moim, cały pozostały majątek oddaję do równego podziału."

— Co ty czytasz? słuchaj no! krzyknął Półkownik zaczerwieniony. To być niemoże! Jakich synów? to są —

— Czytam co napisano, odpowiedział urzędnik uciérając nos flegmatycznie i chustkę pstrokatą zwijając starannie w kształcie naleśnika, potém można będzie zweryfikować. Czytał daléj.

— „Opiekę nad młodszym polecam matce i starszemu bratu, do lat prawem przepisanych. Jeśliby zaś, czego Boże uchowaj, zeszła matka zostawując go małoletnim, polecam go Adolfowi —"

— Co to jest? zawołał znowu nie mogąc się utrzymać Półkownik, to ja i nie opiekun! fe! A mnież który folwark zapisał? On się musiał upamiętać, tam musi być kodycyll?

— Jest jeszcze wiele rzeczy, odpowiedział urzędnik i czytał znowu.

—„Staremu Maciejowi kucharzowi, zobowiązuję moich sukcessorów, aby jednorazowie wypłacili złotych polskich 500, i onego do śmierci utrzymywali przystojnie."

— A daléj, a o mnie co? sapnął niecierpliwy Półkownik szarpiąc swoje krzyże wiszące na szyi i piersiach.

—„Wincentemu lokajowi złotych polskich 600, także jednorazowie, z tymże samym warunkiem."

— No! a o folwarku dla mnie? hm? czytajże czy ślepy, czy co?

—„XX. Bernardynom konwentu B.... na intencją za dusze nasze, aby się co tydzień w kaplicy naszéj fundacij, msza odprawiała, zapisuję złotych polskich 3,000, i takowe na folwarku Krasnogórze lokując, sukcessorów moich obowiązuję, aby procent od nich regularnie temuż konwentowi opłacali."

— A gdzież reszta? czemu nic o mnie nie czytasz? zawołał Półkownik—

— Bo niéma, odpowiedział zimno Urzędnik i czytał daléj znowu. — „Dzieciom żony mojéj

z piérwszego jéj męża, jeśliby o nich wiadomość jaką powzięto, zobowiązuję najmocniéj sukcessorów moich wypłacić każdemu po złotych polskich 50,000.

— Niech przepadnę jeśli rozumiem, krzyczał Półkownik, fajka mi zgasła, chłopcze ognia.

— „Bratu memu najukochańszemu —

— Aha! otóż jest! ja mówiłem! rzekł uradowany Półkownik podnosząc się żywo z kanapy — Jest! jest! czytaj!

— Panu Półkownikowi Salezemu N. Kawalerowi wielu orderów, w dowód mojéj pamięci i życzliwości, oddać rozkazuję."

— No! no! a cóż? cóż? folwark?

— „Oddać rozkazuję, powtórzył Piórcewicz fajkę piankową z cybuchem i bursztynem białym do niego należącym, równie jak kapciuch na axamicie, złotym bajorkiem szyty, które miałem darowane sobie od Posła Austryjackiego w roku —

— Nu, to dobrze, a daléj, wołał Półkownik.

— „Odda mu to syn mój starszy Adolf, którego pamięci i łasce polecam dzieci —"

— A daléj?

Daléj jeszcze czytał urzędnik pożegnania, przyjaciół, żony, nauki dla dzieci, lecz nie mógł

ich dokończyć, gdy Półkownik rzucając fajkę o ziemię, zakrzyczał że testament nie ważny, bo bez świadków, bez notarjusza.

— Jest notarjusz i świadkowie, odpowiedział Piórcewicz.

— Chory był i *mente captus* kiedy pisał, rzekł Półkownik.

— Data testamentu półrokiem przed chorobą rzekł znowu Piórcewicz, a w razie potrzeby i ja świadkiem, że testator był przy zdrowych zmysłach, bo towarzyszyłem tu memu szanownemu koledze notarjuszowi Plewaczyńskiemu, który zjeżdżał dla pisania testamentu.

— Cicho! cicho! krzyczał pan Salezy, a co najważniejsze, to że ta kobieta nie była jego żoną, a dzieci są nieprawego łoża—przeto majątku ojczystego dziedziczyć nie mogą! protestuję się i proces!

Przerwał wrzaski zagniewanego Półkownika pan Piórcewicz, który z zwykłą flegmą ukazywać zaczął annexa do testamentu.

1. Metrykę testatora.

2. Metrykę śmierci piérwszego męża matki Adolfa.

3. Metrykę ślubu nieboszczyków.

4. Metryki dzieci Adolfa i Jana.

Półkownik spójrzał i wybiegł piorunem wołając aby zaprzęgano konie. Nie chciał fajki ani cybucha nawet, a na ganku wrzeszczał że testator musiał mieć początki pomięszania, że metryki fałszywe, dzieci nieprawe i testament nie ważny.

Siadł potém i pojechał.

IX.

IX.

Nowe osoby.

Powóz szybko się posuwał po wyschłéj i ubitéj drodze. Adolf z Prezesem i Jasiem dojeżdżali właśnie do majątku Sosnowa, gdzie na nich oczekiwała Matylda. Wszyscy byli weseli; poglądali na bielejący zdala dwór otoczony topolami, jodłami, klonami, lipami, mieszającemi różnobarwne gałęzie swoje. Adolf niecierpliwy wychylał się z koczyka, Prezes z pod kapelusza ukradkiem, uśmiechając się poglądał na jego niespokojność. Oba, choć z daleka, ujrzeli, w ganku domu bielejącą suknią Matyldy, oba chcieli biedz piechotą swoją radość podzielić

z oczekującą na nich Matyldą, tak powolnie zdały im się biedz konie; lecz milczeli i wstydzili się siebie prawie, ukrywając wzrastającą niecierpliwość. — Przybyli nareście, na ganku był stolik nakryty do herbaty, czekała ich Matylda.

— Bóg wie od jak dawna postrzegłam i poznałam powóz, odezwała się do wysiadających, kazałam zaraz nakryć tu do herbaty. A cóż ten testament?

— Testament, rzekł Prezes powoli siadając, testament był dziwny. Cóżbyś naprzykład powiedziała, gdyby — —

Chciał widocznie trochę zniecierpliwić córkę; lecz ona końca słów nie doczekała a z miny Adolfa domyśliła się szczęścia. Adolf oddychał cały, jaśniał zwycięztwem, był szczęśliwy, bo mógł ofiarować kochance imie i majątek; ona zasmuciła się prawie, jéj ofiary się zmniéjszyły. Kiedy on był sam jeden, bez przyjaciół, bez imienia, bez majątku, chciała go aby mu dać wszystko czego mu brakło; teraz kiedy los wracał co na chwilę odebrał, żałowała że sama prawie narzuciła mu się, myślała że on może szukać sobie większego szczęścia, że może znaleść większe.

Po herbacie, Prezes włożywszy słomiany kapelusz wyszedł do ogrodu z Jasiem, Adolf i Matylda zostali sami. Nie będę spisywał ich rozmowy, znajdzie czytelnik podobnych wiele, w wielu starych i nowych romansach. W starych, suche, mdłe, sentymentalno-patetyczne, w nowych ogniste i poetyczne.

W starych i nowych, poetyczne i patetyczne piękne być mogą, rzadko naturalne, ale naturalność w tym razie tak jest trudną do pochwycenia, że my damy pokój zupełnie całéj téj kochanków, a dość długiéj konwersacij.

Właśnie gdy najżywszą była, w krzakach około domu dał się słyszéć szelest, potém śmiechy, potém znowu szelest, nareście dwie panienki i dwóch kawalerów ukazali się na ganku. Matylda porwała się jak gdyby ją kto ze snu przebudził, Adolf od niéj odskoczył w drugi koniec ganku.

— A, przepraszamy bardzo za nasze natręctwo, odezwała się jedna z panien, starsza jak się zdawało, blada, wysoka, dość ładna, z ożywioną fizjonomją, z bukietem u kapelusza, z xiążką ktoréj rożek wyglądał z koszyka za-

wieszonego na ręku. — Przepraszamy, przerwaliśmy rozmowę.

— Taki bo ładny wieczór, ozwała się druga młodsza z uśmiechem oprawnym w różane usta, z figlarném wejrzeniem, zwykłém u drobnego wzrostu brunetek. Tak ładny wieczór i od nas do Sosnowa tak blizko, żeśmy nie mogły usiedzieć w domu i przyszłyśmy aż tu spacerem z bratem i panem Alexym. Papy nie mogłyśmy się doczekać, jak pojechał do Półkownika, na otwarcie testa —

Zobaczyła Adolfa i nagle umilkła, przypomniawszy sobie, że mogła go mimowolnie dotknąć wspominając o tém. Dowiodła jednak połową tylko wymówionego wyrazu swego trzpiotostwa i roztargnienia.

— Pewno państwo jeszcze herbaty nie pili, ozwała się Matylda chcąc przerwać i w inną stronę nakręcić rozmowę, odbywszy ceremonjalne dygi i całusy.

— Owszem, owszem, wyszliśmy po herbacie! odezwali się wszyscy chórem, mężczyzni i kobiéty.

Ale, nic jeszcze nie powiedzieliśmy o mężczyznach. Widział już ich raz czytelnik na po-

grzebie, rozmawiających na smętarzu, wracających z polowania.

Pan Djonizy brat tych panien, był wysoki, brunet, cały zarosły wąsami i bakembardami. Pan Alexy suchy, mały, drobny, świegotliwy, sąsiad ich, posiadacz niezłego folwareczku, kawaler i aspirant do któréjś z dwóch. Do któréj zaś w szczególności, tego i sam nie wiedział, gdyż jak powiadał, nie mógł się zdecydować, czy się żenić z słuszniéjszą od siebie, czy równą sobie? Walka z sobą i nie rozwiązana wątpliwość, wstrzymywały go jedynie od odświadczenia się przez lat kilka. Był to bowiem człowiek głęboko myślący; mocno o sobie zarozumiały, ciągle przez nos mówiący; a skutkiem zapewne namysłów i dumań walących się co dnia, nigdy nie zdecydowanny. Choćby jak najdłużéj, nad czém się zastanawiał, nigdy mu jeszcze nie było tego dosyć; dziś kończył postanowieniem, jutro poczynał dzień inném, pozajutro nie wiedział co począć z sobą. Tak minęła mu prawie młodość, zbliżał się bowiem, do trzydziestu kilku, a brak decyzij w innych ważniejszych rzeczach, nagradzał sobie mocném i niezmiennem postanowieniem używania wszel-

kich słodyczy kawalerskiego życia, to jest ciągnienia pończu, wina i porteru, szachrowania na konie, zabawiania się w piekarni i praczkarni z ładnémi poddankami swojemi, które nie były bardzo od tego; odgrzéwania się przy tłustéj z towarzyszami rozmowie, bogatéj w anegdoty rubaszne, koncepta grube i żarty przynajmniéj po setny raz w coraz odmiennym podawane sosie; nakoniec zalecania się zawsze pannom, które wyobrażał sobie zakochane w sobie i polujące na mężów. — Rekapitulujmy przybyłych; było czworo, panna wysoka, imieniem Julja (nieszczęsne imie; wiécie dla czego, z historij Rzymskiéj) panna niższa imieniem Rózia (imie niewinne i parafjańskie), panicz wysoki nazwany Djonizym i mniéjszy imieniem Alexy.

Matylda jakeśmy wyżéj rzekli prosiła na herbatę, wszyscy naprzód zakrzyknęli że pili, potém powoli cofać się zaczęli, ktoś jeden szepnął że napiłby się bo go głowa boli, ktoś drugi potwierdził, wreście pan Alexy dowcipno-poufale wydał z sekretu, że w istocie nie pili herbaty. Podano ją.

Panny usiadły na ławkach, kawalerowie oparli się *pour se donner un maintien* o kolumny ganku. Adolf stał trochę opodal.

—Jak dawno tak pięknego nie mieliśmy wieczora, odezwała się panna Julja, same były słoty. I teraz nawet w lasku mokro, gdyby nie skórzane botinki zamoczyłabym nogi i musiałabym odchorować. Djonizy bądź tak grzeczny, urwij mi tego białego bzu z klombu, ja niezmiernie lubię zapach tego kwiatu.

Pan Alexy nie dający się wyprzedzić Djonizemu, pobiegł z nim do klombu, pannie Julij tym czasem przerwała mowę siostra Rózia.

—Julka tak nadzwyczajnie lubi wszystkie zapachy, naprzykład jaśmin; ja z perfum najlepiéj *Miel d'Angleterre*.

— I wiém czemu, odpowiedziała Julja szydersko spoglądając na siostrę, od tego czasu polubiłaś *Miel d'Angleterre*, jak ci nim pan Alexy zalał chustkę od nosa! Słodkie wspomnienie!

—Ach! jak Julka lubi przycinać, zawołała Rózia, i jabym też znalazła powiedzieć co, gdybym chciała! Bo zapewne nie mnie jednéj i podobno nie mnie nawet pan Alexy nadskakuje! Komuż on książki pożycza? nie mnie przynajmniéj. I teraz idąc przez lasek, Julka zaczytawszy się w jakimś pożyczonym romansie, o mało nie upadła, a gdyby nie Pan Alexy—

W tém miejscu rozmowy przyniesiono bez biały, który mały zalotnik z wdziękiem rozdzielił równo między obiedwie siostry, rozrywając na połowę ogromny pęk który mu całą twarz zakrywał. Od brata żadna bzu wziąść nie chciała, utrzymując że same powiędłe narwał kwiaty, choć rzeczywiście mały pan Alexy nie mogąc sięgnąć wysoko przyniósł tylko dużo liścia.

Matylda dotąd milcząca wmięszała się nareście do rozmowy.

— Jakąż to pani książkę idąc tu czytała? spytała Julij.

— Jakiś romans Walter-Scotta, odpowiedziała Julja, nie wiém zkąd go w mizerném tłumaczeniu dostał pan Alexy. Z miny jednak książki wnosić można jak popularna, bo utłuszczonych kartek ledwie czyściéjsze palce dotknąć się odważą i trzeba wielkiego niedostatku książek, żeby podobną czytać, bodajby najlepszą.

Tu pan Alexy przerwał, uwagą mocno przez nos wyrzeczoną, że wiele ma bardzo książek, że sam lubi czytać *dobre rzeczy* i pożyczać *pięknym* damom. Dodał jeszcze rozmachawszy się raz, że kupuje tylko *klassyczne* dobre książki,

które powszechną mają wziętość, jako to Waltera-Scotta, panny Radcliffe, pana Ducray-Duminil, pani de Genlis i Cotin. Dziwno być może nie jednemu że tu P. Alexy między swoich faworytów Waltera-Scotta położył; lecz w tém posłuszny był powszechnéj opinij bardziéj, niż własnemu uczuciu.

— Gdyby broń Boże pana w sąsiedztwie nie było, odezwała się Julja, tobym ja z nudy bez książek umarła, bo od kogożbym ich dostała! Mówiła to takim głosem, że trudno dójść było czy żartowała, czy istotnie tak bardzo wdzięczną mu była.

— Cha! cha! chi, chi! rozśmiał się przez nos P. Alexy, zacierając ręce z radości i jak wróbel skacząc z nogi na nogę, pani sobie żartuje, chi, chi!

— Śliczny wieczór, przerwała Matylda po chwili milczenia ogólnego, które nastąpiło, gdyby nie to, że konie nasze pomęczone, bylibyśmy korzystając z niego pojechali z papą i panem Adolfem.

— Może przeszkodziliśmy! przebąknął długi Djonizy głaszcząc wąsy.

— Bynajmniéj, odpowiedziała Matylda, prócz

tego mam nadzieję, że nasz spacer odłoży się tylko, ale nas jutro nie minie.

— A ojciec pani, czy wrócił już? spytała Julja oglądając się uważnie aby zobaczyć czy jeszcze był Adolf. (on w czasie rozmowy wymknął się i odjechał do domu).

— Wrócił; zrana jezdził do Adolfa, gdzie i ojciec pani był także podobno?

— Tak, odpowiedziała Julja, kiedyśmy wychodziły z domu, jeszcze go nie było, musiał gdzie wstąpić po drodze.

Zdziwiło wszystkich, że Matylda powiedziała o ojcu — *jeździł do Adolfa*, nie wiedzieli bowiem o wypadku testamentu, a sądzili zawsze, że nie będzie dla niego pomyślnym. Djonizy spójrzał na siostry poruszając głową, zaczął gładzić wąsy i zbierać gwiazdy wschodzące na wieczorném niebie. Alexy milczący stał i uśmiéchał się pod sekretem z kolei do obódwóch panien, co miało znaczyć że się im zalecał, (jeśli zalecaniem można nazwać pokazywanie zębów)— panny wyglądały tam i sam—rozmowa się urwała.

Po chwili milczenia, widząc że go nikt nie przerywa, Julja, odezwała się z cicha do P. Alexego.

— Pan niewie jeszcze kto dziś rano pisał do niego bilecik?

— Owszem pani, sądzę że wiem, odpowiedział zawsze przez nos zapytany, sądzę że Djonizy.

— Bardzo przepraszam! przerwała Ruzia dopomagając siostrze, z figlarnym uśmiechem.

— A któżby znów taki? nie potrafię zgadnąć.

— Połowę ja, połowę Rózia, zawołała Julja.

— Bodajże mnie! zakrzyknął chwytając się za głowę P. Alexy, czemuż mi o tém nie oznajmiłeś Djonizy! Anim się tego domyślał, inaczéj nie byłbym śmiał go tak użyć! Panie nie wiedzą co się z tym papierkiem stało?

Obie panny uśmiéchnęły się, Matylda ruszyła ramionami; możnaż było zgadnąć, na który z stu kilkudziesięciu użytków papieru obrócił go Alexy?

Widząc zaostrzoną ciekawość wszystkich, Alexy sam się zdecydował swoją zagadkę rozwiązać.

— Uważa pani, trzeba było takiego trafu, rzekł, właśnie miałem potrzebę posłać do złotnika do miasteczka starą solniczkę, obwinąłem

ją w ten list! Ale jak tylko powrócę, poszlę umyślnie, poszlę za nim.

— Otoż to będzie dzieciństwo, grubo zahuczał Djonizy, właśnie wart ten szpargał posłańca, ja jak poproszę, a może i nie prosząc, dostanę od nich kopę takich listów!

— Ale to nie moja wina! mruczał Alexy, czyż wiedziałem, czym się mógł domyśléć? czy mogłem poznać. Gdyby mi to przyszło na myśl, nie byłbym go tak sprofanował.

— Daj już temu pokój, odparł Djonizy, dziesięć takich jak zechcesz napiszą! Czy to one mają co innego do roboty! O! pisałyby dzień cały, byle kto chciał czytać i odpisywać.

— Śliczny brat, pięknie nas zaleca! zawołała Julja ruszając ramionami, ale zawsze w pół gniewnie w pół szydersko, a Rózia dodała.

— Panie Djonizy nadto sobie pozwalasz, to pewna że ja póki życia i literki nie napiszę, ani Julja także —

Znowu rozmowa ustała, znowu Julja czując całą przykrość wizyty pozbawionéj swojego żywiołu, rozmowy, odżywić ją usiłowała wspomnieniem o Adolfie.

Wydała więc naprzód westchnienie, które

miało dowodzić delikatności jéj sentymentów (tak mówią dotąd na wsi) i odezwała się.

— Co to za szkoda Pana Adolfa, powiadają że Pan Półkownik Salezy zajął wszystko po bracie, a siérotom nic się nie dostało.

Matylda zaledwie usłyszała wymówione imie Adolfa, zarumieniła się, rozlała śmietankę, którą właśnie stawiała na tacy i nie wiedząc o czém mowa, pośpieszyła z odpowiedzią.

— Podobno —

— Może to być i dobry chłopiec, dodał przez nos Pan Alexy, ależ los jego tak się zle zdecydował! bez imienia, bez grosza!

Matyldzie szumiało w uszach, nie słyszała rozmowy, potém uciekła pod jakimś pretextem do pokoju, dysponować niby wieczerzę. Oni swobodniéj jeszcze mówili daléj.

Zaczął Djonizy:

— Szkoda go doprawdy! co on teraz z sobą pocznie, świat mu zawiązany.

— A ładny chłopiec, dodała Rózia.

— Co tam w nim pani widzi, dziwuję się, przerwał Alexy, wysoki jak tyczka od chmielu.

— Ja także pewnie nie niższa od niego jestem! dodała Julja.

—A! co innego pani, zaczął się poprawiać nie zgrabnie Alexy, bo pani, bo—I tu wątek myśli urwał się nagle, konceptu mu zabrakło, zmięszał się nieborak, popatrzył na gwiazdy, na ziemię, wreście znalazłszy cóś, otworzył znowu usta i tak dokończył.—Bo, pani wzrost jest wielki, jak jéj dusza!

Byłże tu sens lub dowcip? Jednakże Julja półgłosem swoim chwaląco-żartobliwym, zawołała.

—A zawsze przytomny i dowcipny! Czemu z taką zdatnością, Pan Alexy nie pisze czego?

—Wolne żarty pani! ja piszę owszem i bardzo mam wielką ochotę do pisania, odpowiedział P. Alexy. W szkołach jeszcze będąc zacząłem był *Dykcjonarz rymów polskich*, mówili wszyscy, że gdybym to dzieło dokończył, uczyniłbym literaturze większą przysługę niż X. O... swoim *Słownikiem*. Ale cóż? cierpliwości brakło; stanąłem na zakończeniu *aba*, napisawszy tylko dwa wyrazy które pamiętam nawet, *baba* i *żaba*! Potém kochając się raz zacząłem znowu pisać czuły romans w listach, poprawiał go tłumacz *Eneidy*, autor *Barbary*, autorowie *Adolfa i Julij* i *Nierozsądnych ślubów*; ale tylko pół-

trzecia listu napisałem. Zacząłem zaraz myśléć jaki będzie koniec, czy smutny czy wesoły, i jak zacząłem się tém męczyć, nie mogąc zdecydować, porzuciłem wszystko! Teraz już rzadko piszę, ot jakoś nie chce się.

— Zle tak talent zarzucać! podchwyciła Julja szydząc.

— E! pani żartuje, skromnie odparł Alexy, może ja w istocie i wiele bym pisał i dobrze bym pisał, tylko mi zawsze jedna rzecz przeszkadza, albo mnie co zaboli, albo zaświerzbi, albo przerwie, albo nie wygodnie siedzę, albo pióro złe, albo papier nie dobry, dosyć że ile razy biorę się do pisania, jakby mnie kto zaczarował, nigdy nawet trzech wierszy nie napiszę.—

Nie wiadomo jakby na to była Julja odpowiedziała, gdyby Prezes w swoim słomianym kapeluszu, nie wrócił w téj chwili i uprzejmie po staropolsku gości nie powitał.

— A panienki, odezwał się, pięknie to tak, po nocy z kawalerami się włóczyć? Potém spytał:

— Gdzież Adolf?

— Pojechał do domu, odpowiedziała Matylda.

— A dobrze, niech tam robi porządek, rzekł Prezes; kto ma wioski, ma troski, przy dużym majątku, duże i kłopoty — Gospodarstwo, interesa, a to jeszcze nowicjusz! No — czemuż panowie nie siadają?

Dwaj zagadnieni wcale nie myśleli w téj chwili o siedzeniu, posłyszawszy o majątku Adolfa spójrzeli ciekawie po sobie, i Pan Alexy z miną powątpiéwania zapytał Prezesa.

— Alboż, mości dobrodzieju, spadło co na Pana Adolfa?

— Juściż spodziéwam się, jak zwyczajnie po ojcu na syna!

— A! cóż się stało z półkownikiem?

— Pojechał z kwitkiem do domu; nie w swoje nieborak wdał się rzeczy.

— Jak to, jak to! zawołali wszyscy z podziwieniem przysuwając się do Prezesa.

— Cóż dziwnego? rzecz najprościejsza jak tylko być może. Mnie się zdaje, że o tém wątpić nawet nie wypadało. Znaleźliśmy po starym wszystko w porządku i są Mosanie dowody, że kłamstwo pletli i bajki, ci co gadali, iż ślubu nie brali, a dzieci takie dobre jak czyje-

kolwiek, a może i lepsze; majątek więc do nich należy. Czemuż panowie nie siadacie?

— Pss! che! a to dalbóg! — zdecydowało się — zawołał Pan Alexy. No proszę, a ten P. Adolf stał tu u słupa z pół godziny, tak cicho, tak skromnie, jak gdyby nigdy nic. My nawet nie wiedząc jeszcze kto on taki, czy nasz brat, czy nie, nie mówiliśmy nic do niego, bo by wstyd było z —

— Czego wstyd Mospanie! przerwał porywając się z ławki Prezes, aż dwaj goście cofnęli się o krok. Czego wstyd? czy zrobił co niepoczciwego? czy się czém splamił? Ja do pastucha mówić się nie wstydzę?

— Niech się papa nie gniéwa, odezwała się Matylda spuszczając oczy, ludzie tak różne mają o jednych rzeczach wyobrażenia!

Julja widząc że zły obrót bierze rozmowa, i może przerodzić się w sprzeczkę, odezwała się do Pana Alexego, zawsze swoim żartobliwym sposobem.

— A widzisz panie Alexy! ja panu to dawno mówiłam, że urodzenie, stan, nic nie stanowią. Czytasz pan romanse a jednak nie pamiętasz, że i w nich cenią się ludzie właśnie z osobistych

zalet, charakteru, talentów, nie urodzenia i stanu —

— Tak, tak, dodał Prezes, poczciwość, Mosanie, serce, to grunt, a reszta głupstwo, fatałaszki wymyślone dla zamazania oczów ludziom!

— Już to panny to nie dziw, że chłopców bronią, rzekł Pan Djonizy usiłując w pospolitym a nędznym żarciku swoim utopić rozmowę — przybędzie kawaler.

— Nie na długo, zawołał rozweselony Prezes, rzucając okiem na zarumienioną córkę. Wszyscy umilkli.

Po chwilce, Pan Alexy jakby sobie cóś ważnego długo rozmyślając przypomniał, przybliżył się do Julij i rzekł półgłosem:

Xiężyc wschodzi — czas w drogę!!

Usiłował on te słowa wymówić, z takim poetycznym zapałem, jak gdyby były wyjęte z nowéj jakiéj ballady (ballady były właśnie w modzie), lecz że je przez nos przepuścił, zginął cały wdzięk deklamacij, nie wydało się uczucie, a Julja niby nie dosłyszawszy spytała go

— Co?

Wiadomo jak chłodne zapytanie łatwo za-

bija zapał; Alexy zmieszał się i odpowiedział prozą.

— Mamy kawałek drogi do domu, czas by się może wybiérać.

Jakoż ruszyli się wszyscy żegnać i wychodzić. Alexy wziął obie siostry pod ręce, a sam będąc w środku, ułatwił sobie z obiema rozmowę. Zdaleka podobny był do krzaku jałowcowego między topolką i sosną.

Pan Djonizy znając swój obowiązek brata, aby nie być na zawadzie rozmowie (która mogła się ukończyć tak upragnioném oświadczeniem) szedł sobie z tyłu, a dla dodania interessu przechadzce, zrywał liście z drzew, kładł na dłoni i klaskał. I to jest przecie zabawką.

X.

X.

Pies wściekły.

Wyszli i drożyną kręcącą się w lasku z sosen i leszczyny złożonym, dążyli do domu Pana Sędziego, ojca tylko co poznanych Panien Sędzianek i Pana Sędzica. Nim razem z niémi pójdziemy, muszę powiedziéć wprzód kto jest ten Pan Sędzia, jak wygląda i co robi.

Wyobraźcie sobie twarz więcéj niż rumianą, bo czerwoną, z uszyma, nosem, oczami, ustami, policzkami czerwonemi; twarz, któréj kształty nie wyraźne, zmięte, nie zwracając uwagi, dają pierwszeństwo nosowi dość wielkiemu, ale równie nie wykończonemu przez matkę naturę, po-

dobnemu wielce do kawałka gliny rzuconego od niechcenia na mur i przylepionego krzywo. Do tego dodajcie kocie czerwone oczęta małe, na głowie nastrzępiony siwo-czerwonawy włos, pod nosem wąsy równie harmonijnie rude. Zapewne z wrodzonego uczucia kolorytu. Sędzia udarowany przez naturę purpurową barwą, kocha się w czerwonościach, nosi bóty czerwone, chustki czerwone, a suknie przynajmniéj zakrawające na czerwoność.

Co się tycze obyczajów Sędziego, te są przykładne; gdy się wszyscy śmieją, Sędzia śmieje się, właśnie jak zwierciadło, które posłusznie odbija co mu pokazują; każą mu wierzyć w co, wierzy, zaprzeczać, zaprzecza, kłócić się nawet, probuje, kiedy go bardzo nabębnią.

Główną myślą Pana Sędziego, celem żywota wielkim, zdaje się być jak najlepsze wydanie córek zamąż, których sposobu prowadzenia się za to, nie patrzy, będąc przekonany iż to do niego nie należy. W wielkich okazjach, exkuzuje swoją neutralność przysłowiem — Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi — Panny Sędzianki ścielą téż sobie jak im przyjdzie do głowy. Sędziemu przedewszystkiem o to chodzi

żeby zamąż poszła — *hic labor*. Jak tylko pokaże się młody jaki, bogaty mężczyzna, sili się, pracuje, poci, mędruje, rozmyśla, póki tak lub owak, bodaj zdradą, do domu go nie wprowadzi; potém oddaje go na łup córkom, sam już ani patrzy — Robcie sobie co chcecie, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Drugim zatrudnieniem Sędziego jest ciągłe wyliczanie, ciągła inwentacja zalet, cnot, talentów Pana Djonizego, którego jednakże o ile nam wiadomo, najwłaściwiejby można użyć, za tyczkę do chmielu. To prace: rozrywką zaś najmilszą są Sędziemu rozweselające trunki, ku którym nie kryje swéj sympatij, używa ich bez braku i utrzymuje że z ich tylko pomocą na świecie wyżyć można. Interessa Sędziego idą, jak niémi opatrzność pokieruje; dom urządzają wedle swego widzimi się córki; wszyscy w nim swobodni, robią co chcą, nikt nikomu w drogę nie wchodzi; nikt nie myśli o jutrze, o przyszłości, wszyscy weselą się dniem dzisiéjszym — prawdziwa Atlantyda. Wróćmyż teraz do naszych podróżnych.

Alexy, jak powiedziałem, prowadził obie panny, idąc między niemi, kolejno pocieszając

je miluchnemi słowy i ściskając naprzemian pulchne ich rączki, z tą jednak pełną głębokiéj polityki ostróżnością, aby jedna o drugiéj szczęściu nie wiedziała. Djonizy zawsze w tylnéj straży, kręcąc wąsa, klaskając w liście, nucąc sobie jakąś piosenkę, któréj słowa nie dolatywały do ucha idących przodem, postępował. Od kwadransa już słyszały panny jednostajną nótę piosenki.

— Co ty tam śpiéwasz? spytał Alexy odwracając się z uśmiechem — Czy nie możesz nam słów wyraźnie zaśpiéwać?

— Cha! cha! cha! odparł Djonizy — I owszem!

— A! A! A toż co! Djonizy! wykrzyknęły obie panny przelęknione.

— Cóż to, przerwał Alexy zdziwiony, to panie znają tę piosneczkę chyba, kiedy się jéj tak lękają?

— A toż śliczny koncept!

— Pięknie Pan nas posądza, wykrzyknęły miarkując się obie siostry— trzebaż to znać żeby się lękać piosnek Djonizego, który same tylko jakieś kozackie sobie zawsze dobiéra.

— Dziwne pan masz o nas wyobrażenia, poważnie dodała Julja, uśmiéchając się jednak

nieznacznie, tak że nikt, nawet siostra, kradzionego nie widziała uśmiechu.

Szli znowu i dumali. Wieczór, w duszach kobiécych, w duszach ludzi których losy całe są jeszcze w nadziejach, zasiéwa niezliczonych dumań nasiona. Obie panny posłuszne natchnieniom jego, dumać zaczęły, kto wié czy nie o panu Alexym; dumał też Alexy, może o któréj z nich, jeśli nie o obódwóch. Choćby wcale myśléć nie chciał o nich, to musiał, bo obie pod ręce prowadził, a one tak się łaskawie na nim opiérały, że trudno aby zapomniał, jak blizko niego były.

Szli tedy; pięknym laskiem, pięknym wieczorem, pod niebem pogodném, wśród orzeźwiającego chłodu, a dumania ich godząc się z otaczającym światem, pogodne też i piękne być musiały; czasami przerywał je Pan Djonizy, raptownem palnięciem z liścia, skutecznie przypominając znikomość dumania i świat z którego uciekali myślami.

Po chwili, w oddaleniu dały się słyszéć głosy.

—To głos papy, odezwała się Julja, ale z kimże by to rozmawiał? Wyszli pewnie na nasze spotkanie.

—Swoim zwyczajem zapewne, odpowiedziała Ruzia, siedząc nade drogą, kogoś z przejeżdżających sąsiadów, zaprosić musiał. Papa taki dobry że nam zawsze kawalerów dostarcza.

Głosy coraz się przybliżały, niekiedy przerywał je śmiech serdeczny. Panny się zamyślały. Ruzia znowu odezwała się.

—Ale któż to taki?

—I ja nie zdecyduję, odpowiedział Alexy. Już to pewna jednak, że *papo* złapał kogoś siedząc nad drogą. Z głosu poznaję, że Sędzia po kolacij, a przynajmniéj po podwieczorku! dodał.

—A! ślicznie takie rzeczy gadać na papę! przerwała mu Julja.

—Albo cóżem powiedział?

—Juściż to poznać łatwo, że pan przymawiasz do tego, co się czasem zdarza, że papa napije się jaki kieliszek przy kolacij i weselszy—Staruszek, lada co, to go rozweseli, co to złego!

Pan Alexy zaczął się mocno bronić, dowodząc iż wcale co innego miał na myśli, głosy tym czasem stawały się coraz wyraźniéjsze i zbliżały się co chwila. Djonizy podskoczył ku siostrom.

— Na honor! zawołał, wiecie z kim papa rozmawia? Powiem wam, niezawodnie, z Adolfem! Jak to papa przewąchał zaraz, że s ę *fortuna* do niego obróciła! Jak jechał do domu, pewnie go siedząc jak zawsze nad drogą, zobaczył i poprosił. Jego to głos niezawodnie.

— Adolfa! odezwała się z podziwieniem Julja, jak gdyby ją to trochę ucieszyło, Adolfa? czyż to być może?

— Otoż się zbliżają — Tak to on.

— Dobry wieczór.

— Wieczór dobry.

— Całuję nóżki.

— Padam do nóżek.

— Najniższy sługa.

— Jak się pan ma?

Zaczęto się witać przy świetle xiężyca, widać było czerwonego Sędziego, kłaniającego się i chichoczącego na przemiany, Adolfa trochę zaambarasowanego, a nakoniec Notarjusza Pana Piórcewicza, długiego, suchego jak pióro, z nastrzępionym włosem, krzywiącą się gębą i malutkiemi czarnemi oczkami.

— Wyszliśmy na wasze spotkanie, odezwał się czerwony Sędzia. Pan Adolf był tak łaskaw,

że przejeżdżając, dał się uprosić i wstąpił do nas na wieczerzę. Otoż się i zabawim. Kollacyjka! a potém kto chce w czekino — Pana Piórcewicza znacie państwo?? także był łaskaw mnie odwiedzić.

— Bardzośmy rade z tego, że się to tak pięknie złożyło, żywo, z zalotnym uśmiechem odpowiedziała Julja — przejdziemy się jeszcze po lasku, a potém do domu na kolacją, i do czekina — Pan Piórcewicz czy grywa?

— Raz tylko grałem, przeszłego roku, odpowiedział urzędnik z pół-urzędowym uśmiechem, pociągając usta z jednéj strony prawie do samego ucha. Grałem—przy pisaniu intercyzy ślubnéj Panny Kamilli z Dębskich Karwowskiéj, w Małéj woli — cóś nie drogo.

— At, co tam Mospanie, drogo czy nie drogo, przerwał Sędzia, dziś żyjem jutro gnijem, pomrzem wszyscy, a z sobą nie zabierzem, dziś nasze! No! za ręce i do domu!

I Sędzia rozśmiał się, raz, drugi, trzeci, bo był rad że mu się tak wybornie udało złapać Adolfa na samym jego wstępie na świat, właśnie jak korek od szampana w powietrzu. Zaczęto iść do domu, a towarzystwo całe, już to dla

wązkiéj drogi, już dla innych niewiadomych nam przyczyn, dobrowolnie rozłożyło się na pary, w następujący sposób:

Pierwsza para — Sędzia czerwony z Notarjuszem.

Druga, Adolf z Julją.

Trzecia, Pan Alexy z Ruzią.

Czwarty szereg, Djonizy solo z liściem w ręku.

Tak rozdzieliwszy się, zaczęto rozmowy parami, kierując się jedni w lewo, drudzy w prawo, a w takiéj utrzymując się odległości, ażeby śmiało rozmawiać, nie lękając się podsłuchania.

Adolf któremu w podziele dostała się Julja, cały był w myślach o Matyldzie gdy zaczynał przechadzkę, obojętnie bardzo, jeśli nie z małym wstrętem podał jéj rękę, a jednak dziwnym skutkiem zwierzęcego może popędu, gdy uczuł jéj pulchną rączkę przy swoim ręku, gdy się dotknął jéj ramienia przypadkiem, gdy spójrzał potém na bladą, kształtną, pełną wyrazu twarz swéj towarzyszki; zagotowała się w nim krew młoda; Julja zdała mu się nie tak nudną, nie tak pospolitą, zalotne jéj nawet obejście, nie gniéwało go już jak wprzódy, przeciwnie cieszyło prawie.

Miłość własna idąc w pomoc uczuciu, poruszyła śmieléj jego językiem, uśmiechnęła się na ustach, zabłysnęła w oczach; darujmy mu, był człowiekiem.

Nie darmo w dawnych piosenkach kochankowie tak xiężyc uwielbiają, jest bowiem cós w powabach nocy exultującego człowieka, dodającego śmiałości, usposabiającego do postępków zuchwałych, niezwyczajnych. Światło dnia, czyni nieśmiałym, każe się prawie wstydzić zapału. Noc pokrywa rumieniec wstydu, osłania i kryje wiele rzeczy, wiele rzeczy tai; cicha, czarna, głucha, pochłonywa w swojém łonie dzikie myśli, dziwne postępki, głuszy słowa. Obronicielka występku, rozpusty, miłośnych szałów, sto razy więcéj pobłażającą jest od dnia, który jak Król, jak Sędzia w złocie i purpurze, zdaje się śledzić wszystko widzącém okiem i grozić. Radzę kochankom widywać swe lube, rozmawiać z niemi zawsze wieczorami. Podwójny z tego pożytek, bo złudzenia piękności na dłużéj przechowa, a do zbrzydzenia sobie kobiety tak nie wiele potrzeba! Dość jednéj plamki na twarzy, ust spalonych, zębów nieumytych, dość jednéj skazy; dostrzeżenie ziem-

skiéj ułomności w urojonym aniele, odraża, rozbija uroki, łamie miłość. Ludzie są brudnemi stworzeniami, trzeba je myć, polerować, czyścić jak deskę, któréj stolarz chce cóś wyrobić świecącego; aby pokryć chropawości, brudy, plamy i skazy wewnętrzne. Nigdy się z takim zapałem nie uwielbia jak w nocy, nigdy uwielbienie lepiéj przyjęte nie bywa; przez wpół przezroczystą szatę jéj, kobiety, mężczyzni, słowa, myśli, wydają się lepiéj, jak sztychy za szkłem, jak obrazy pod wernixem. Otoż to drugi pożytek.

Adolf szedł z Julją powiedzieliśmy, i coraz mniéj myśląc o Matyldzie, coraz tracąc obojętność i nieśmiałość początkową, oczy już na nią zuchwale zwracał, śmiał spoglądać na pierś rozkołysaną wesołością i znużeniem, śmiał szukać wejrzenia jéj niebieskich oczu. Gdy to czynił, zadrżał sam przed sobą, bo się zląkł własnych myśli. Dziwne też snuły się po głowie brudne jakieś, ziemskie, jak dym w słotę poziomo się wlokące; dziwne chęci rodziły się w nim, chęci które duszą odpychał, a które się cisnęły z drugiéj strony w niéj znowu; chęci i żądze, któremi ciało obdarza ludzi, aby przypomnieć du-

szy, iż jest wlepiona i zagrzebana w kał i błoto. Julja myslała podobnież, ale ona nie walczyła ze swemi myślami, nie wzdragała się na nie, nie dziwiła im. Kobieta przywykła więcéj żyć głową i myślą używać, puszczała nie wstydząc się saméj siebie wyobrażeniom, chęciom, życzeniom cugle; bo tym tylko sposobem mogła się nasycić. My mężczyzni często się więcéj wstydzim myśli, niż wzdragamy uczynków; kobiety przeciwnie myślą śmiało a wykonać się boją.

Drugiéj parze taż sama exaltacja umysłowo-cielesna czuć się dawała, z małą różnicą jednakże, bo Pan Alexy puszczał sobie wybornie cugle myślom, a nawet większą część dosyć śmiałych (*salva declaratione*) ubiérał w słowa niezgrabne i puszczał do ucha swéj towarzyszki.

Sędzia z Notarjuszem w innej byli wcale dyspozycij, oni rozmawiali o gospodarstwie, przerywając dyssertacje pełne osobliwszych tajemnic uczących siejby i wyrobku roli, kaszelkiem suchym i śmiechem bez czucia; owym śmiechem idącym z gęby tylko, przeznaczonym na ubranie ozdobniéjsze rozmowy, która się zbyt naga wydaje.

Pan Djonizy zawsze klaskał trzymając się w przyzwoitéj odległości z tyłu za wszystkimi.

Adolf i Julja nie tracili czasu. Ręka pod rękę, wieczorem, w lasku, szybko się ubiega droga do serca, choć się chodu i postępu nie czuje. Zaczęło się od wzajemnych prześladowań, użaleń, westchnień, tych preludjów zapowiadających silne zawiązanie się rozmowy, skończyło się na tém *ja*, na którém się wszystko kończy. Raz wdawszy się w rozmowę przez któréj niezliczone kombinacje, idzie się do coraz większego wywnętrzenia i poufałości; — nie zastanawiamy się nad skutkami, rzucamy się ślepo, oddani tylko roskoszy obecnéj wylania się. Któżby uwierzył, że mniéj niż w pół godziny Adolf i Julja byli tak *dobrze* z sobą, jakby się znali od roku, jakby ta poufałość, stopniami rosnąc powoli, wyrosła nareście straszna, niebezpieczna dla obojga. A wszystko w pół godziny; tyle to może noc, las, ciemność, i to zbliżenie w którém słów prawie nie potrzeba aby się zrozumieć, w którém rozmowa idzie szybko jak myśl, działa, oddziaływa, zmienia wyobrażenia jedne drugiemi i przyprowadza do tego stopnia.

zjednoczenia, w którym najpoufalsza, najśmielsza myśl, wydaje się naturalną i konieczną.

Biada nieukowi, który o południu, w salonie, pod oczyma stu ludzi, pokusi się o ukradzenie, zdobycie takiéj poufałości, ufając w minę swą głupią, mającą wyobrazić dowcip i uśmiech rozwieszony dobrotliwie na ustach, jak obrończa flaga na okręcie przybijającym do portu.

Kiedy Adolf prześladował Julją jeszcze licznemi jéj kochankami (miała ich liczących się w tym rzędzie, ale nieczynnych wielu) Julja, któréj charakter dziwaczny i śmiały, rozwijał się coraz wyraźniéj, jak z zielonego pączka kwiat ognisty; odpowiedziała mu stanowczo.

— Nie uwierzysz Pan jak to smutno zostać panną na wieki, z zamarynowanemi nadziejami młodości! Oprócz wszystkiego jeszcze jakaś śmieszność przywięzuje się do starych panien; wyglądają one w towarzystwie, jak suknie dawnego kroju zbutwiałe choć nienoszone i całe w garderobie. Cóż to dziwnego, że lękając się śmieszności, starości smutnéj, opuszczenia, kobiéta przyjmuje zaledwie minąwszy dzieciństwo, każdego, piérwszego lepszego, kto ją raczy z tego smutnego stanu wiecznie płonnych nadziei,

wyprowadzić! Cóż dopiéro nieco starsza, cóż dopiéro zwiędła, i drżąca żeby, gdy ją pierwszy ktoś nazwie *starą Panną*, klamka nie zapadła.

— Wdzięczen jestem Pani za to szczére objaśnienie, rzekł Adolf, — ależ jest przecie miłość, która w tém gra jakąś rolę?

— Miłość!! z westchnieniem, z namysłem, powoli odpowiedziała Julja — Najczęściéj Panie, mamże być szczérą, bardzo szczérą?

— A! jak najszczérszą, ja dobry jestem do sekretu.

— Najczęściéj, cicho dodała, mąż jest parawanem za którym ukrywa się — kochanek.

Zdziwił się Adolf temu axiomatowi panieńskiemu i chociaż stopniowo przyszło do wyjawienia go, zdumiał się, że usta panny śmiały to wymówić. Spójrzał na Julją. Usta jéj wpół otwarte do nowych wyznań zdawały się czekać tylko pytania, Adolf ścisnął jéj rękę na probę, jak pisarz, który daje kommę dzieląc wyraz od wyrazu. Potém mówił daléj:

— Jednakże, możnaż żyć z tym, którego niemożna kochać?

— Czemuż nie, szybko odpowiedziała Julja — Ja bardzo lubię czytać romanse, wyobra-

żać sobie szczęście sielankowe, co się po licznych przeciwnościach, zawadach, zawiązuje u ołtarza i trwa do śmierci. Ale na świecie, trzeba to sobie z góry powiedzieć, inaczéj się dzieje. Szczęście może lepiéj smakuje, może jest dłuższe, gdy się z niém kryjem, gdy je kradniem, żeby smakowało, trzeba żeby było nie stanem powszednim, nie chlebem codziennym, lecz przysmakiem. Widzisz pan tedy, że szczérze, między nami mówiąc, czystą tylko teorją, więcéj jest podobieństwa szczęścia z kochankiem niż z mężem. Tym czasem, co do trudności uplątania biédnego męża, te są niewielkie, przełamuje je pierwszy krok roztropny, pewny, śmiały. Kobiéta zręczna z każdym żyć potrafi; wie kiedy pobłażać, kiedy się oburzyć, wie jak sobie począć, żeby mąż rozkazując nawet był posłusznym, wie jak żyć z mężem dla kochanka, a to cała nauka. Najlepszy kochanek nie może być dobrym mężem, a nic niepodobniéjszego, jak żeby mąż mógł być kochankiem; chyba — bardzo krótko. Mąż i kochanek, *sont deux*, jak powiadają Francuzi. Dziwne to też stworzenie mężczyzna; nie raz on przysięgając u ołtarza wierność żonie, już wówczas okiem wodzi

po kobiétach, myślą biega w pogoń sposobów, któremi by je uwiódł.

— Wszystko to są prawdy, ale prawdy tajemne, misterja, rzekł Adolf, nie pojmuję jak tak po prostu, śmiało możesz je pani mówić, dziwię się, że to z ust jéj słyszę. Na Boga, z kądże masz tyle doświadczenia?

— Nie mogąc sama doświadczać, co pan łatwo pojmujesz, zimno odezwała się Julja, wkradałam się tajemnie w życie i uczucia drugich ludzi, książki złe i dobre wskazywały mi drogę, myślałam wiele, przypatrywałam się wiele, a teraz gdy mi świat stanął jakim jest, przeklinam książki.

Jakkolwiek w nich wszystko przesadzone, jakkolwiek one dają tylko takie wyobrażenie o świecie, jak podróż Gulliwera o zamorskich krajach, jednakże one to z drugiéj strony wskazują myśli, przykłady, naprowadzają na postrzeżenia; a przesadzając tu złe świata, tam dobre; gdy w dobre wierzyć nie możem, złe podobném czynią do prawdy. Mało jest książek nie niebezpiecznych, a te, które pospolicie uważają się za kodexa moralności, częstokroć najnieznaczniéj tylko dystyllują truciznę. Zresztą, porzuciwszy

książki, a wracając do naszéj rozmowy, nieprawdaż, że z ludźmi trzeba żyć jak skrzypce w orkiestrze: do każdego się umieć nastroić. Może własnie ja w téj chwili, nie trafiłam do pana, tém, co uniesiona zbyteczną szczérością, wygadałam bez potrzeby. Nie spodziewałeś się takich wyznań, sądziłeś pewnie, że prócz zastępującego słowa uśmiechu, i owych zalotnych, wiele znaczących a nic nie mówiących w istocie urywków rozmowy, na nic się więcéj zdobyć nie potrafię!

Ach! jak wy się mylicie, sądząc o kobiétach z téj cząstki, z téj próbki niedołężnéj, oprawnéj w ciasne rogówki względów towarzyskich, wstydu, bojaźni, którą wam pospolicie pokazujem, nie mogąc więcéj.

Ale ach! cóż to ja mówię! rozgadałam się i nie umiem powściągnąć języka. Tak bo to miło czasem z serca mówić! Tylko na Boga, panie Adolfie, zapomnij jak najprędzéj o tém cośmy mówili; niech ci jutro o białym dniu nic nie zostanie z mojéj szalonéj rozmowy. Ja czuję, żem wielką popełniła niedorzeczność swoją szczérością, ale to piérwszy raz w życiu podobno, wylałam się, czując, że może mnie zro-

zumieją. Czémże się panu wywdzięczę, za chwilkę téj rozmowy!

— Jabym to spytać powinien, przerwał Adolf, czém zaufanie we mnie położone odpłacę?

— Dość na tém, żeś go nie odrzucił, odpowiedziała Julja. Mogłeś był to jednak uczynić, mogłeś w początku oziębłością zabić poczynające się wylanie, miałeś dotego wiele powodów. Naprzód oziębłość z jakąśmy byli dotąd dla siebie, powtóre miłość ku drugiéj kobiécie, uczucie, tak mocno odstręczające (na jakiś czas) od innych i osobliwie w chwili kiedy blizki *urojonego* z nią szczęścia, nie dbasz pan pewnie o nic więcéj.

Adolf zakłopotany był, trochę się namarszczył i nie wiedział co daléj mówić, przebąkując cóś nie wyraźnie pod nosem. Julja śmiała się z niego, żartowała z zadziwienia, z osłupienia w jakie go tak niespodzianie dziwna rozmowa wprawiała.

Mówili jeszcze wiele z sobą, a raczéj jedna Julja mówiła tylko, Adolf słuchał, dziwił się, a kiedy niekiedy coraz wyraziściéj ściskał jéj rękę, coraz bliżéj wpatrywał się w twarz oży-

wioną, coraz dziksze jakieś budował marzenia.

Lecz na nieszczęście lasek, którym szli dotąd, przerzedzać się zaczął, zbliżali się ku końcowi jego, Julja spójrzała na świecące za nim od łuny zachodniéj pola i zawołała nagle urywając westchnieniem rozmowę.

— Teraz dość, koniec rozmowie! zobaczysz mnie pan znowu, jaką byłam wprzódy, usłyszysz znowu z ust moich, te myśli pospolite, pod sznur przyzwoitości ciągnione, wymierzone, wyrachowane, jakie pannom pospolicie wolno jest miewać jedynie, bo gdyby się z innemi wydały, posądzonoby je o brak skromności i wstydu.

Jeszcze cóś podobnego mówili, gdy odgłos:

— Pies wściekły! wściekły pies! rozległ się po lasku i drogą od dworu, ku idącym nadbiegł chłopak z kuźni, za którym jak punkt czarny, cóś się zdala ruszało. Krzyk ten, wyobrażenie niebezpieczeństwa, jak piorun rozproszyło naszych przechadzających się. Pierwszy Sędzia z Notarjuszem skryli się co najprędzéj w las i krzaki, Djonizy nie myśląc wcale o ratunku innych, sam najpierwszy salwował się ucieczką. Alexy

przez szczególniéjszy heroizm, nie sam uciekł, ale i Ruzię ocalił. Tak się bowiem przyczepiła do niego z wielkiego przestrachu, że ją za sobą pociągnąć musiał. Został tylko Adolf z Julją, widząc niebezpieczeństwo, porwał ją i chciał w las unosić. Ciężar jednak nadspodziewanie wielki, nie dozwolił mu tym sposobem zachować od ukąszeń wściekłego stworzenia, panny filozofki. Julja wyrwała mu się, pochwyciła go za rękę, i jak strzała puściła się z nim w najgęstsze leszczynowe zarośla.

Ledwie umknęli z drogi, jeszcze w uszach ich tętnił głos okropny — Pies, pies wściekły! gdy źwierze to, spokojnie przebiegło drogą i mogli byli powracać do domu, ale przelęknieni darli się bez pamięci daléj, drogiego chroniąc życia. Sędzia zrzucił szlafrok aby mu nie zawadzał, Notarjusz popychał go, wyprzedzał, sapał i klął, pogubiwszy co miał tylko takiego, iż się zgubić dało, Djonizy wlazł na sosnę, Ruzia i Alexy ledwie żywi dyszeli pod krzakiem pochowawszy głowy jak strusie. Julja i Adolf zabiegli w gąszcz niedostępną i usiedli pod brzozą — Ona blada, zmęczona, przestraszona, spiérała głowę na jego ramieniu, on patrzał na nią,

trzeźwił i w téj chwili zapominał o Matyldzie i psie wściekłym.

Xiężyc świecił, wiatr szumiał gałęźmi w oddaleniu, siedzieli długo, odpoczywali, rozmawiali nawet podobno. Ja o tém niewiém dokładnie, słyszałem tylko, że pożno każde z nich osobno wróciło, skarżąc się, iż błądzili w lasku. Nazajutrz, Adolf ruszał ramionami bez przyczyny, a Julja bez przyczyny łajała wszystkich domowników.

XI.

XI.

Pierwsze Wesele.

Ganek, sieni, pokoje, wszystko było oświecone w Sosnowie u pana Prezesa. Po dziedzińcu, wśród klombów, przechadzała się młodzież niezdatna do tańca, gwarząc, śmiejąc się, paląc fajki, popijając i rozprawiając o psach, o koniach, o kobiétach. Przez okna widać było tańcujących, muzyka brzmiała i wesołe okrzyki. Było to — łatwo się domyślić wesele Matyldy i Adolfa.

Goście są jak muchy, lgną tam, gdzie powierzchu placka żywota, trochę im cukru posypią; przybyli i tutaj urzędowie się weselić,

koniecznie się bawić, bo radością znaczy się jak piętném każdy krok stanowczy w życiu, jak gdyby chciano z tego punktu daléj ją z sobą pociągnąć. Lecz najczęściéj niema wesela na weselu, a urzędowa radość i wesołość odjeżdza razem z gośćmi, po których zostaje wiele potłuczonego, porozlewanego, kupa śmiecia w pokojach i wspomnienie:

— Chwałaż Bogu, że sobie pojechali!

Adolf w czarnym fraku, strojny, z bukietem, w obrączce na palcu, lecz nie bardzo wesoły, stał w ganku zamyślony. Wszyscy mu zazdrościli — żenił się wedle swego serca, z kobiétą młodą, piękną, bogatą, cnotliwą, dobrze wychowaną, przywiązaną do niego; czegoż u licha był smutny?—Bo—bo—stanąwszy u mety wszystkich życzeń, uczuł tę sytość, jaką nam sprawuje osiągnienie czegośmy żądali, brak nadziei, a zatém — brak życia. Stał w ganku i myślał, i sam sobie zazdrościł chwil, w których tylko zdala widział swoje szczęście, jak marzenie, jak poezją, gdy teraz dotknąwszy go zdało mu się nikczemną, pospolitą prozą. Prezes wyszedł także się ochłodzić na ganek, ujrzał zięcia zadumanego ze spuszczoną głową; i potrząsł si-

wym włosem i powolnie wziąwszy go za rękę, rzekł.

— Fe, mosanie, to niedobrze kiedy dzień ślubu od takich się rozmyślań poczyna! A co to będzie daléj? hę? Masz już kiegoś kaduka na sercu? co?

— Zwyczajnie, tak, przyszły mi myśli, myśli różne — odpowiedział Adolf jąkając się, że go tak na gorącym uczynku złapano.

— Ale czyż temu dać wziąść górę dziś? hę? Chyba masz jaki — *interess?* dodał — o którym ja niewiem, może — gadaj bo Asan — Brakuje ci czego?

Adolf chciał odpowiedzieć — Brakuje mi szczęścia, ale się wstrzymał, kiwnął głową i rzekł.

— Czegożby mi mogło brakować?

— O! to już nic innego, tylko pewnie jakieś stare figle Jegomości ciężą na sumieniu! Cha! cha! zawołał Prezes — porzuć to z lichem, a kto ich nie robił?

— To prawda! cichutko mimowoli wyrwało się Adolfowi.

— Do Mazura! do Mazura! zawołał wpadając na ganek Alexy — Panie młody, póki jeszcze

choć w części do naszego bractwa należysz, znami, do Mazura.

— Idę! idę! służę! Adolf poskoczył do pokojów.

W około sali siedziały strojne damy, mężczyźni wykrochmaleni chodzili w nowych frakach (z których nie jeden dla tego od dziesięciu lat konserwował się w kuferku, z pomocą myszek): huczna kapella, rznęła już Mazura zawiesistego od ucha. Matylda spokojna, wesoła, szczęśliwa, stała w białéj atłasowéj, pokrytéj korónkową sukni, z wieńcem pomarańczowych kwiatów, rozmarynu i mirtu na głowie, sparta o kolumnę. Koło niéj kobiéty, koło niéj mężczyźni — ona była bóztwem tego dnia i uroczystości. Między pannami kibicią, ożywioną twarzą, swobodą ruchów, i złym humorem, który jéj kaprysnego wdzięku dodawał — odznaczała się, odbijała Julja

Oczy Adolfa, mimowolnie zwróciły się na nią, zdało się, że go ku sobie niepojętym ciągnęła urokiem; spójrzał, zmięszał się, pobladł, poczerwieniał, potém rozśmiał się ustami, odwrócił głowę i poszedł ku żonie— przez sumienie.

— Chcesz Matyldo, tańcować ze mną Mazura?

— O! nie, mój drogi, nie mam żadnéj do tańca ochoty, odpowiedziała głaszcząc go nieznacznie pod brodę, weź sobie kogo innego, my z sobą całe życie będziemy tańcować.

Adolf musiał się uśmiechnąć, przez grzeczność dla żony, z uczucia przyzwoitości; ale na duszy jego ten wyraz — całe życie — padł i ciężył jak kamień.

— Całe życie, pomyślał — to niby wieczność człowieka! Odwrócił się, zbliżył do Julij i ją wezwał do Mazura.

— Nadto szczęścia dla mnie, odpowiedziała obejrzawszy się szybko i podając mu rękę, — przyjmuję wszakże, bo my z sobą, może raz ostatni tańcujem.

Adolf ruszył ramionami.

— Dziś jakby się zmówili, rzekł, wszyscy, jakiemiś dziwnemi, tajemniczemi słowy mnie karmią. Prosiłem Matyldę do Mazura, odpowiedziała mi, że nie chce: bo ze mną całe życie tańcować będzie. Pani znowu utrzymujesz, że to ma być raz ostatni. Na co tak strasznych słów żartem używać, niemi jak zatrutym sztyletem

bawić się niebezpieczno. I kończąc te słowa rozśmiał się sucho, zimno, jak się śmieją zwykle na końcu, dla zapieczętowania czémś rozmowy.

— Więc przepraszam, odpowiedziała Julja, że jedném słówkiem niezgrabném, całe mu jego szczęście splamiłam. Ale któżby się był tego spodziewał? — ja sądziłam że go to rozweseli— te—*raz ostatni!*

— *Mais elle est furieusement de mauvaise humeur; c'est à quoi il fallait s'attendre*, szepnął do siebie Adolf, a potém zaczął rozmowę.

— Mówiłaś mi pani kiedyś, że do ludzi trzeba się stroić. Jakże było można w dniu w którym dusza jak najmocniéj wyobrażenia wieczności cisnące się zewsząd, kruszyć i odpędzić usiłuje, jak było można, umyślnie te myśli nasuwać?

— Bo naprzód, odpowiedziała Julja, nie przyznasz się pewnie przed żoną, że nie możesz dziś myśleć o wieczności, i ja też tego się nie domyślałam, miałam pana za trochę poczciwszego. Powtóre, któżby się potrafił nastroić do duszy nowożeńca w dzień wesela? A znowu, osobliwie ja, któréj każde wesele, a tém bardziéj twoje

(to pocichu) tyle daje do myślenia! Ach! są szczęśliwsze ode mnie.

— Na nas koléj robić figurę!

— Ale jakaż? nie uważałem! jaka?

— Jaka figura?

— Co za figura?

Dowiedzieli się przecie i poszli tańcować.

Tymczasem obnoszono wina, cukry, łakocie, ciasta, herbatę, po kątkach ciche wiodły się rozmowy, złoto połyskiwało na zielonych stolikach, z dziedzińca dolatywały krzyki przechadzających się, śmiechy, wrzawa. Wszędzie się weselono, lub przynajmniéj udawano wesołość. Matylda cała w przyszłém szczęściu, patrzyła na męża, śledziła każdy krok jego, każde spójrzenie, usiłowała zgadnąć myśl i niedosłyszane słowa, których tylko z ruszenia ust domyślała się.

Mazur szedł swoją drogą. W tém, pannie Julij pękł trzewik, wyszła więc z koła z tancerzem, postawiwszy kogo innego za siebie, a pan młody przez grzeczność odprowadził ją do naprzeciw położonego pokoju, przeznaczonego dla dam, któreby poniosły szwanki w trzewikach lub falbalach. U drzwi zarzucił na nią Adolf szal

żony leżący na krzesle, bo przez sień chłodno było rozgrzanéj przechodzić i ze świecą w ręku wprowadził do owego pokoiku.

— Niezmiernie rada z tego zdarzenia, odezwała się Julja w progu jeszcze, chciałam właśnie z tobą parę słów na osobności pomówić. To rzekłszy siadła już na krzesle i zdejmowała trzewik ostróżnie. — Gdyby nie mój trzewik, mówiła daléj, niceby z tego nie było! Podaj mi z łaski swojéj z tego pudełka, co tam stoi przy drzwiach, parę białych atłasowych trzewików.

Adolf na ten rozkaz niespodziany, zmieszawszy się, smutny, roztargniony, niespokojny, zaczął przewracać spiesznie w pudełku i przyniósł wreście jakieś trzewiki.

— Co za roztrzepanie, mój Boże, zawołała ze smiechem Julja. Och! to prawda, że człowiek ze szczęścia szaleje, podałeś mi jakieś ogromne skórkowe berlacze, wielkie jak na dwie moje nogi.

— Bardzo przepraszam, takem się — zamyślił, odpowiedział Adolf znowu przewracając w pudełku — Ale otóż i cóś białego!

— Czyś slepy! to ręcznik! chyba mnie nie słyszysz? Wieszże o co prosiłam?

— Ach, przebacz pani! przerwał Adolf — wiem już wiem! Co za omyłka! przepraszam, potrzebowałaś — chustki od nosa?

Tego nie zniosę, zawołała Julja — pan nawet nie raczysz słuchać, co ja mówię — prosiłam o białe atłasowe trzewiki!

To mówiąc, choć w jednych tylko pończochach, pobiegła sama do pudełka, znalazła trzewiki i siadła je kłaść, a Adolf już chciał wychodzić, gdy go mocnym głosem przywołała.

— Czy już się panu znudziło? Jeśli nie — toż przecie nie słyszałam, żeby było grzechem patrzéć w dzień ślubu na cudze — trzewiki — Poczekajże chwilkę, mam pomówić z tobą.

— Ale — a nuż kto wnijdzie! przebąknął zafrasowany Adolf.

— To ja, nie ty myśléć o tém powinnam zawołała żywo Julja, bo mnie to byłby wstyd, nie mężczyznie, któremu chluba gdy uwiedzie; on wolny jak ptak, smiałém czołem robić może, co mu się zamarzy. Trzeba być takim — takim — tchórzem, nie tchórzem, dzieckiem jak ty, żeby się lękać! Spuść firankę w oknie od dziedzińca, wszystko widać ztamtąd. Drzwi zamknij na klucz i chodź do drugiego pokoju.

Adolf posłuszny był jak dziecko. Julja patrzyła tylko na niego ruszając ramionami, a gdy przygotowania spełnił, spiewając przodem wbiegła do drugiego pokoju.

— No! panie Adolfie, zawołała obracając się ku niemu nagle, weseléj mi, że przecie z tobą pomówić mogę. Nie myśl żebym ci wyrzucała postępowanie twoje, nie lękaj się tego, patrz mi w oczy smiało — Wszak nie jesteśmy sobie obcy?

— Tak, tak — Juljo — ale — jąkał się zarumieniony Adolf, oglądając się mimowoli tchórzliwie i niespokojnie dokoła — Zmiłuj się, wracajmy, postrzegą w pokojach, że nas tak długo niema.

— A! to nic do zniesienia! wszak i króciuchnéj żałujesz mi chwilki, boisz się mnie czy wstydzisz Adolfie? zawołała coraz gwałtowniéj Julja, przecież nie proszę cię o wiele, tylko o chwilkę!

— Słucham.

— Tego tylko pragnę, żebyś mnie posłuchał. Mam prośbę jednę do ciebie — Wiesz że kobieta niema nic droższego nad sławę!

— Cóż to? dla czego? przebąknął zaczerwie-

niony, zakłopotany, zawstydzony, tupiąc nogami, zacierając ręce, oglądając się w koło niecierpliwie Adolf.

— Proszę więc na wieki, zagrzebać w sercu (jeśli można) nasze stosunki związane nie wiedzieć jak i nie wiedzieć jak zerwane. *My, możem być dla siebie czém byliśmy, ale światu,* — ani słowa!

— Ale, mogłażeś myśleć?

— Boję się mężczyzny, podchwyciła Julja, bo na nic nie pomny, kiedy mu wino głowę zawróci, lub kiedy sądzi, że komuś ufność głupią, ufnością podobną zapłacić powinien. Proszę więc pamiętać, że tajemnica ta, nie jest twoją, że nikomu.

A! na Boga! gdyby wiedziała Matylda, cóżby pomyślała o mnie — zmiłuj się!

— Ale—

— Cóż za ale? Mąż żonie wiele rzeczy mówi, w pewnych chwilach, gdy mu się zdaje, że żona nie jest drugą osobą, tylko drugą jego duszą.

— Godziż się wątpić!

— Nie wątpię o charakterze, z resztą nie boję się ciebie jako złego, bo wiem że masz

dobre serce, lękam się ciebie jako słabego. Zresztą winnam! — ale nikt wyrozumiały winy téj występkiem nie nazwie. Niech się inna, cokolwiek życia stłumionego w piersiach mająca, postawi w mojém położeniu — Matylda nawet! Adolfie, ja ci radzę, nie wierz nikomu, żonie, siostrze, matce — nikomu! Ja jestem kobieta i nie dla obrony swojéj w twych oczach, nie dla czernienia drugich, ale jak jestem twoją — przyjaciółką, powtarzam ci z przekonania, że są chwile, kiedy się wszystkiego zapomina! Dusza, pamięć, względy, przyszłość, tonie jak ziarno piasku w morzu ognistém! Trzewik mnie cisnie, zwiąż lżéj!

— Tak, drogi Adolfie, mówiła Julja stawiąc nogę na krzesle, pamiętaj o tém, nie wierz kochance, miłości, nikomu! Kto mówił o stałości, kłamał lub szalał.

— Więc i tobie nie wierzyć? z przymuszonym, gorzkim usmiechem przerwał Adolf związując trzewik niezgrabnie. I tobie —

— Mnie! mniéj jeszcze niż komu, prędko odpowiedziała Julja — Kłamał kto wynalazł stałość. Kocha się jak pożąda, póki nie otrzyma. Jest w tém sens, aby żądać, mając? Co inne-

go szacunek, przywiązanie, nałóg. Miłość to tylko — nadzieja roskoszy — Proszę nie tak mocno związywać! na kokardkę jeśli umiesz! a! niezgrabny, nogę mi ściskasz! puść już, puść— ja sama zwiążę—

Tu, za drzwiami piérwszego pokoju, dał się słyszéć głos:

—Hej! a kto tak tam zamknął?

I zaraz rozległo się pukanie i znowu wołanie:

— Proszę otworzyć, proszę otworzyć.

— Zginąłem! krzyknął Adolf, obejrzał się, pobladł i załamał ręce.

— Cicho tchurzu! cicho, przerwała Julja.

— Proszę otworzyć! szumiał głos za drzwiami. Pannie Izabelli falbala się zerwała — Ale któż to zamknął?

I znowu kułakiem we drzwi stukają, koło drzwi gromadzi się coraz więcéj głosów, cała młodzież zbiega się z dziedzińca. A Panna Izabella niewiniątko od trzech krzyżyków, odzywa się cichym, rożańcowym głoskiem, wznosząc falbalę, ni wysoko, ni nizko, narzekając na nieporządek, że niéma się gdzie przebrać.

Następuje gwar, rady i widoczne próby wy-

łamania okna od dziedzińca, Adolf truchleje, mięsza się, niewié co począć, nie myśli nawet jak siebie i swoją towarzyszkę ratować.

Ale Julja nie traci przytomności.

— To, to widzę gorzéj niż pies wściekły! odezwała się cicho rzucając szybko oczyma po pokoju i zagryzając usta z niecierpliwości — To okno dokąd wychodzi? prędko? prędko? oni się tam dobijają! Chwila i po nas! Gdzie ono wychodzi?

— To — okno — okno — ja — podobno — ale, bo czy — na ogród! na ogrod, bąknął Adolf, który całą duszą słuchał odgłosu zaczynającego się wyłamywać okna od dziedzińca.

— Otwórz go, prędko — zawołała Julja, wyłam, rozbij szyby, zgruchocz, wysadź, zrób co chcesz!

W téjże chwili zgasiła świécę, słysząc brzęk szyb w oknie, które młodzież usłużna dla Panny Izabelli, rozbijała, pod przewodnictwem śmiejącego się do rozpuku z tego szturmu Prezesa.

Adolf stał drżący, bezsilny, zmięszany, poruszył oknem, nie miał siły wyłamać, było zabite —

— Zgubisz mnie Adolfie, zgubisz mnie na

wieki, wołała Julja wpadając w rozpacz nagle; stała drżąca przed nim, serce jéj biło, już słychać było jak ktoś oknem do pierwszego pokoju się dostawał.

Wtém drzwi dzielące dwa pokoje, Julja zamknęła szybko na klucz, potém rzuciła się w okno z rospaczą. Na widok ten Adolf przytomność odzyskał, wstrząsnął oknem, pokruszyło się w kawałki, otworzyło z trzaskiem.

Lecz zaledwie dobijający się z drugiéj strony, usłyszeli ten stuk i hałas, zaczęli bić do drzwi z całych sił, wołając:

— Złodzieje! złodzieje! zabiegajcie z drugiéj strony, wybijają okno, tam leżą salopy— prędzéj, prędzéj.

Julja tym czasem chwyciła krzesło, przerzuciła je na drugą stronę, stanęła na oknie, z okna na nie skoczyła, z niego na ziemię i zniknęła w krzakach.

Adolf został nie myśląc co robi, skoczył za nią, pośliznął się, padł, stłukł głowę o drzewo; nie czując jednak bolu poleciał słuchając tylko czy za nim kto nie goni.

Ledwie parę kroków w bok odskoczył i miał czas skryć się w krzaki, gdy pod wodzą Pana

Djonizego, zastęp młodzieży, przyskoczył do okna. Obaczywszy wystawione krzesło, zdruzgotane okno, i potłuczone szyby, jeden z nich krzyknął.

— Bądźcież zdrowe salopy, po czasie przyszliśmy, już się oni wybrali.

— Goń, goń! uciekli! krzyknęli wszyscy razem.

Cała młodzież rozbiegła się po ogrodzie, a Djonizy zapaliwszy świecę, dostał się do pokojów. Lecz jakże się zadziwił, gdy wszystko nieporuszoném i nietkniętém obaczył.

— Hola! hola! zawołał do tych, którzy przypatrywali się oknem i otwierając drzwi na klucz pozamykane — Łotry nic wziąść nie mieli czasu!

Przeszedł piérwszy pokój, otworzył drugi; kilkanaście osób wbiegło natychmiast.

Za tłumem mężczyzn, którzy wypytywali o szczegóły wypadku, weszły i kobiety wkrótce, niespokojne o swoje salopy. Z niémi i Panna Julja, z najspokojniéjszą uśmiechającą się twarzą, pytając ciekawie brata.

— Djonizy, a moja salopa?

— Są! są wszystkie co do joty, odpowiedział

brat. Ja naprzód waszych patrzyłem. Ale chwała Bogu nic nie wzięto.

— Któżby to znów taki był? kto to być może? odezwało się kilka głosów.

— Nikt tylko zmówieni lokaje, domowa jakaś sztuczka. Rozbiegli się wszyscy, niepodobna aby kogokolwiek nie złapali.

Pogadano trochę jeszcze i z kolei każdy wymknął się i wracał do sali.

Tu Adolf naprzemian czerwony i blady, stał zmięszany przed Matyldą, ze skrwawioną głową, którą mu radzono jak najprędzéj zawinąć i opatrzéć.

Biédna Matylda cała była drżąca, niespokojna.

— Po co bo to było latać za tymi łotrami, zcicha gderała na męża — Tyle osób pobiegło, i tobie Bóg wie dla czego ganiać się zachciało. Tak nie uważnie rozbić sobie głowę! I zarosiłeś się cały, gotowes jeszcze z tego rozchorować się. Ach! a żebyś się był mocniéj, żeby w skroń uderzył!

I troskliwa Matylda dawała mu nauki, których on biédak w pół słuchał, w pół nie, a że nie zwykły do kłamstwa, niezgrabnie się i śmie-

sznie wykręcał. Prócz tego okropne owe, dla nowożeńca, słowa Julij.

—Nie wierz nikomu! chodziły mu strasznie po głowie. Taką naukę, taki aforyzm posłyszéć w dzień ślubu i z czyich ust jeszcze.

Stare matrony, wrożyły cóś nie dobrego, z tego stłuczenia głowy w dzień ślubu; młodzież żartując, życzyła, aby innych znaków nie nosił na czole. O ohydne żarty! Adolf czuł się wszystkiém i wszystkimi srodze utrapiony, okrążająca go wesołość, jak biała szata, na któréj czarny znak położono, wydatniejszém czyniła jego cierpienie, pokrywane i tajone.

Tym czasem gotowano, ową po staroświecku zwaną łożnicę, którą przodkowie nasi tém imieniem udarowali, wprzódy jeszcze łożnicą zowiąc smętarz, jak gdyby pojęli że tu jest smętarz wielu ideałów, pogrzebionych po jednemu do ostatniego.

Stały obok siebie dwa łóżka mahoniowe z bronzami, na nich haftowane leżały poduszki, kołdry z dywdykowemi szlakami. Na przedzie świeciła gotowalnia pani młodéj, srébrami, kryształy, cackami, świeżemi, bogatemi, błyszczącemi. Podłoga wybita była dywanami, lampa

w alabastrowym głobie wisiała od stropu, w kątku dwa ogromne zwierciadła, przeglądały się w sobie stojąc jedno przeciw drugiego. Wszystko milczało i czekało. Ten przepych tyle szczęścia miał widzieć!

Wybiła północ, Prezes od starodawnych nie ustąpił zwyczajów, uroczyście z gośćmi wiódł państwa młodych do sypialni. Tu zastawiono cukrowe gody, zagrzmiały toasty i muzyka. Prezes sam oddawał córkę mężowi i kilka słów przemówił, aby niémi także obyczaj dawny przypomnieć. Potém goście wrócili pić, tańcować i bawić się resztę nocy. Adolf i Matylda zostali sami.

Obojgu serca biły, milczeli, słuchali muzyki, która ich dochodziła niewyraźna, przygłuszona oddaleniem, z drugiego końca domu.

Matylda zrzucała weselne stroje powoli, Adolf uskarżał się na ból głowy okropny. I bolała go głowa w istocie, od tych słów Julij—*Nie wierz nikomu!* — a na to i lawendowa wódka pomodz nie mogła!

XII.

XII.

Drugie wesele.

Półkownik Salezy jakkolwiek pogodziwszy się z przeznaczeniem, które mu nieomylnego na pozór spadku po bracie odmówiło; zaczął surowo myśléć nad sobą i swojém na świecie położeniem. Nie był szczęśliwy nieborak! Palenie fajki, systematyczne gdéranie na wszystkich nie zaspokajało go; zażądał przyjacioł, ale był pewny że ich nie znajdzie, postanowił więc wziąść żonę. Poduszka i fajka dobremi, wiernemi mu byli druhami, ale i jego nawet serca zapełnić nie mogli, jemu nawet wystarczyć nie potrafili. Myślał dzień, drugi, trzeci, ruszał ramionami, kiwał

głową, bawił się orderem wiszącym mu na szyi, nareście tęgo się namyśliwszy, zawołał swego pisarza, kazał mu obciąć papier pocztowy na list i pisać pod dyktą.

Pisarz, drobna figurka, w podartych bótach, z nastrzępioną czupryną, kosooki, a mocno o sobie zarozumiały, siadł i zamachnąwszy się napisał z ogonami

Jaśnie Wielmożny Mości
Dobrodzieju!

Skończył, chrząknął, obejrzał się. Półkownik mruczał cóś i palił fajkę, pisarz zaczął gryźć koniec pióra, zdmuchiwać pyłki z papieru, czekając na ciąg dalszy. Po kwadransie Półkownik odezwał się.

— Uuu!

— Czy *u* pisać? spytał pisarz maczając pióro.

— Osieł jesteś — odpowiedział Półkownik.

Pisarczyk nie był bez pretensij do dowcipu i tłumiąc śmiech, spytał znowu. Czy mam pisać *Osieł jesteś?*—

— Nie, gawronie, czekaj aż myśli zbiorę?

— To pisać? jeszcze raz przerwał kosooki z uśmiéchem do siebie.

— Uuu! jakiś głupi!

— Czy to mam wszystko wziąść dla siebie?

— Dla siebie! Czekaj — Zaraz, zaraz będę ci dyktować. — I znowu fajkę palił, myślał, kręcił się kwadrans na kanapie, a niecierpliwy pisarz gryzł pióro, ziéwał, palcami klaskał, chrząkał na próżno, myśląc że tém ściągnie uwagę na siebie i zdecyduje Półkownika, aby raz przecie dyktować zaczął. Nareście widząc że — *Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju* zaschło już zupełnie, że na piórze wysechł także atrament, że pół godziny od zaczęcia listu upływało; kosooki odważył się odezwać.

— Za pozwoleniem JW. Pana! Żeby JW. Pan raczył mi powiedzieć, o czém ten list będzie, jabym go już sam ułożył.

— Ty? hę? ty! Potrafisz właśnie! bąknął pogardliwie Półkownik muszcząc wąsa — No, napisałbyś ty list, proszący ojca o córkę, za żonę? hę?

— Oj, oj, czemu nie! odezwał się kosooki uśmiechając i oblizując.

— Ale no, pisz tylko pod dyktą. Zaczynaj — *Jabym się chciał z córką pańską ożenić, notabene starszą.*

— Z pozwoleniem JW. Pana, przerwał koso-

oki, takiego listu szturmem tak zaczynać nie można!

— To, to, to! a czemu? hę?

— Zwykle wypada zacząć, poważnie dodał pisarz, wysławiając się z pewnym zapałem właściwym cymbałom, mającym o sobie dostojne wyobrażenia — wypada zacząć od komplementu, albo od sentencij, albo od konceptu.

— No, no, jak to? hę?

To jest naprzykład od komplementu takiego — *Zasługi górne i zaszczytna familij JW. Pana elewacja w renomie, równie też, oraz, cnoty wkorzenione, jako* —

— A pfe, bredzisz! To jakieś kazanie!

— To można począć od sentencij, naprzykład:

— A no, czekaj, ja podyktuję sentencją — *Człek nie bydlę, rodzi się aby miał jedną towarzyszkę* —

— Ależ panie, *bydlę* w liście! to za grubo, mnie się zdaje że to nie ujdzie.

— A no, to cóż? to jakże?

— Może chyba położyć *zwierzę*, albo *żywioł*, bo *bydle* panie, to jakoś —

— Więc pisz. *Ja nie zwierzę, któremu co roku to* —

— Zmiłuj się JW. Pan, i tak nie można!

— A cóż można u diabła?

— Jakąś sentencją delikatną, od affektów początek biorącą—

— Aha! od affektów! rozumiem! Czekaj, ot ja ci zaraz podyktuję—Pisz—Nie—Co? Pisz—Nie—Czekaj. Ot jest—Pisz. *Moje serce nie lód*, a—

— Ale panie *lód*, lodu kłaść nie można! Aj, gdzież zaś! zawołał trzęsąc piórem i głową kosooki, coraz śmielszy—Już tylko niech mi JW. pan pozwoli, to ja sam dobrze napiszę.

— Także! Zachciałeś! Otto! Cóż to, ja nie potrafię, hę? Toć chodziłem do XX. Jezuitów do Retoryki! Ty mnie będziesz uczył! hę! No, pisz: *Ja nie lód, J. W. M. D. a serce moje przylgnęło do córki jego starszéj; otoż*— A co napisałeś?

— Zaraz—*Córki jego starszéj, otoż*—Jest.

— *Otoż ja będąc jak i ona katolik, szlachcic a mając majątek, z nią się chcę ożenić*—Jest?

— Jest.

— *Jeśli tylko serce panny Julij ode mnie nie jest dalekie i oddalone, ale ku mnie skłaniające się, przychylne i blizkie, bo* Jest, hę?

— Zaraz, *przychylne* i co?

— *Przychylne i blizkie*, naturalnie! Osieł!

— Jest!

— *Bo ja mam czystego funduszu pół milljona, to kiedy chce niech idzie za mnie, a ja jéj mogę sto tysięcy zapisać, czy ona posag wniesie, czy*—Jest?

— Czyż ja piórem tak jak pan językiem wystarczę prędko. Niechże pan poczeka! Zaraz, ot jest—*czy*.

— *Czy nie wniesie, byleby za mnie poszła, a jéj dobrze będzie ze mną. To pisząc piszę się*—

— Nie można JW. Panie, *pisząc piszę się*, chyba: *pisząc, zostaję*—

— No to, *zostaję z prawdziwém uszanowaniem i respektem*—

Odbywszy ceremonję pisania listu, przyłożywszy do niego rękę, nasapawszy się Półkownik, kazał kosookiemu zapieczętować i wysłać umyślnym.—

Wrócił z najpomyślniéjszą odpowiedzią— Sędzia upił się z radości. Julja tak była szczęśliwa, iż szalała prawie, wołając—

— Oto właśnie, jakiego mi było potrzeba!

Półkownik z ukontentowania wielkiego łajał bez braku, miary i końca, kogo tylko spotkał. Ślub *stante pede* miał się odbyć za dwa tygodnie.

Lecz spójrzmy na Pana Alexego, kochanka obódwóch Sędzianek, który dotąd nie mógł się zdecydować w wyborze jednéj z nich.

Dzień był słotny. Alexy siedział w domu, wyglądał oknem, ziéwał, fajkę palił, świstał, grzał się u komina, bo cóż innego robią w dni pochmurne starzy kawalerowie, jeśli nie śpią? Wtém z trzaskiem i hałasem kolaska zajechała przed ganek, Alexy poznał po koniach Pana Djonizego, i wybiegł do sieni.

— Szanownego! a niechże cię uscisnę! zawołał, jakiżeś poczciwy, żeś się zdecydował odwiedzić mnie choć w słotę. Nudziłem się jak ostatni, ślicznieś zrobił żeś przyjechał — Bóg ci zapłać! Chodź do pokoju!

— Och! och! odpowiedział Djonizy, i z nowinami bo przyjechałem.

— No, to tém lepiéj.

Po chwilce.

— Kochasz ty moją siostrę szczerze?

— Co? jak to? którą?

— Sam niewiesz którą?

— Bo widzisz to osobliwsza rzecz, czy uwierzysz, jeszczem się nie zdecydował! Osobliwie ten wzrost! A potém jak myślę o jednéj, to mi drugiéj żal.

— Ale przecież do któréjś z nich więcéj czujesz.

— To jest, bo widzisz, nie decyduję się — I, tak prawdę powiedziawszy, do obydwóch czuję.

— Ależ, musisz jedną woléć od drugiéj?

— To, jak czasem, któréj niéma to tę zawsze wolę.

— Nie podobna jednak, aby jedna z nich nie stawała ci częściéj na myśli.

— Na myśli? Masz rację! ot na myśli, to Jul — nie, nie — Róz — nie! Et, bo to widzisz, to osobliwsza rzecz jak mi się pomięszały.

— No, ale też pora wybrać jedną, bo oto druga zamąż wychodzi.

— Już wychodzi? Co? za kogo? kiedy? A ja? A cóż będzie ze mną? Otoż masz!! Ale no, ale któraż?

— A którążbyś wolał?

— To, tego, prawdziwie że nie potrafię po-

wiedzieć! chociaż wczoraj jeszcze nawet o tém myślałem, osobliwie że wzrost — Już tak nagle, to możebym — Ale nie—Nie—Bo—Jużbym wybrał—Ale nie—Bo to nie podobna, kiedy zaraz drugiéj żal—A zresztą, już bym się zdecydował na Pannę—Julją.

—I właśnie to ona zamąż idzie, tylko co wróciwszy do domu dowiedziałem się o tém że już słowo dane, więc łap konie i do ciebie.

—Otóż masz! po wszystkiém! A za kogoż idzie?

—Za Półkownika Salezego!

—Za tego grubego baryłę? Czy to być może?

—Tak jest! Jeśli w istocie kochasz Julją, cóż na to poradzisz? Papa dał słowo, Julka naturalnie musi być posłuszna.

—Otóż teraz przekonywam się, rzekł smutnie Pan Alexy kiwając głową, że sam nie wiedząc byłem się zdecydował, bo taki mi teraz żal Julij! Ach! Nie napijesz ty się wódki?

—A dobrze, starki.

—I napili się wzdychając, wzdychając zakąsili.

—Otoż z gruntu przepadłem, odezwał się Alexy przeżuwając.

— Nie przepadłeś, czy to na to ratunku niema.

— A jakiż ratunek?

— Wykraść! Choć to siostra moja, ale ja kiedy czyj przyjaciel to przyjaciel — sam radzę i pomogę.

— Ślicznie by to było, cicho odrzekł Alexy ściskając łapę Djonizego (ręką bowiem tego nazwać nie można) ale widzisz wykradać, to się trzeba dobrze namyśléć, bo to i ten Półkownik, kto jego wié jaki on.

— Cóż?

— Ja się go boję, taki rubacha, gotów bić się.

— On! co ledwie z kanapy na kanapę sapiąc przelezie!

— Ależ to potrzeba namysłu, to nie fraszki wykraść, to ryzyka panie! A potém jak to ułożyć? Możeby Julij o tém oznajmić?

— A! broń Boże!

— No — otóż widzisz, choć ja miarkuję że ona mnie kocha, bo i xiążek pożyczałem i żartowała ze mnie i wszystko, ale jak się to jéj czasem nie podoba?

— Jakże to może być, kiedy ty mój przyjaciel?

— Nu, ale na przypadek!

— Ale kiedy ja ręczę, że to być nie może.

— A jak z tego czasem proces wyniknie?

— Jaki?

— Bo Sędzia widzisz i Półkownik—

— Cóż oni zrobią?

— A mogą diabła zrobić jak się pogniewają i wezmą za ręce.

— Et, co bo ty tam na wszystko uważasz! Ja ci radzę po żołniersku cup, łup, wykraść w sam dzień ślubu, konie rozstawić, xiędza przygotować, ożenić się i wrócić na wesele.

— Ba, ba! żeby to tak łatwo zrobić jak powiedzieć, czego bym ja chciał!

Umawiali się potém jeszcze z półtoréj godziny. Djonizy gwałtem przez przyjaźń narzucał siostrę, ręczył za wszystko, Alexy dał się poprowadzić za nos i na wszystko zgodził.

Nadszedł dzień slubu, zjechał Półkownik i sapiąc czekał szczęśliwéj chwili połączenia się z panią swych myśli, któréj zawczasu zamiast mirtowego wieńca, koronę męczeńską wdziać należało.

— Otoż to panie jak za nic ręczyć nie można, mówił on do przyszłego teścia Pana Sędzie-

go, który chwalebnym zwyczajem na wszystko się uśmiéchał, pokazując dwa rzędy ząbków czarno-żółtych, pokruszonych i krzywych—Otóż to, czym ja kiedy spodziewał się, żenić? No! a gdzież ta moja miła? hę?

—Właśnie się ubiéra do ślubu! odpowiedział z ukłonem Sędzia.

Półkownik sapiąc wstał się przejść, palił fajkę, myślał głęboko — Goście przypinali bukiety—Cóż robiła panna młoda?

Ona stała przed zwierciadłem, w wieńcu z mirtu, rozmarynu, pomarańczowych kwiatów, w białéj sukni, w zasłonie i przypatrywała się niebieskim swym oczom, ucząc się jak je czuléj przymrużać. Kilka panien kręciło się koło niéj, ta pasek przypinała, inna suknią, inna rozrzucone włosy, wyprzedzały jedna drugą, każda chciała dotknąć przynajmniéj szczęśliwéj, aby mieć nadzieję, że drobinę jéj szczęścia ukradnie.

Ruzia prosiła siostry aby zrzuciła prawą rękawiczkę po ślubie dla niéj, bo przesąd jest jakiś, że która ją podejmie, pójdzie zamąż w przeciągu roku. Druga przypominała o pociągnienie nogą kobierca; i w tém są jakieś czary.

Wszystkie razem śmiały się, gadały, płakały, kręciły, popychały a nadewszystko jak najpowolniéj śpieszyły. Julja zamyślona trochę, jedną ręką piękne poprawiała kolje, drugą usuwała lok zwieszony na skroń. Ruzia niespokojnie oglądała się w koło, chmurka wisiała nad jéj czołem, patrzała na siostrę, wzdychała cicho, wzdychały i inne, ale wzdychała i panna młoda. One myślały, kiedy też święty Eljasz da im mężów pożądanych; ona, czy z tym, którego bierze będzie szczęśliwą. Lecz któżby wątpił o szczęściu Julij? ona nawet nie wątpi, czoło jéj się rozjaśnia, uśmiech przelatuje usta.

Ktoś wszedł — Pan Sędzia.

— A co? pyta — czyście gotowe?

— Zaraz, zaraz, odpowiada Julja, niech papa z Półkownikiem jedzie przodem do kaplicy, my tam w momencie będziemy.

— Proszęż się tylko nie opóźniać! To mówiąc cofnął się Sędzia, a za chwilę turkot pojazdów oznajmił, że pan młody i mężczyzni wyjechali już do kaplicy. Julja stała jeszcze przed zwierciadłem i uśmiechała się do jakichś myśli, które się jéj błąkały po głowie. Podają salopę, wychodzą na ganek — niema koni. Posyłają po

konie, Julja baczne ucho nadstawia. Z krzaków pod gankiem ciche głosy słyszéć się dają.

— Zachodź w prawo! cicho! cicho!

Julja poznała głosy, cofa się nazad do domu i śmieje się w duszy; wie ona o projektach Alexego i brata, żartuje z nich sobie i już ułożyła wypłatać im figla. Usłyszawszy głosy, usuwa się z ganku i wysyła jedną z kobiét równą sobie wzrostem, zobaczyć czy są konie. Tylko co ona wyszła, krzyk dał się słyszéć, dwóch ludzi ją porwało i uniosło. W tém właśnie kocz zajechał po pannę młodę, która siadła do niego i pojechała do kaplicy.

W domu tym czasem wrzawa, popłoch, zamięszanie. Porwanie jednéj z kobiét w takim czasie, w przytomności tylu osób, dawało powody do najdziwaczniéjszych domysłów, kobiéty drżąc pojechały z panną młodą. Ta, którą na miejscu Julij porwano, była zamężną; dano natychmiast znać mężowi do kaplicy. Nikt nie uważał, że brat panny młodéj z Alexym, zniknęli.

Porwaną kobiétę dwóch silnych ludzi zaniosło do pojazdu, czekającego już za domem; nie dając jéj krzyczeć, a tak się śpiesząc, że w po-

śpiechu i ciemności nie poznano omyłki. Alexy siadł z nią, Djonizy skoczył z tyłu pojazdu, krzyknęli na furmana — W cztwał! i kocz pędem błyskawicy potoczył się po gładkiéj drodze.

Alexy najmocniéj przekonany, że wiezie Julją, chciał jéj zaraz do nóg upaść i za gwałt przepraszać, gdy kobiéta wyrywająca się ciągle, zawołała do niego płaczliwym, przelęknionym głosem.

— Boże! cóż to jest? co panowie myślicie?

— A! na honor! wszak to — rzekł Alexy, który mimo głuszącego turkotu powozu poznał, że to nie był głos Julij — Pani — czy tylko nie omyłka!

— Ach! omyłka, pewnie! puszczajcie mnie, na Boga, puszczajcie! zawołała wyrywając się kobiéta — Ja pana nie znam, ja pana znać nie chcę! puszczajcie, puszczajcie!

— A! na honor! Djonizy! Djonizy! héj! furman stój! Djonizy! héj!

Djonizy nie słyszał o czém była mowa, lecz dorozumiawszy się, że kazano stanąć, odezwał się głośno.

— Jedź, jedź, nie słuchaj, ruszaj!

— Ale kiedy to nie panna Julja, za wołał

Alexy — łoskot powozu zagłuszył wyrazy, Djonizemu zdało się, że Alexy mówił, iż siostra jego jechać nie chce i odpowiedział z za kocza.

— Babskie wykręty, ruszaj w czwał!

— Zdaje się, że on mówi, iż to wykręty powtórzył Alexy, usiłując w ciemności rozpoznać twarz téj, która krzyczała ciągle i wyrywała się — Może to pani tylko głos odmienia?

— Ach! dajże mi pokój przez litość, człowiecze! Ja nie jestem Julją! jestem mężatka— puszczaj, na Boga — każ stanąć — zlituj się, bo wyskoczę!

— Słuchaj Djonizy, zawołał Alexy przechylając się za koczyk, powiada, że ona nie Julja, to omyłka!

— Co ty będziesz temu wierzył, ona sama niewie co plecie, zwyczajnie babskie figle, krzyknął Djonizy, sądząc zawsze, że Julja się tylko opiéra i jechać nie chce.

— Ruszaj!

— Ale, zlitujcie się, dokądże mnie wieziecie! każ stanąć, wołała kobiéta. Pan mnie zgubisz na wieki! Mój mąż! mój mąż! gdzież on był wówczas! Co on pomyśli! Ach! co ja po-

cznę! Stańcie, stańcie, każ pan stanąć, bo wyskoczę pod koła!

— Stój! stój! krzyknęło razem kilka głosów do koła, Alexy, który się zmięszał bełkotał — Jedź! jedź!

Pochwycono z przodu za konie, pojazd zakręcił się w bok, dyszel pękł, stanął. Djonizy widząc, że ich otaczają, zeskoczył z siedzenia, zbiegł z drogi i zaszył się w pobliskie krzaki.

Z obu stron przypadniono do drzwiczek powozu. Jakiś mężczyzna zsiadł z konia, otworzył je i grzmiącym zawołał głosem.

— Czyś ty tu Henryko?

— Ach, chwałaż Bogu! to mój mąż! zawołała kobiéta wyciągając ręce, chcąc się rzucić ku niemu.

— Chwała Bogu! odpowiedział mąż ponuro, cieszysz się! O! teraz mnie już nie oszukasz więcéj — Chciałabyś jeszcze pokazać się niewinną.

Kobiéta struchlała z podziwienia.

— Mężu! na Boga, cóż ty myślisz? zawołała, ten pan porwał mnie omyłką, zamiast jakiéjś Julij.

— Tak, i przez omyłkę zapewne, odwiózł

pół mili od domu! Co za błahe kłamstwo! Maszże mnie za głupiego, dla tego żem dotąd nie widział przygotowań waszych? Wierzyłem ci i byłem ślepy tą wiarą — lecz, teraz, bądź zdrowa —

Słów nie stało na odpowiedź kobiécie, oczy jéj zaszły łzami, krzyknęła przeraźliwie, okropnie, Alexy podniósł się z siedzenia, na którém się kręcił, jak na gorących węglach.

— Ale ja, rzekł połykając połowę wyrazów, ja staję w obronie, bo na honor, że wcale kogo innego chciałem uwieść — Biorę świadkiem pana Djonizego; potém napróżno postrzegłszy omyłkę krzyczałem, bo Djonizy, czy nie słyszał, czy —

— Dośćże już tego, z śmiechem strasznym krzyknął mężczyzna, dość, głupcze; ciesz się teraz tą kobietą, którą odebrałeś dzieciom i mężowi. Miałaż pójść za kim!

— Mężu, przerwała kobiéta, zbierz przytomność, pomyśl, zastanów się, czy Henrykę twoją, o taką zbrodnią możesz oskarżyć, mężu, nie dręczże mnie dłużéj! Boże! daj mu upamiętanie! O! spalę się ze wstydu!

— Ale niech się pan zreflektuje, rzekł ła-

godnie Alexy, sam nie wiedząc co począć, ja nic niewinienem, bo to fatalna omyłka, ta pani także — Poświadczy Djonizy — Djonizy! Djonizy! a gdzież on?

Cichość powszechną przerwał tylko szyderski śmiech męża, służący próżnemu wołaniu za odpowiedź.

— I gdzie świadek, gdzie dowody? spytał po chwili.

— Drogi mój, zawołała kobiéta, przysięgam ci, że się okropnie mylisz! zmiłuj się, ochłodnij, nie dręcz siebie i mnie napróżno. Przysięgam —

— Przysięga! rzekł zimno mąż, odstępując, chce żebym drugi raz oszukał się wierząc w kobiéce przysięgi!

Przytomni stali jak wryci, Alexy wołał znowu.

— Ja sam przysięgnę, sto razy, na honor, pani nic niewinna, to omyłka! Ale gdzież Djonizy?

Djonizego jak na złość nie było, a mąż nieubłagany, nie wierzył w łzy żony i zaklęcia Alexego. Przyszło do kłótni z któréj on, nie bez szwanku wyszedł. Napróżno przytomni wdawali

się za żoną, próżne były jéj zaklęcia, odpowiedzi, płacz; — myśl niewierności nadto głęboko utkwiła w jego sercu, nadto był obrażony, aby się dał przekonać. Śmiał się szydersko, odpychał żonę, klął siebie, ją i losy, gryzł ręce, targał włosy, złorzeczył, szalał.

— O, żony, kobiéty, wołał — dzieci moje biédne! Matka wasza spodlona! Resztę kończył w myśli i jęku, bo usta jego nie mogły poburzonéj wystarczyć głowie i sercu.

Po długim, okropnym kwadransie kłótni i narzekań, odstąpił mąż od drzwiczek powozu i oddalił się szybko. Żona wyskoczyła za nim.

— Hilary! zlituj się, miéj rozum, na wszystko cię zaklinam! Ty niewiesz jak niesprawiedliwie, jak okropnie mnie dręczysz. Zaklinam cię, na twoje przywiązanie do małego Jasia naszego — na naszą miłość, na Boga!

On ją odepchnął ze wzgardą —

— Precz, zawołał, precz, nie wspominaj splamionemi usty, splamioném sercem naszego czystego szczęścia — Tyś nie moja, nieznam ciebie — nie chcę cię znać!

Siadał na koń, dysząc okropnie, łzy lały mu się po twarzy, gniew wrzał w sercu, drżał cały.

Ona raz jeszcze, mocna niewinnością swoją rzuciła się ku niemu, pod konia, którego niewidziała nawet. Młody koń, stanął słupa przeląkszy się, postał chwilę i spadł przedniemi nogami na nią. Okropny krzyk dał się słyszéć— Biédna kobiéta leżała w błocie, zbita podkowami, bez zmysłów, mąż poleciał daléj—

A państwo młodzi powrócili z kaplicy, muzyka brzmiała, wszyscy byli weseli, ze wszystkich najweselsza, najszczęśliwsza Julja, którą co chwila pusty śmiech porywał, a nikt radości téj nie odgadywał zupełnéj przyczyny. — Po kątach, mężczyźni, kobiéty zebrani w kupki, po cichu opowiadali sobie szczegóły porwania jednéj z młodych mężatek. Robiono miljonowe najdziwaczniéjsze wnioski, dowiadywano się co chwila, czy nie wrócił kto z tych, którzy w pogoń pojechali. Pytano się o Djonizego, o wielu innych, Julja milczała, ale na wszystko śmiała się do rozpuku. Na jéj krześle sparty stał Adolf, rozmawiając z nią półgłosem, ona gryzła liść mirtu ze swego wieńca i śmiałém okiem rzucała to na niego, to na zgromadzenie. Półkownik już trochę pijany, coraz to z podełba spoglądał na jéj trzpiotalstwo i sam do siebie się

wykrzywiał. Kto wie, czy już w godzinę po ślubie, nie żałował, że się ożenił, widząc tę kobiétę, którą brał dla siebie, uśmiechającą się, dworującą z każdym, prócz niego. — Ale wist wymagał uwagi, pólkownik rzucił całą swą duszę w karty, bo grali punkt po pół dukata, i w krótce zapomniał o żonie, tak dobrze jak gdyby się nie żenił.

Trzeba było widzieć Julją;— jaśniejącą swojém szczęściem, swoją swobodą, okupioną kilką słowami u ołtarza, trzeba było słyszeć jéj rozmowę z Adolfem, pełną zapału, poetyczną, śmiałą, dowcipną, trzeba było uważać z jaką radością mówiła mu, iż nic jéj nie zostaje teraz do życzenia, że dostąpiła królestwa swego na ziemi, bo zamąż poszła. Cieszyła się zupełnie jak student, który skończył szkoły i wybiegł na świat z myślą, że jego biegu, jego popędów, namiętności, nie skrzyżuje już dyrektorska powaga, że jego czasu nie zjedzą obmierzłe mu xiążki, w których nie widział życia, tylko zasuszone słowa, leżące na bibule, jak trupy w katakombach.

Wszyscy byli zajęci — Julja rozmawiała

z Adolfem, gdy w ganku jakieś jęki, hałas, wrzawa, słyszéć się dały.

Wybiegli wszyscy — i ujrzeli:

Kilku mężczyzn niosących na ramionach kobiétę w białéj sukni, skrwawioną, jęczącą okropnie. Wielu innych szli obok. Kondukt ten tajemniczy skierował się do osobnych pokojów na prawo i drzwi się za nim zamknęły. Sędzia, Julja, pobiegli tam natychmiast, reszta gości została u progu, w sieniach, przysłuchując się jękom wychodzącym z tamtych pokojów, tonąc w domysłach, nad szczegółami wypadku. Połamany kocz stał z boku domu, pytali się woźnicy, on był z przelęknienia niemy, mówił o jakimś koniu, kobiécie, ale niepodobna go było zrozumieć.

Po chwili wybiegła z tajemniczych pokojów pani młoda, blada, obłąkana, łzami zalana, wysłano trzech konnych po lekarzy. Ustała muzyka, goście siedli po kątach, rozpowiadano, szeptano, domyślano się. Ciekawość, niepokój, zajęły miéjsce wesołości.

W tamtych pokojach leżała na łóżku kobiéta, z rozbitą głową i piersiami, twarz jéj i czoło, usta, pływały we krwi, nie znać było ry-

sów, wszystko krew zajęła i poczerniła. Przy łóżku stał mąż choréj i Julja, oboje smutni, lecz w sercu męża co się działo, niech pojmie, kto się odważy zajrzeć w takie uczucie. Milczał, zęby miał ściśnięte; oczy jasne i czyste, żadną łzą niezwilżone słupem stały, twarz drżała jak liść, słowa nie mógł wymówić — Patrzał i nie płakał nawet, westchnąć nawet nie umiał. Czasem wśród jęków, kobiéta odzywała się do niego, przerywanemi kilką słowy, ona go cieszyła, mówiąc, że nie czuje ran i bolu; rada była, że położenie okropniéjsze nad wszelkie cierpienia, skończyło się przecie, mąż przekonał się, uwierzył, wiedział, że była czystą jak anioł. Julja powiedziała mu wszystko.

Głuche, ciężkie, okropne milczenie panowało u łoża, każdy pytać, mówić, pocieszać się lękał; kilka kobiét obmywały rany, z których krew buchała. Hilary stawał u łoża, to znów rzucał się chodząc po pokoju, chwytał się za głowę, spoglądał na żonę, którą tylko po zmienionym głosie mógł poznać, odchodził znowu, znowu wracał, patrzał i uciekał.

Im dokładniéj dowiadywali się goście o tym wypadku, tém straszniejsze na nich robił wra-

żenie, mianowicie, że przyszedł w dniu, na któren byli pewni wesołości, zamówioną ją mieli, zostawili kłopoty w domu, postanawiając rozerwać się. Nikt nie lubi być świadkiem cierpień bez potrzeby, bo cierpienia wymagają litości, a litość ciężka jest sercu samolubów; oni często dają jałmużnę, dla tego aby nie patrzeć na ubogiego. Każdy też z zaproszonych odjeżdzał po cichu i kiedy po północy lekarz przybył, już kilka tylko zostało osób, i to gwałtem przytrzymanych do wista, którego bardzo systematycznie kończyli dwunasty robr Sędzia i Półkownik. Oni dwa razy wykrzyknąwszy—Ah! ruszywszy ramionami, potrząsłszy głową, mniemali, że się już ze wszelkiego obowiązku litości wywiązali, bo ten wypadek ich się osobiście nie tyczył. Szczęśliwi ludzie, punkt wista przegrany nierównie więcéj ich zajmował, od całego tego wypadku.

Lecz cierpień Henryki, rospaczy nieméj i okropnéj męża, nikt nie opisze. Co za przyszłość tego człowieka, co za wspomnienie, i biedne małe niewinne dzieci sieroty!

Bo Henryka nad rankiem Bogu czystą duszę oddała.

KONIEC PIERWSZEGO TOMU.

WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI
Ambasady [illegible] ukareszcie
№ 956

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		str.
I.	Umierająca	13
II.	Pocałunek i śmierć	27
III.	Kuglarze	35
IV.	Pogrzeb	51
V.	Pan Półkownik	63
VI.	Matylda	79
VII.	Koniec mąk	93
VIII.	Otwarcie testamentu	105
IX.	Nowe osoby	119
X.	Pies wściekły	141
XI.	Pierwsze Wesele	165
XII.	Drugie Wesele	187

BIBLIOTEKA NARODOWA

D.P. Bukareszt

19.VI. 53r.

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
128614
61 T1

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Powieść Szósta.

Biblioteka Szkoły Nar. Polskiéj w Batignolles

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.
Wilno 1841 roku 15 Lutego.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radzca Kollegialny i Kawaler Jan Waszkiewicz.

CZTÉRY WESELA.

SZKIC FANTASTYCZNY.

WYDANIE DRUGIE POPRAWNE.

TOM II.

I.

I.

Dwie pary.

—Moja droga, mówił Adolf do Matyldy przechadzając się po pokoju, trzebaby mi pojechać do Lublina.

—Mnie się zdaje że niema nic tak pilnego.

—Jakto? a sprawa nasza? potrzeba się koniecznie widzieć z plenipotentem.

—Możnaby do niego napisać.

—Powtóre, chciałaś sobie kazać robić meble, zakazał bym je sam u stolarza.

—O! na to jeszcze zawsze dość czasu; zresztą możnaby kogo za tém posłać—

—Nareście, wypadałoby pomyśleć i o Ja-

siu, odwieść go do szkół, albo oddać na pensją.

— Ten rok mógłby jeszcze zostać w domu, odpowiedziała Matylda, z wyraźném nieukontentowaniem. Jeszcze tak młody! Ty sam wiesz, że niéma nic gorszego, jak dzieci zbyt wcześnie do miasta oddawać, nauki tam prawdziwéj mało, a swawoli wiele.

— Możnaby dla niego wprawdzie przyjąć nauczyciela domowego, ale i dla tego muszę sam jechać.

— Jeśli już tę podróż za konieczną uważasz, mogłabym ci towarzyszyć — mam drobne interessa.

— Co ci się dzieje! zakrzyknął niecierpliwie Adolf, w téj porze jechać, tobie, z tak słabém zdrowiem. Karéta twoja zepsuta!

— Pojechalibyśmy większym koczem—

— Zmiłuj się, jakże ty możesz myśléć o tém nawet, musiałabyś odchorować! Jesień tak szkaradna, powietrze niezdrowe, noclegi niewygodne, znużenie samo!

— Ja dość jestem przyzwyczajona do powietrza; dobrzeby przy téj okoliczności porobić sprawunki, naprzód szlafroków, sukni potrzebuję—

— Mogę ci przywieść ile każesz.

— Nie poznasz się na tém mój drogi — potrzebuję też kapelusza zimowego.

— Napiszesz do Pani Ruban, ona ci do twego smaku wybierze.

— Muszę też sobie zrobić zapas trzewików, bo mi zupełnie wyszły —

— Dasz miarę, przywiozę wiele zechcesz.

— Wierzę! ale się pewno za oczyma robione na nic nie przydadzą.

— No, ależ sama miarkuj, godzi się to narażać zdrowie dla takich fraszek? Znasz siebie, ta podróż, to choroba gotowa. Gdybyż była przyczyna, konieczność, ale takie bagatele; mogęż pozwolić, abyś się narażała tak nieuważnie?

— Zdaje ci się! nic by mi się nie stało! Pojadę i wrócę zdrowiuteńka.

— Ale ja na to nigdy nie pozwolę, jeśli koniecznie uprzesz się jechać ze mną, ja sam gotowem się zrzec podróży.

— Ach! to byś najśliczniéj zrobił!

— I mnie by to najmiléj było, zostać z tobą, ale znowu, czy podobna sprawy zaniechać, zapomnieć o wszystkiém, opuścić ręce, zakuć się w domu.

—Zakuć się w domu! Od tego trzeba było zaczynać! Więc się znudziłeś?

— Cóż znowu za myśli! łapiesz słowa, czyż o tém mówiłem! Czyż godzi się tak posądzać— Cała rzecz że nie chciałbym zaniedbać interesu przez lenistwo.

—Ale bo mnie się zdaje że interes da się ułatwić przez listy?

—Więc chyba zapomniałaś co to są listy? Ktoś odbiera list, rzuca wkąt, nie myśli o co go proszono i na tém się kończy. Jak sam pojadę, głowę natrę, pochodzę wszędzie, przypilnuję i zrobię.

—Jednakże, mój drogi, jeśli to być może, nie jedź, proszę cię nie jedź! przerwała Matylda.

—Jużciż wiesz Matyldo, że niéma rzeczy, któréjbym na prośbę twoję nie zrobił—mogę i to zrobić: zrobię, ale sama rozważ, czy to będzie dobrze?

—Więc nie można żadnym sposobem, nie można? A! jedź więc! odstępuję mego, ale prędko wracaj! Kiedy powrócisz?

—Powrócę, oto tak—Ztąd do Lublina mil dziesięć, dzień drogi, półtora, tam mogę zaba-

wić dni trzy, cztéry, najwięcéj tydzień, jeśliby jakim przypadkiem z drogą tam i nazad zebrało się wszystkiego dwa tygodnie, to już ani godziny więcéj. Uprzedzam cię dla tego, że raz wjechawszy do miasta, rozpocząwszy interes, choćby on tylko zdawał się pół godziny, czasem go zwloką —

— A kiedyż wyjedziesz?

— Im prędzéj to zbyć z karku, tém lepiéj, nie prawdaż? Myślę nie bawiąc, jutro ruszyć w drogę, aby nocować w Zawieprzycach.

— Jak chcesz! Maszże piéniądze?

— Mam tyle ile mi ich będzie potrzeba?

— Może byś jeszcze wziął u mnie? Pomiarkuj, interessa, podróż, to bardzo piéniądze zjada! A nadewszystko, drogi, wracaj prędzéj, powracaj! Ja niewiém jak ja tu wyżyję bez ciebie, smutno mi będzie, nudno, nie do wytrzymania.

— O! ręczę ci, będę się śpieszył! Czyż mię o to prosić trzeba, z konieczności tylko jadę, wiész sama.

— A! i przeklinam tę konieczność! Ale jeśli ci tam dobrze będzie, jeśli się będziesz bawił — bądź szczęśliwy, choćby nie ze mną. Ja

tego życzę zawsze! Jeśli ci dobrze będzie, zapomnij o Matyldzie, która tylko w oknie siedzieć i wyglądać biedna za Adolfem od dnia wyjazdu nie przestanie. Dziś przynajmniéj nie idź już na polowanie, bądźmy razem!

—Ach i dziś i zawsze bądźmy razem! zawołał Adolf z zapałem przyciskając ją do serca i całując w czoło. Kto ma taką jak ty żonę, ten byłby najwystępniéjszym z ludzi, gdyby gdzie indziéj szukał roskoszy i szczęścia!

Zaledwie tych słów domawiał, zaczerwienił się, zmięszał, jak gdyby sobie co przypomniał, ochłonął z zapału, poprowadził ręką po czole i zapytał zimniéj już, przechadzając się po pokoju.

—Cóż więcéj każesz sobie przywieść z Lublina?

—Nic, bylebyś tylko siebie przywiozł, jak najprędzéj.

—Będziesz mnie mieć aż nadto prędko—

—Czyż może być nadto!

Czytelnicy sądzę poznali z rozmowy Adolfa, że do Lublina więcéj go cóś, oprócz sprawy ciągnęło; poznali że Adolf nudzić się zaczynał z dobrą, miłą Matyldą. Nic dziwnego—można szacować kogo, cenić, nawet kochać, a dla tego

z nim się nudzić. Dusza potrzebuje czasem pokarmu nowości, pozbawiona go, więdnieje, żółknie, z sił opada. Nuda zabija jak trucizna powolna. Lecz w sercu Matyldy do spokoju przywykłém, w którém najmniejsza odmiana, najmniejsze gwałtowne nieco poruszenie, zostawiały przykre ślady na długo, nowość nietylko pożądaną nie była, lecz przykrą i straszną. — Adolfowi potrzeba było nowości, jéj pokoju. Ona, jeszcze nie pojmowała jak potrafi znieść piérwsze oddalenie jego, dwa tygodnie, które przewidywała dwóma wiekami, przez ciąg których myśléć tylko miała o wszystkich mogących się mu przytrafić nieszczęściach, przypadkach, grożących jéj dalszemu szczęściu. Zacząwszy od gangreny, która z ukłucia palca szpilką trafia się nawet: aż do rozbojników i wilków na drodze, nasuwały się jéj wcześnie wszystkie okropności na oczy.

O jedném tylko nie myślała, jednéj nie przypuszczała rzeczy żeby Adolf mógł tak prędko— inną pokochać kobietę. Nie pojmowała tego sądząc z siebie, bo jéj miłość była nałogiem, im dłuższa, tém mocniéjsza; jego zabawką, która jak wszystkie zabawki, przebiérała się.

Rzuciwszy okiem na piérwsze małżeństwo, przejdźmy teraz od Adolfa liczącego piéniądze na drogę, od Matyldy zamyślonéj w oknie;-- do drugiéj pary nowożeńców.

Pan Półkownik Salezy siedział z fajką na kanapie zamyślony, oparty na poduszce, nadęty; przed nim stała ogromna filiżanka wonnéj kawy. Był ranek, półkownik ziéwał jeszcze ostatkami snu niedokończonego. Nagle do jego pokoju wbiegła żona, otwiérając drzwi z trzaskiem przed sobą. Półkownik wstał przed nią z kanapy, sapiąc zbliżył się ku niéj i życząc dnia dobrego w rękę pocałował.

— Dzień dobry ci Półkowniku! zawołała Julja głośno, głaszcząc go pod brodę, a sama spoglądając w zwierciadło — Jakże ci się spało?

— Jak zwyczajnie, nie źle, sny tylko miałem straszne —

— Straszne?

— Męczące! a! i dziwne, sniło mi się, żem otrzymał przywiléj wielki, pargaminowy, na jakieś starostwo, na którym konno jezdziłem; to mnie zmęczyło okropnie. AJéjmości jak się spało?

— Zapomniałeś żem cię prosiła, abyś mnie nigdy Jéjmością po staroświecku nie nazywał.

— Więc pani —

— Ja dość dobrze spałam. Wiész Półkowniku, że jestem na wyjezdném?

— Dokąd?

— Do Lublina.

— Po cóż?

— Tysiąc jest konieczności i potrzeb, odpowiedziała szybko Półkownikowa. Naprzód proces z sukcessorami Pana Żołądkiewicza, któren mnie obchodzi, bo na téj zależności oparłeś część mego zapisu —

— A! a! i cóż tam pani w processie poradzi?

— Jużciż kiedy Waszmość zaniedbujesz, zdajesz się na ludzi, zapominasz o wszystkiém, to choć ja pilnować się muszę. Adwokata ugodzę, interes przełożę, zapłacę komu trzeba, będę u Sędziów.

— Ale na cóż to, rzekł zafrasowany Półkownik; kiedy tego potrzeba, to, to ja pojadę.

— Ty, ty byś pojechał? zawołała żywo ze śmiechem Julja, a choćbyś pojechał, cóż tam zrobisz? Będziesz palić fajkę i spać a oni co zechcą, to pokręcą, pofarbują, aby ci tylko oczy zamalować—Daj pokój, już ja pojadę sama.

—No! no! odpowiedział Półkownik siada-

jąc znowu, ależ to jesień, złe drogi, pora brzydka, może ci podróż zaszkodzić, moja duszko!

— O! mnie nic nie szkodzi,—potém, pojadę karétą.

— A długoż tam zabawisz? spytał spoglądając z pode łba Półkownik.

— Będzie to zależało od okoliczności, jak pójdzie interes—niewiém, odpowiedziała Julja obojętnie — tydzień, dwa, trzy, może nawet cztéry, wypadnie zabawić. Ale, dodała po chwilce przystępując bliżéj i głaszcząc męża pod brodę, trzeba mi na to piéniędzy mój Półkowniku —

— Jak to?

— Mówię ci, na to mi piéniędzy potrzeba.

— Nie rozumiem.

— Bez piéniędzy, cóż ja tam zrobię?

— Nie słyszę—hm?

— Mówię, że mi dasz piéniędzy—niecierpliwie powtórzyła Julja.

— No—a dużoż ich tam potrzeba?—

— Sam pomyśl i porachuj—Na poparcie sprawy, Adwokatowi, koszta podróży, życie w mieście, sprawunki, nieprzewidziane wydatki —

— Ale i na Winiawie potrzeba by mi kupić dobrego węgierskiego.

— Zanotuję to sobie — A więc, jak miarkujesz na to wszystko wiele by potrzeba?

— Beczułeczkę! byle dobrego.

— Ale piéniędzy, nie wina, piéniędzy się pytam wiele by potrzeba? wiele mi dasz?

— A! a! um! Wiele? Ale ja niewiém! To trudno! Zresztą naści kluczyk. Tam w moim pokoju, w kantorku, w szufladce, po prawéj ręce, w drugiéj od góry, znajdziesz dukaty, rulonami od pięćdziesięciu każdy. Weź tam ile ci potrzeba, a zostaw karteczkę ile wzięto.

Julja z przymileniem złapała kluczyk, pobiegła do gabinetu, otworzyła biórko, potém szufladkę. Jaki ją widok uderzył! Rulonów leżało bez liku, a w nich tyle uśpionych roskoszy, tyle uczuć, tyle wypadków! Ach! pomyślała sobie Julja, jakby to z tym można żyć wesoło! Suknie, bale, powozy, stroje! wszystko by za to kupić można! Za tym talizmanem przyszedłby rój przyjaciół, sług, posługaczy szczęścia, głodnych złota, którzyby za nie wszystko zrobili. Potém sparła się na kantorku i zamyśliła się wiele wziąść.

Naprzód porwała trzy rulony, napisała na kawałeczku papieru — *Wzięłam dukatów 150.*

Chciała odchodzić, jakaś myśl przesunęła się jéj po głowie, zdarła piérwszą kartkę, wzięła jeszcze dwa rulony i napisała—*Wzięłam dukatów 250.* Odeszła znowu, znowu wróciła, zdarła kartkę i wzięła jeszcze jeden rulonik; widok tylu pieniędzy razem, zmniejszał w jéj oczach, cenę tego co brała. Uwinąwszy skarb swój w róg chustki, zamknęła biórko, żegnając westchnieniem i spójrzeniem, nieużytecznie leżące w niém złoto, i poszła odnieść klucz mężowi.

—A co lubciu, spytał, czyś dużo wzięła— jak wiele?

—Bardzo mało! odpowiedziała Julja chłodno.

—No, a ileż tam przecie?

—Tylko sześć ruloników, to powinno by wystarczyć. Zresztą jeśli mi zabraknie, napiszę do ciebie.

Półkownik zmarszczył się trochę, nie powiedział nic jednak. Wstał potém i zaczął w milczeniu przechodzić się po pokoju.

Po chwilce usiadł i z cicha się odezwał.

—Tylko Jéjmość—

—Znowu Jéjmość?—

—Tylko pani, poprawił się Półkownik, nie bardzo jednak szastaj pieniędzmi—

— Znasz mnie, że nie jestem rozrzutna! odpowiedziała Julja.

— Tak! tak, mh! Trzeba pamiętać na przyszłość, na to, że nam Bóg może dać dzieci.

— Dzieci! dzieci! zakrzyknęła Półkownikowa ze zgrozą — Niech mnie Bóg broni od téj biédy! Jeszcze by też czego nie stało!

— Co? co? podchwycił z podziwieniem, jakby uszom swoim nie wierzył Półkownik — Jéjmość—Pani, nie życzysz sobie konsolacij?

— Ja! ani trochę!

— To dziwna, rzekł cicho Pan Salezy, każda przecie kobiéta zamężna, pragnie zostać matką.

— Co ja, to nie, odpowiedziała Julja stanowczo—Niech mnie Bóg od tego broni. Uciecby potrzeba z domu, w którym by się piskliwe dzieci rozgościły.

— A, a, na cóżeśmy się przecie pobrali? spytał Półkownik nieśmiało.

— Jużciż pewnie nie żeby mieć dzieci, odpowiedziała Julja, to parafjaństwo! Pobraliśmy się, żeby żyć razem, wesoło, jedno drugie bawić, jedno drugiemu pomagać — i nie nudzić się pojedyńczo, siedząc w kątach, każde sobie— Fe! fe! Ty chcesz dzieci Półkowniku! A fe!

Zmiłuj się nie mów tego przed nikim, naraziłbyś się na śmiech. Chcieć dzieci to ostatnie parafjaństwo, staroświeczyzna. — Ty chcesz dzieci Półkowniku! Cha! cha! doprawdy chcesz dzieci?

— I, nie, ja tylko tak żartowałem, odpowiedział zmięszany Półkownik, wychodząc powoli za drzwi z uśmiechem przymuszonym i boleśnym.

II.

II.

Pobyt w mieście—Spotkanie.

Dnia 25 Września 1826 roku, meldowała się na rogatkach w Lublinie Półkownikowa Julja z R.....Z.....

Tegoż roku, miesiąca i dnia, w kwadrans po niéj, meldował się Pan Adolf N.... obywatel z Lubelskiego.

Pani Półkownikowa stanęła na Krakowskiém przedmieściu, w domu gościnnym koło poczty, na górze.

Tamże, w tymże domu na dole stanął Pan Adolf.

Nazajutrz dnia 26 Września Pani Półko-

wnikowa przeniosła się z domu zajezdnego, na mieszkanie najęte w kamienicy, naprzeciw kościoła Ś. Ducha. Przeniósł się tamże z nią P. Adolf. Mieszkanie zamówione na miesiąc.

Dnia 28 Września był wielki wieczór u Półkownikowéj; nazajutrz wielki obiad na osób trzydzieści.

Dnia 30 Września Pani Julja, nie przyjmowała nikogo. Adolf bawił z nią razem dzień cały. Wieczorem jeździli za miasto.

Dopiéro 1 Października, wyszedł oswobodziwszy się na chwilkę od niéj Adolf, za sprawunkami i interesami do miasta. Połowę z nich załatwiwszy, (bo czegoż się nie dokaże z pieniędzmi?) zmęczony wszedł do jednéj z winiarni. Towarzystwo było dość liczne, czy to, że jesienne, wilgotne powietrze napędziło je, czy dla innych jakich powodów.

U stoliczka małego, sam jeden siedział mężczyzna jakiś, ospowaty, czerwony, w zielonym fraku z axamitnym kołnierzem, z miną zupełnéj emancypacij. Adolf rzucił na niego okiem i mimowolnie spójrzał raz drugi i trzeci, bo twarz ta nie była mu obcą; nieznajomy też ze swojéj strony wpatrywał się pilnie w Adolfa.

Prawie jednocześnie zbliżyli się ku sobie i przywitali serdecznie.

— Niechże cię powitam, Juljuszu!

— Jak się masz! Adolf, nie mylę się!

— Kopę lat niewidziany!

— Kochany ten Adolf.

— Szanowny kollego szkolny!

— Wieki, jak o tobie w naszych stronach słychać nie było.

— Prawda.

— Musiały zajść odmiany od tego czasu!

— I wielkie.

— Zmizerniałeś, czyś się nie ożenił?

— Zgadłeś, jestem żonaty.

— Więc to zapewne twoja żona, z którą jak sobie przypominam jeżdżącego cię po mieście widziałem?

— O! nie — to jest, to jest — moja kuzynka.

— Kuzynka! Ładna dość ta twoja kuzynka! No proszę! ożeniłeś się i mieszkasz zapewne nie daleko, w tych stronach, a jednak aniśmy wiedzieli o sobie. — Otóż to czém się zwykle kończą owe sławione przyjaźni szkolne!

— Cóż chcesz, odpowiedział Adolf, ludzie

się potém rozbiegają po świecie, przychodzą zmartwienia, interessa.— I ja, naprzykład, jestem teraz opiekunem brata, straciłem w krótkim czasie po sobie matkę i ojca.

— To przykro! Ale teraz za to jesteś pan, sam sobie, musisz być bogaty?

— Dość — i żona przyniosła mi znaczny majątek.

— Z kimżeś się ożenił?

— Z jedną wdową, moją kuzynką.

— Szczęśliwy jesteś do kuzynek jak uważam! Z wdową, powiadasz? A! to nic lepszego, bogata, nie młoda?

— Owszem.

— No, to brzydka przynajmniéj.

— Wcale nie.

— Chorowita czy co?

— Zdrowiuteńka.

— Jednakże bogata?

— Bogata.

— Tém lepiéj, musisz być z djabłami szczęśliwy!

— Alboż to szczęście za pieniędzmi chodzi.

— Ha! jużciż gadaj sobie co chcesz, a i bez pieniędzy szczęśliwym być nie można.

— Cóż ty tu porabiasz? jak ci się powodzi? cóś robił wyszedłszy ze szkół?

— Ja! Ot, zaraz ci powiem. Musisz sobie przypominać, że gdyśmy razem szkoły skończyli, byłem jeszcze dzieciakiem strasznie głupim.

— Przypominam to sobie.

— Zamarzyła mi się wówczas w głowie, jakaś miłość, ku jednéj panience, która, na nieszczęście, nie miała ani trzech groszy posagu, nic, prócz świéżéj bardzo młodości i wesołego uśmiéchu. Była bardzo wesoła! Zakochałem się w niéj po młodemu, po szalonemu, jak kot, nie było ratunku ani perswazij, zakochałem się i kochałem.

— Pojmuję.

— Pojmujesz, tém lepiéj. Otóż, chciałem się ożenić. Mój ojciec człek stary z staropolskim wąsem i obyczajami, wręcz mi dał do zrozumienia, dowiedziawszy się o tém, żem jeszcze błazen, że mnie o xiążce myśléć, nie o żonie. — Wiedząc, że nie przemogę ojca, musiałem się poddać losowi i przysiągłszy mojéj kochance miłość do grobu, postanowiłem czekać, krótko mówiąc, aż mi się wąsy wysypią, a ojciec umrze.

—A! I życzyłeś mu śmierci?

—Cóż za wniosek?— nie życzyłem mu jéj wcale, ale czekałem na nią. Tak to bywa ojcom, którzy synów lub córki w zbytecznéj trzymają ryzie. Wracam do rzeczy. Siadłem w domu, niby to gospodarować i niby to gospodarowałem rok cały. Rok minął, ojciec mój był zdrów jak ryba, czerwony i rzeźwy, próżno czekałem, ani myślał umiérać. Kiedy tak sobie w domu siedzę, aż tu dochodzą mnie wieści, że moja najukochańsza (trzeba żebyś wiedział, że to była ni mniéj, ni więcéj, popadzianka) idzie za mąż.

Tknęło mnie to jak sztyletem w serce — lecę do niéj z wymówkami, hałasuję. Ona mi odpowiada zimno, że dla mojéj przyjaźni, nie chce starą panną zostać. Ja w płacz, ona w śmiéch. Mówię jéj że się zabiję — śmieje się gorzéj jeszcze. Wpadam w konwulsje prawie, ona za boki się trzyma. Chwytam pistolet, chcąc się niby to zastrzelić — ona jeszcze się śmieje — taka była wesoła. Nie wiedząc już co począć, proponuję jéj, żeby ze mną uciekła, zaklinam ją, przyrzekam żenić się.— Nie odpowiada mi, tylko się śmieje.

Mało myśląc, chwytam ją, niosę do pojazdu, w konie i uwożę — Ona nic, tylko się ciągle śmiała. Do domu nie było po co jechać, chyba żeby ojciec wybił, miałem z sobą trochę grosiwa, jadę do miasta, biorę ślub. Najprawdziwsza prawda, że i w czasie ślubu śmiała się jeszcze, taka była wesoła. Mija tydzień, drugi, żyjemy sobie jak w raju, na trzecim tygodniu wstaję raz rano, patrzę, nie ma Jéjmości przy mnie. Szukam, pytam; powiadają, że w nocy odjechała.— Dokąd? co? jak? ani słychu. Ja do piéniędzy, niéma piéniędzy moich— Fe! źle; nie było co robić, trzeba jechać do domu, jadę i czekam już dwóch rzeczy, śmierci ojca i powrótu żony. Aż przecie i ojciec mój umarł. Możeś się znudził.

— Bynajmniéj, ciekawy jestem reszty.

— Włożyłem żałobę.— Proszę o butelkę Burgundskiego *Côte d'or*.— Płakałem trochę i objąłem majątek. Kilka dni nie minęło, aż i żona mi się zjawiła, naturalnie żem jéj nie przyjął, wyperswadowałem, że się bez siebie wybornie obejść możemy.

Wesołość jéj była mi już nieznośną. Przenocowała tylko, dałem jéj cóś na drogę i bądź

zdrowa, ruszaj w świat! Z Panem Bogiem. Otóż i cała historja.— Teraz żyję sobie uczciwie, po kawalersku, przyjechałem za interessami do Lublina i siedzę już drugi miesiąc.

— Masz zapewne jaką sprawę?

— Tak, sprawę! Bo któż teraz spraw niéma! A! wiesz co, kończmy butelkę i chodź na wieczór do mnie, będę dziś miał kilku przyjaciół.

— Bardzo cię przepraszam, ale to być nie może, moja kuzynka jest trochę chora, nudzić się musi sama; mam obowiązek dotrzymywać jéj kompanij.

— A! co tam, to choć na chwilkę do mnie na momencik! Co tam szkodzi. — Proszę cię bardzo, jeszcze do niéj powrócisz. Co tam te kuzynki! znajdziemy kuzynek ile zechcesz!

Adolf na te słowa zarumienił się cały, uśmiéchnął przymuszenie, mruknął cóś niewyrozumiałego pod nosem i poszli.

Pan Juljusz stał na Krakowskiém Przedmieściu niedaleko Kapucynów, na pierwszém piętrze bardzo pięknego domu. Pokoje mieszkania jego, były odświéżone, posadzki świécące jak szkło, kryształy, srébra, porcelany, brązy roz-

rzucone, ponastawiane jedne na drugich ubiérały wszystkie kąty, bez porządku i smaku, ale kosztownie.

— Zkąd jemu to wszystko? myślał Adolf— wszak nie jest bogaty? Chyba, może na niego spadło jakie dziedzictwo. Rzecz dziwna. Człek o trzech tysiącach złotych dochodu, nie mógłby mieszkać tak pięknie, miéć tylu kosztownych cacek, otaczać się takim przepychem?

Weszli do pierwszego pokoju — tu siedzieli już, zapewne oczekując na gospodarza mężczyzni, z fajkami w gębach, śmiéchami i wesołą rozmową.

— Prezentuję Panom, rzekł wprowadzając Adolfa gospodarz, z trzpiotowatym uśmiéchem, mojego szkolnego kollegę i przyjaciela Pana Adolfa N... Nawzajem prezentuję ci Adolfie, przyjaciół moich, chociaż nie kollegów, Panów A. B. C. D. E. F. Co się tycze tego Jegomości, który siedzi tam w kącie i paznogcie gryzie, ten ci się sam zaprezentuje. Chodź no tu Rejencie?

— Chodź! chodź! Krzyknęli wszyscy śmiejąc się. I figura chuda, smutna, w szaraczkowym fraku, postąpiła ku nim, skrobiąc się

w głowę. Łatwo było poznać, biédaka, służącego im za zabawkę; bo zaraz jeden z dowcipniéjszych, dał mu w bok kułaka, a drugi zadymił fajką pod nos. Biédny Rejent zakrztusił się, ale zniósł wszystko cierpliwie i kłaniając się prawie do kolan nowo przybyłemu, który usuwał się, chwytając go za ręce; wśród powszechnych śmiéchów, mówić zaczął.

— Mam szczęście prezentować się JW. Panu, jestem *były* Rejent Graniczny Powiatu Upitskiego, Litwin, Mości Dobrodzieju, Dominik Mędrzykiewicz, a da-li bóg, tak dobry szlachcic, jak ci Ichmość, co się ze mnie śmieją. (Śmiechy podwoiły się.) Zostaję na respekcie u J. W. Gospodarza (Bravo!) usiłując rozrywać ponure mysli jego i dostojnych gości — (Bravo!!).

Chciał cóś jeszcze daléj mówić Rejent, ale go ktoś z tyłu, tak silnie uderzył w bok, że głos mu w piersiach ustał. Stary Rejent obrócił się nagle i zapadłém okiem, spójrzał po otaczających, plunął, chciał się gniewać, że przy obcym nawet tak go nie szanują, ale gospodarz w czas zapobiegł temu i zawołał.

— Dajcie no wódki Rejentowi — Gniéw je-

go ustał. Językiem tylko powiódł po spalonych ustach i oczy zwrócił na służącego, któremu ten rozkaz został wydany.

Na Adolfie, wychowanym starannie, którego wyobrażenia o świecie, tchem cynizmu nie były pokalane, ton towarzystwa tego, obejście się przyjaciół Juljusza, rozmowy ich, wszystko, wydało się dziwnie wyuzdaném. Obchodzenie się ze starcem, mowa rubaszna tych panów, wyrażenia ich bez dowcipu a z pretensją, nosiły piętna braku uczucia, i obnażenia ze wstydu. Adolf piérwszy raz w życiu, wpadłszy w taki chaos, czuł jakąś boleść nieopisaną w sercu, taką właśnie jaką czuje zamknięty w więzieniu ze zbrodniarzami, nie zepsuty człowiek;— kręcił się, czerwienił, spuszczał oczy jak dziecko, jąkał się, słowa stosownego nie umiał przemówić.

Naprożno usiłował wedle przepisów Julij, nastroić się do tonu towarzystwa, ton ten był tak nizki czy wysoki, że strony myśli jego pękały z wysilenia; lub brzęczały bez dzwięku.

Podano fajki i poncz— Rejent usunął się do kąta, ogryzać paznogcie. Zapalono świéce, nadeszło więcéj gości, i jakiś łysy jegomość

z brylantami na palcach, zaproponował wziąść się do gry.

— A pan gra? spytało kilka głosów Adolfa.

— W jakąż grę?

— Rozumie się w faraona lub sztossa, w lewo, w prawo — to jedyne gry co nie łamią głowy.

— Tych gier całkiem nie rozumiem, odpowiedział z cicha Adolf, któremu od dzieciństwa wpojono wstręt zbawienny od podobnego rodzaju zabawy. Zadrżał mówiąc to mimowolnie, jakby mu zbrodnią zaproponowano.

— Jak to? Pan nie gra? niegra? nie umie? zawołali wszyscy i zaczęli szeptać między sobą — Fryc, fryc — frejer.

Łysy jegomość siadł, wysypał na stół garść dukatów i rozpieczętował talją, mówiąc.

— Tymczasem tylko sto — zabijcie banczek, będzie więcéj.

— My do stu dukatów, nie myślemy poniterować, zawołało kilku.

— No! no! to jeszcze sto, rzekł łysy, sypiąc znów na stół dukaty — Ja nic żałuję dla was, bylebyście po ludzku poniterowali, nie jak studenci. Adolf w czasie tych preludjów,

stał jak przykuty, nieruchomy, wryty, patrząc ciekawie, jak drudzy uwijali się koło stolika, z poniterkami pomiętemi w ręku, a bankier maleńkiemi oczkami rzucał po zgromadzeniu. Chwilkę postawszy, Adolf wziął kapelusz i poszedł żegnać się z gospodarzem.

—Ależ zmiłuj się, nie uciekaj! Co ci tak pilno do téj kuzynki! Czekaj chwilkę, będziem w motij poniterować.

—Ja w żadną z tych gier nie gram.

—Nauczę cię! Nie wielka sztuka — Para kart, trocha szczęścia, ot i cała rzecz! Porzuć że ten kapelusz.

Adolf ulegając naglącym prośbom gospodarza, ukłonom jego i uściskom, pomyślawszy, że kilka dukatów przegranych, nic nie znaczą prawie, a przez pół godziny nie nabiéra się nałogu; położył kapelusz i zbliżył się z gospodarzem do zielonego stołu.

—Po czemu stawisz? spytał Juljusz Adolfa.

—Jak każesz?

—Ależ przecie?

—Jaka jest najmniéjsza stawka?

—Jaki wasz kusz?

—Dukat.

— Chyba kilkaset w banku.

— Już przeszło trzysta.

— Więc po dukacie stawim.

— Dobrze, wybierz kartę.

Adolfowi zadrżała ręka, zdało mu się, że wybiérając kartę, popełniał straszliwą zbrodnię — wybrał, położył dukat; gospodarz dla dodania mu ochoty, ile ok ma-zo, dukatów tyle dostawił.

Wiedząc już która strona wygrywa poniterom, Adolf wlepił oczy w karty; w jego sercu raz pierwszy zrodziło się to okropne uczucie, złożone z niespokojności, nadziei, strachu — uczucie, którém się karmią gracze, którém żyją.

Karta wygrała. Gospodarz parol *au mème* załamał; wygrala jeszcze, na *dix couches*, wygrała.

Uśmiéchnął się Adolf biorąc dziesięć dukatów, ale śmiéch jego był dziki, wymuszony, niespokojny, konwulsyjny. Sam nie pojmował co się z nim działo, udręczony, niespokojny, czuł jakąś nieopisaną w sobie czczość, skutek zwykły podobnéj zabawy, która jak zły pokarm, napycha, odyma, a nie karmi. Powiódł okiem po zgromadzeniu, spójrzał na twarze zapalone,

na czoła zmarszczone, poprzerzynane nabrzmiałemi żyłami; przypatrzył się téj szkaradnéj grze fizjonomij, drganiu muskułów, warg, wytrzeszczeniu oczu, zatamowaniu głosu w pół otwartych ustach, wszystkiemu, co się widzi za zielonym stołem. Słyszał ciche przekleństwa, rzucanie kart o ziemię, kłótnie, przymówki i cały przelękły, poruszony do żywego, drżący, niespokojny, nie kontent z siebie, wygrawszy kilka dukatów, wyszedł z tego domu z uczuciami, z których sobie sam zdać sprawy nie umiał.

Wrócił do Julij. Julja połajała go, że się długo zabawił, że próżno traci drogo okupione chwile, a skończyła zapytaniem, co robił, gdzie był i dla czego w tak złym wrócił humorze?

Adolf potrzebował się wylać i wylał się przed nią zupełnie; opowiedział jéj swoją niespokojność, udręczenie które go po téj grze prześladowało, dziecinną swoją bojaźń i strachy.

Śmiała się Julja z niego, kazała mu powtarzać kilka razy opowiadanie, cieszyła się rolą jaką grać musiał, skromniś Adolf, w towarzystwie dość wolném Pana Juljusza, który był po prostu znanym dobrze okolicy i miastu szulerem. Prześladowała go potém, żartowała z te-

go co zwała jego dzieciństwem, oswajała go z myślami wolniéjszemi o świecie, których wprzód skromny, wstydliwy, nie przypuszczał do siebie. W ustach kochanki miały perswazje i szyderstwa, urok nie przełamany. Udręczywszy go trochę, miarkując, że nauka w las nie pójdzie i zostanie wyryta, Julja pieszczotami zagładzała wyrządzoną przykrość. Takim sposobem psuł się Adolf — wielu nie inaczéj się psuje; obcowanie z ludźmi zepsutymi tém jest niebezpieczniejsze, że oni po większéj części, mają sobie za obowiązek, drugich do siebie nastrajać; tak jak zrozpaczeni zarażeni śmiertelną chorobą, którzy rzucają się na zdrowych i uściskami ich trują umyślnie.

III.

III.

Ktòś niepotrzebny.

Najnieszczęśliwszym podobno w pożyciu codziennem z ludźmi, jest człowiek powolnego, bojaźliwego, powodującego się charakteru; chociaż na pozór taki właśnie zdaje się, umiejętnością zastosowania do każdego, wypływającą z charakteru jego, stworzony do życia z ludźmi. Lecz cóż? — oto człowiek taki ciągle będzie igraszką otaczających go; mało nawet ceniąc ich, widząc w czém stratę swoją, przykrość, nie potrafi się oprzeć ich prośbie, zachęceniu, perswazij, natręctwu. Wiecznie oszukiwany, znając nawet, że go oszukują, dozwoli z sobą zrobić co zechcą, byleby nie był zmuszony do tych kroków stanowczych, do oporu

stałego, ciągnącego za sobą porożnienie otwarte, wyrzuty, wytłumaczenia nieodbicie potrzebne. Częstokroć nabechtany, poduszczony, przyprowadzony zostaje do złego, staje się mimowoli i przeciw przekonaniu występnym jedynie dla tego, że zbywa mu na energij i sile oparcia się. — Ludzi takich w różnym stopniu słabych, jest wielu; takim był Adolf. Wybaczą mi zapewne matki, kiedy im powiem, że częstokroć od ich początkowego wychowania, zależy rozwinienie się takiego charakteru. Dziecię z natury powolne, słabe, bojaźliwe, trzeba powoli hartować, trzeba je zbroić w siłę, nie pochlebiać bojaźliwości, nie dozwalać aby ta bezsilność niebezpieczna napotém, w nałóg i i naturę weszła. Powiedzieliśmy, że takim był Adolf, on nigdy oprzeć się ludziom nie umiał, tém mniéj potrafił Julij zręcznéj i zbrojnéj w tysiąc ujarzmienia sposobów. Choć nie kochał jéj, choć się dręczył żyjąc z nią, choć żałował Matyldy i siebie, nie mógł się odważyć zerwać z Półkownikową stanowczo i wrócić do domu. Na to potrzeba było odwagi, energij — Adolf ich nie miał.

Każdy przybywający list Matyldy, nabawiał

go piekielném udręczeniem, smutkiem, niepokojem, zgryzotami sumienia, a gdyby nie to, że Julja przejmowała ich część większą i w ogień razem z listami męża rzucała, może Adolf nareście byłby z bojaźni obrażenia Matyldy, wrócił do domu. Lecz Julja ujrzawszy na czole Adolfa udręczenie, łatwo odkryła powód i potrafiła zatamować wszystkie drogi, któremi wiadomości z Sosnowa do niego dochodziły.

Takie tedy było życie Adolfa w Lublinie— Oddany kobiécie, któréj ulegać musiał; jak mucha w sieciach pająka, targał się, nie umiejąc wydobyć. Inny na jego miejscu, bez wątpienia, byłby wszystko porzucił; on lękał się obrazić, bał się upokorzyć, nie śmiał rozgniewać. A że ludzie, których charakteru zasadą jest bojaźń, więcéj zawsze czynią dla tych, których się lękają, niż dla tych, których kochają, Adolf spokojność swoją, szczęście Matyldy i własne, poświęcał kaprysowi Julij. Kiedy pieszczoty jéj, nie mogły zagasić głosu odzywającego się zawsze sumienia, wówczas szukając ratunku niewłaściwego, rzucał się biedak w towarzystwa, gdzie zabawa gwarna, hałaśna, wino i karty, rzucały chwilową zasłonę na przeszłość, na przyszłość.

Tu powoli walcząc przeciw świętym wychowania swego i młodości wyobrażeniom skromnym, uczciwym, które przesądami nazywano, pojął roskosze piekielne, dotąd nieznane mu, gry, upojenia, rozpusty. Tak chcąc zagłuszyć sumienie wyrzucające jeden występek, obciążał je bardziéj jeszcze, obciążał je, aby głosu nie wydało, aby pod ciężarem skonało. Słaby jednak zawsze, zawsze drżący, nie potrafił się zepsuć, choć otoczony zepsuciem, wracały znowu za chwilę zgryzoty, niepokój, wstyd wreście posłaniec cnoty. Adolf żałował przeszłości, bolał nad nią — i — szalał jak wprzódy.

Julja nie szczędziła sposobów rozweselania go, nie żałowała czasu na dawanie mu nauk, wyśmiewając przed nim z ironją szatana, wyobrażenia religijne, o cnocie, o wstydzie, wszystko zwała przesądem, towarzyskiemi kluby, wszystko zwała konwencjonalnym wymysłem. Śmiała się, gdy tchórzliwie co zarzucił, gdy się oparł; obiecywała zrobić dopiero z niego, jak mówiła *człowieka*; a *dziecinnym przesądem* chrzcząc najpiękniéjsze poetyczne młodości wiary, zabijała w nim, co było najdroższego. Lecz trucizna działała powoli, trudno było przez kil-

ka tygodni zniszczyć, dzieło całéj młodości, Adolf przyjmował ją ze wstrętem. Jednakże jak po każdéj truciźnie, i po téj zostały ślady, w moralném zdrowiu jego.

Jednego wieczora zebrało się wiele gości u pani Półkownikowéj, pokoje jaśniały światłami, mężczyzni zwieszeni nad zielonemi stołami, topili iskrzący się wzrok w złocie rozsypaném na przynętę; roznoszono wina, dodające wesołości i odwagi, Julja przymilająca się, układna, naprzemian rozmawiała z kobiétami i uśmiechała się, mrużąc oczy, do mężczyzn. Adolf tego wieczora pił więcéj niż zwyczajnie i w winie nareście pamięć swego położenia utopił. Stawił drogo na karty, wygrywał i Julja mu się uśmiechała i szczęście — zapominał o reszcie. Była już dziesiąta, spokojni ludzie spać się kładli — lecz tu wrzała gwarna zabawa, Adolf dobijał banku, nad którego ruinami blady jak upior bankier z drżącą ręką, okiem wpadłém, siedział zaciąwszy usta ze złości, popijając ciągle z szklanki ponczu stojącéj przed nim.

— Do reszty banku! zawołał Adolf kończąc grać.

Bankier spójrzał na niego, pociągnął powol-

nie parę abcugów, zastanowił się i słabym, błagającym, umilonym głosem, odezwał się.

— Co pan chce odstępnego?

— Dajże mi pan pokój, krzyknął Adolf zapalczywie — proszę ciągnąć.

I nachylony zwiesił się nad talją kart, wyciągając już rękę po złoto. W tém z za drzwi dał się słyszeć głos znajomy.

— Ooo! a coż to tu? Imieniny, bal? hę — Daj sam poduszkę skórzaną i fajkę.

— Kto to? co to jest? zaczęli słysząc to szeptać goście, poglądając po sobie. Adolf zbladł i porwał się z za stolika. Julja podniosła się z kanapy powolnie, zimno i z uśmiechem rzekła, do otaczających ją —

— To mój mąż.

Wtém drzwi się otwarły, bankier abcugu dociągał. Półkownik się wtoczył, Adolf odwrócił, karta przegrała. Zmięszany poniter posunął garść złota bankierowi uradowanemu i odstąpił od stolika, usiłując ukryć się w tłumie gości.

W płaszczu futrem podbitym, obwiązany kilką chustkami, w ciepłych butach, w czapce na uszach, Półkownik wtoczył się zwycięzko do

sali, sparty na ręku służącego. Wszyscy na widok tego niesłychanego zjawiska, stanęli w milczeniu, wryci. Julja tylko na chwilę nawet nie straciła przytomności, podbiegła ku niemu, i z uśmiechem po cichu witając spytała.

— A ty tu zkąd Półkowniku?

— Ja? a! jużciż z domu przyjechałem umyślnie, przebąknął mąż oglądając się do koła zdumiony, zdejmując czapkę powoli i kłaniając się niezgrabnie gościom. Ale tu bal czy co— Jejm — Pani się sobie bawi, jak widzę.

— Chodźże z tąd, chodź, przynajmniéj się rozbierz. I porwawszy za rękę, zawróciła go do drzwi, wołając do gości z uśmiechem.

— Proszę się nie *deranżować*, ja wracam w momencie —

Małżonkowie wyszli do drugiego pokoju. Półkownik zawsze dość powolny dla żony, na ten raz zdawał się nieukontentowany, mruczał cóś niewyraźnie pod nosem, dąsał się, wreście nastawując lokajowi nogę, aby mu but zdjęto, odezwał się spuszczając w dół głowę.

— Cóż to to za goście, jakaś młodzież sama —

— Młodzież! zawołała Julja ze śmiechem,

cóż to, czy nie myślisz być zazdrośnym Półkowniku? Ta młodzież są to sędziowie, adwokaci, rejenci, notaryusze, ich żony, kuzynki, przyjaciele, palestra ze wszystkiém co do niéj należy. Kto ma sprawę, musi żyć z tymi panami i paniami.

— Hm! hm! mruknął Półkownik, same młokosy.

— Prawie wszyscy.

— I gra u Wasani, w karty, widziałem.

— Jest i gra, trzebaż ich przecie bawić, a teraz bez gry niema zabawy.

Chwila milczenia.

— Kiedy tak, rzekł potém Półkownik, dobrze, że się wszyscy tu zebrali, pójdę ja z nimi o sprawie pogadam.

— Teraz! tu! zakrzyknęła Julja śmiejąc się znowu, co ci się dzieje Półkowniku, alboż to czas? pięknieby było sprosić na wieczór i męczyć jak na kondessensij, ale to niepodobna.

— Niepodobna! wszystko niepodobna! zawołał Półkownik, co to złego? Za naszych czasów inaczéj nie bywało, naradzali się plenipotenci z aktorami nad butlem węgrzyna.

— Może być, Półkowniku, podchwyciła Ju-

lja, że taki był zwyczaj dawniéj, ale dziś, to całkiem co innego; potém tu są kobiéty.

— I u nas dawniéj, mówił sobie Półkownik, w sądach siedzieli siwi, mecenasy byli dobrze łysi i szpakowaci, a tu widzę palestrze ledwie się wąs wysypał, młokosy, trzpioty, fircyki, pewnie i bez nauki, a już ni wątpić, że bez doświadczenia. Ja w prawie, nie dam się przez nogę przerzucić, niech no by się ze mną który z tych paniczyków sprobował! mam wielką ochotę pójść do nich.

Już się prawie z kanapy podnosił Półkownik, gdy go żona zatrzymała.

— Ale nie bądźże dziwakiem Półkowniku, zawołała, śmiechu tylko z siebie narobisz. Nieubrany, zmęczony, zdrożony, gdzież pójdziesz między gości lepiéj wierz mi, połóż się spać.

— Hm! przecież gospodarz!

— Wcale nie, ty tu nie jesteś gospodarzem, ja jestem pani i gospodyni. Proszę cię połóż się spać — Dobranoc!

— Spać! a kiedy ja spać nie chcę!

— Tak ci się zdaje, sprobuj tylko, połóż się, to ci posłuży.

— Chciałbym z nimi koniecznie pogadać!

— Sprzeczasz się jak dziecko!

— Dziecko! hm! a dajcie mi tam fajki!

— Karolino! fajki dla pana każ podać! Z fajką i zapachem jéj, już ani myśleć do salonu. Pościelecie tu w drugim gabinecie obok dla Jegomości. Poduszkę skórzaną przynieść — Nie wychodź ztąd krokiem Półkowniku, bardzo proszę. Dobranoc.

— Ale, kiedy jabym chciał — ośmielił się przerwać mąż.

— Sam niewiesz czego chcesz! odpowiedziała Julja — Dobranoc ci.

— No, to dobranoc — Co ja tu sam będę robił! Ty się tam będziesz bawić, a ja będę ziewać tutaj. Nie zostaniesz ty tu ze mną? hę!

— A toby pięknie było, cóżby pomyślili, gotowiby się gniewać! porzucić tak gości! Dobranoc, dobra noc.

— A Jej Pani prędko powrócisz?

— Niewiem — goście jeszcze zabawią, nie czekaj na mnie, kładnij się spać — Tu ciasno, ja będę spać osobno. Dobranoc! podaj panu Karolino poduszkę i szlafmycę. Dobranoc.

— Hm! dobranoc.

Julja wbiegła do salonu i zatrzasnęła za so-

bą drzwi od gabinetu, w którym zostawiła Półkownika. Ledwie weszła spytano ją, co się z mężem stało.

— Poszedł spać, odpowiedziała obojętnie, zlekka wzruszając ramionami i rzucając szyderski wzrok na bladego Adolfa, który stał jak na mękach, i gdyby mógł, byłby uciekł o sto mil.

Gra ciągnęła się daléj, goście bawić się zaczęli znowu, zapomniano o Półkowniku, minęło pół godziny.

Zegar nad kominem wybił pół do dwónastéj. W tém ze drzwi gabinetu ukazała się głowa w szlafmycy, wąsata, z fajką w gębie i półgłoskiem ozwała się.

— Jejm — Pani — proszę Wasani tutaj — Pani Półkownikowa!

Julja porwała się z kanapy i odpowiedziała poskakując, machnąwszy ręką!

— Idź spać Półkowniku — ja zaraz przyjdę.

— Spać! spać! odbąknął mąż, potrząsając głową i ruszając ramionami — proszę tylko do mnie na minutkę —

Wszyscy mężczyzni z uśmiechem zwrócili oczy na drzwi, Julja bynajmniéj jednak tém się

nie zmięszała i kończąc zaczętą wprzód rozmowę, zawołała.

— Zaraz, zaraz.

Drzwi się przymknęły.

Minął kwadrans, młodzież po cichu żartuje z pana męża i żony, w tém głowa w szlafmycy wysuwa się znowu, poprzedza ją z pod wąsów kłąb dymu sinego wylatujący na salon — Głos się odzywa.

— A co?

— Zaraz, zaraz! odpowiedziała niecierpliwie Półkownikowa.

Głowa znikła, drzwi się przymknęły i śmiechy wyraźne wśród gości, słyszeć się dały. Znowu pokazała się szlafmyca, kłąb dymu, nos i wąsy, a głos dał się słyszeć.

— Proszę się nie śmiać.

Śmiechy podwójne, szlafmyca znikła, lecz drugiemi drzwiami wpadła służąca i mrugać zaczęła na panią — Julja przeprosiwszy gości, pobiegła do niéj.

— Co to jest?

— Pani we drzwiach od drugiego gabinetu klucz zostawiła —

— Był tam Półkownik?

— A był, zajrzał z ciekawości, znalazł łóżko, rzeczy i służącego pana Adolfa, pytał się, kto tam mieszka, a teraz chodzi, mruczy, dąsa się i łaje chodząc po pokoju —

— Czego?

— Domyśla się — cicho szepnęła służąca.

— Co? co? krzyknęła Julja, co śmiesz mówić i czego się domyśla? Co to ty myślisz?

— Ale —

— Karolino, co powiedziałaś?

— Ja pani? nic —

— Słyszysz ją, groźno krzyknęła Julja, coś ty śmiała powiedzieć! Warta jesteś żebym cię wnet wypędziła. Idź i powiedź panu, że zaraz przyjdę.

Odwróciła się; służąca wybiegła, Julja z miną równie wesołą i spokojną jak wprzódy, wróciła do salonu, zbliżyła się po drodze do Adolfa, szeptała mu do ucha słów kilka i rozśmiała się. On zbladł jak chusta, chciał wychodzić, Julja go wstrzymała.

Goście łatwo postrzegli, jak dalece ich przytomność była zbyteczną i powoli wymykać się zaczęli. Nikli jeden po drugim, tak, że wkrótce tylko Adolf z Julją pozostał w salonie. Naów-

czas głowa Półkownika wsunęła się znowu, za nią i cały on wszedł do sali, czerwony, trzęsący się od gniewu, z fajką w ręku, w szlafroku. Zbliżył się naprzód do żony.

— Ha! zawołał, teraz wiem jak pani przepędzasz czas w mieście.

— Alboż co? spytała Julja ziewając szeroko.

— Co? co? jeszcze się pyta! wołał Półkownik w gniewie — A kto stoi obok pani w gabinecie?

— Któż? pan Adolf, którego tu widzisz, odpowiedziała z najzimniéjszą krwią Julja, i cóż z tego?

— Co z tego? pyta się jeszcze! krzyczał stary rzuciwszy fajkę o ziemię i poskakując ku niéj ze ściśnionemi pięściami.

— Zwarjował! mój mąż zwarjował! nieszczęście! zawołała Julja, porywając się z kanapy i ustępując na krok.

— Słyszysz! masz mnie za ślepego, za głupiego, za — krzyczał daléj krztusząc się mąż— Ja cię —

— Jakże cię niemam mieć za szalonego, odparła żwawo Julja, kiedy ty śmiesz mnie podéjrzewać, śmiesz kalać mój honor taką myślą!

Półkowniku, to chyba warjat zrobić może, po tylu dowodach przywiązania, które ci dałam! Miarkuj się póki czas!

Zimna krew, bezczelność i odwaga Julij zbiły zupełnie z drogi pana męża, ton jéj mowy, pewność z jaką mu czyniła wymówki, uczucie z jakiém wyrzucała obrazę swoją, odurzyły go, zachwiał się, osłupiał.

— Śmiesz mnie tak potwarzać! wołała żona.

Półkownik stał jak wryty.

— Wieszże, że kobiéta nigdy tego nie zapomina, wieszże co czynisz — taka to twoja wdzięczność za moje dla ciebie poświęcenie, za ofiarę młodości, serca, losu — precz z moich oczu! nie chcę cię widzieć więcéj! precz—precz, idę do rozwodu, my nie możemy żyć z sobą! precz, precz! tyś się odważył mieć na mnie podejrzenie.

Półkownik z napastnika stawszy się napastowanym zmięszał się niesłychanie, powoli podjął z ziemi fajkę i pod nosem wybęknął.

— A klucz, który był we drzwiach?

— Klucz! on śmie to mówić! z passją wołała żona, co to dowodzi, szalony niewdzięczniku! że ktoś mieszka obok, że przeszedł dla

słoty przez mój pokój, idąc do mnie na wieczór, toż to powód, posądzania żony, która się dla ciebie poświęciła! taka to nagroda moja!

— A kiedy lokaje mówili, że tych drzwi nigdy nie zamykają.

— Tak! i ty uwierzyłeś jednemu pijakowi, który sam nie wiedział co mówił! Toż to jest szczęście i pożycie, któreś mi obiecywał przed ślubem?

Półkownik daléj już nie wiedział co mówić, stał zdumiony, zafrasowany, spoglądając to na Adolfa, to na żonę; a widząc jednego minę surową, drugiéj twarz zapaloną gniewem i oblaną łzami, które w sam czas przyszły na zawołanie; uczuł się głęboko występnym, głupim, winnym, zawstydził się sam niesprawiedliwych podejrzeń, nieufności, rzucił na kanapę i rzekł.

— No, to ja panią przepraszam!

— I myślisz, zawołała łkając Julja, że jedném *przepraszam*, wszystko nagrodzisz i zatrzesz. Takiéj obrazy najprościéjszaby nie darowała kobiéta; ja nigdy jéj nie przebaczę — nigdy!

— Ależ, bąknął Półkownik, widząc, że na niego przyszła kolej przepraszać, ależ, pozory — a przywiązanie —

— My nie możemy zyć z sobą, mówiła daléj Julja, kiedy lada pozór, do takich prowadzi domysłów. Nie—my się musim rozłączyć, to rzecz skończona! Nie chcę żyć z tobą — Taki to los kobiéty cnotliwéj, która się poświęciła, zaprzedała — tak to —

— Ale przerwał Półkownik exasperowany, ale ja — ale bo — kiedy ja przepraszam i panią i tego pana — kiedy ja, kiedy to — proszęż posłuchać!

— Nic nie chcę słyszeć! krzyknęła Julja; Adolf zebrał się także na odwagę.

— Pan zapominasz, rzekł, że i ja potrzebuję satysfakcij za panią i za siebie. —

— Ja idę do rozwodu, dodała Półkownikowa — Wyrządziłeś mi krzywdę niedarowaną, uczyniłeś mię pośmiewiskiem całego miasta, moich własnych ludzi, tego ci nie mogę darować, to się nigdy nie zapomina.

— Są moralne zasady wiążące każdego — mruknął Adolf, który czując się winnym, odwagi w sobie do napastowania Półkownika wzbudzić nie mógł.

— Ale ja wiém, ja wiém, ja widzę teraz,

rzekł nie śmiało Półkownik, iż źle zrobiłem — że mi się fałszywie zdawało —

— Idź spać, odezwała się Julja rozkazującym tonem.

Półkownik zdjął grzecznie szlafmycę, wziął fajkę, skłonił się żonie i Adolfowi i wyniósł się cicho z sali.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Julja parsknęła wielkim śmiechem.

— Otóż mąż, zawołała — jakich daj Boże, co najwięcéj!

Taki koniec miała pierwsza scena, ale po niéj nastąpiły kilka innych, które przywiodły Półkownika do żądania rozwodu, Julją do żałowania nieostróżności, Adolfa postawiły w konieczności zmierzenia się z obrażonym mężem, który lepiéj jeszcze chcąc się zemścić, a niewiele rachując na odgłos powszechny mający donieść do uszów Matyldy, wieść o niewierności męża; sam napisał do niéj list wyszczególniający wszystko co wiedział o pobycie w Lublinie i stosunkach Adolfa z Julją.

IV.

IV.

Pojednanie.

Adolf zaraz po pojedynku z Półkownikiem, wyprzedzając wieść o nim i ów list o którym wspomnieliśmy, uciekł raczéj, niż powrócił do domu. Jak przykrym i strasznym był mu ten powrót, pojąć łatwo; dolegały mu na sumieniu, przekonanie o winie, przywiązanie Matyldy, jéj czułość na którą nie zasłużył, jéj wiara niezachwiana, dziecinna, że mąż nic złego zrobić nie mógł. Przyjęła go z otwartemi rękoma, pojąć nie mogąc smutku, który na twarzy wyczytała; on udać nawet, skłamać spokojności nie potrafił przed nią i wytłumaczyć, tak się czuł nikczemnym, upokorzonym w obliczu kobiéty, która go miała za wzór wierności małżeńskiéj. Sto

razy chciał jéj paść do nóg, wyznać, że ją oszukał, ale wstyd go wstrzymywał. Tymczasem list Półkownika nadszedł.

— Adolf był na polowaniu — noc nadeszła jesienna, gwiazdy i xiężyc zaświeciły, chmury napędziły się na niebo, wiatr dąć zaczął i ostatek liścia otrzęsać, nim on powrócił. Na podwórzu domowém cicho było, tylko czasem pies zaszczekał, wróbel świergotnął, na wodzie w stawie plusnęły ryby lub wiater zaświstał przelatując.

W pokoju sypialnym paliły się świece na stole, a przez okno walcząc z ich światłem, patrzał xiężyc blady. W pokoju jedna siedziała Matylda, stały posłane łóżka, zégar na kominie dobijał jedénastéj. Adolfa jeszcze nie było z polowania — przed Matyldą leżał list Półkownika. Oko biednéj żony zwracało się często, to na drzwi, to na papier, zraszając się łzami. Potém machinalnie spoglądała na xiężyc, na łóżka, na świece, na podłogę, wzdychała, i dumała głęboko.

Po cichu drzwi się otwarły, ona odwróciła się. Adolf z fuzją w ręku w ubiorze myśliwskim,

wchodził. Postawił broń u progu, spójrzał na łóżka nietknięte i odezwał się po cichu.

— Jeszcześ się nie kładła Matyldo?

Ona obejrzała się na niego ze łzami w oczach i odpowiedziała smutnie.

— O! nie jeszcze.

Po głosie, po oczach i odpowiedzi, poznał Adolf, że Matylda wiedziała o wszystkiém i cały drżący jak winowajca, oczekiwał wybuchnienia niechybnéj, wiszącéj nad głową burzy. Zdjął z siebie powoli burkę i położył ją na krześle. Oboje milczeli — milczenie to, było istną ciszą przed burzą. Adolfa pot zimny oblewał, a po twarzy Matyldy przemykały się łzy błyszczące jak gwiazdki spadające po niebie w noc pogodną.

Po długiéj, ciężkiéj milczenia chwili, Matylda podała mężowi list ze stołu, a sama poszła i usiadła w kątku. On go pochwycił drżącą ręką, przebiegł oczyma, pobladł, z trzech słów treść wyssał całą i stał zmieszany nie śmiejąc ust otworzyć, wyrzec słowa, zacząć rozmowy. Matylda łatwo postrzegła pomięszanie i sama nieśmiało poczęła.

— Prawdaż to Adolfie, rzekła, co czyta-

łeś? prawdaż to jest? Ja temu nie wierzę, powiedź że fałsz! Półkownik dziwak, jemu się przydało — Wszak to nieprawda Adolfie, to nie prawda, co on napisał.

Adolf stał niemy — w sercu jego okropna warzyła się walka — miał-li skłamać i wrócić żonie spokojność, gdy tylko pragnęła zaprzeczenia jednego i więcéjby się nie pytała nawet; miał-li powiedzieć jéj prawdę?

Usta jego kilka razy otwierały się i wpół wyrzeczone słowa wracały nazad, do ścisnionego serca.

— Wszak to nie prawda? znowu spytała nie spokojna Matylda — to nie prawda, to potwarz, to fałsz?

Adolf milczał jeszcze, i to milczenie byłoby już dość dla innéj kobiety powiedziało, bo niewinny mógłże się wahać tak długo, co powiedzieć? Nareście stłumionym głosem, Adolf się odezwał.

— To wszystko — jest prawdą!

— Prawdą!! zakrzyknęła załamując ręce i odskakując Matylda — prawdą! I tyś mi to mógł powiedzieć, z tak zimną krwią zabić mnie! Adolfie, być że to może, ty kochasz Julją?

— Nie, odpowiedział Adolf, ja jéj nie ko-

cham, ja jéj nigdy nie kochałem, i nikogo prócz ciebie jednéj. —

— Na Boga, cóż więc to znaczy? zawołała Matylda.

— Tam, odpowiedział Adolf ponuro, pociągnięto mnie prawie gwałtem, ale ciałem, nie sercem i duszą.

— Dusza! serce! łatwo powiedzieć, z bolesnym uśmiechem odezwała się Matylda, nikt nie potrafi zaprzeczyć, bo niepodobna przekonać. Rzadko jednak, mój Adolfie, rzadko i na krótko chyba odłącza się dusza od ciała, a tam gdzie roskosz ciało pociągnie, i biedna dusza przylgnąć musi powoli.

— Tak sądzisz — odpowiedział Adolf, masz prawo — Gdybyś jednak widziała moje tamtejsze roskosze, przekonałabyś się, że równały się cierpieniom, cierpieniem były. Nie było chwili wolnéj od zgryzot sumienia, od wspomnienia o tobie — Julja ciągnęła mnie gwałtem za sobą i gdybym wierzył w czary. —

— I ty kochasz mnie jeszcze? możeż to być, jestże to podobna? spytała bojaźliwie Matylda— Jak mnie o tém przekonasz?

Adolf zamilkł, przeszedł się po pokoju,

zbliżył do drzwi, wziął fuźją, podjął dekiel, spojrzał czy jest proch na panewce i postawił ją znowu. Matylda wiodła za nim oczyma, drżąc ze strachu, on sam nie wiedział co czynił, i niejako instynktowie to tylko zrobił, bez myśli. Żona zbliżyła się do niego, jéj serce już wyrywało się do zgody i przebaczenia, wzięła go za rękę i srébrnym swym, miłym ozwała się głosem.

— Bądź ze mną szczérym Adolfie — proszę cię otwórz się smiało przede mną, więcéj nic od ciebie nie żądam nad zupełną otwartość. Jeśli ja ci na świecie do szczęścia zawadzam, łatwo się uwolnisz ode mnie. Powiedź słowo, a zniknę jak ta chmura za domem. Przypomnij sobie, jam przeczuwała że tak będzie, jam wiedziała że ty mnie długo kochać nie możesz, jam się opierała naszemu związkowi — Powiedź, powiedź mi szczérze — przyszłaż już chwila przesytu i nudy dla ciebie, jestem-li już w twojém życiu za nadto? Powiedź, powiedź mi proszę. Zostaniesz sam, panem swéj woli, nie będzie ci ciężyć myśl, że jest ktoś w domu, o którego szczęście starać się musisz — Słuchaj, powiedź mi prawdę — jeżeli —

— Matyldo, przerwał Adolf, zabijasz mnie tą mową, na którą zasłużyłem prawda, lecz jak mnie dręczy! a! tego nie wypowiem! Chcesz prawdy szczéréj, wyznania — Na Boga, ja cię nigdy nie przestałem kochać, chyba ty — I nie dziw mi po tém co się stało, mogłaś stracić serce do mnie.

— Ja! do ciebie! zakrzyknęła Matylda, ja! Moje oddalenie od świata, od ciebie, byłoby jeszcze ostatnim tylko miłości dowodem, miłości któréj nic nie złamie. Myślisz że, iżbym poleciała, szukać na świecie, między ludźmi, wynagrodzeń, drugiego szczęścia? Nie! Ukryta gdzieś dokończyłabym tego życia — Na cóż mam ci psuć chwile, które bezemnie roskoszniéj przepędzasz.

Adolf milczał znowu, chciał się wynurzyć, nie wiedział od czego zacząć, wahał się, bąkał.

— Jakże cię przekonam, zawołał wreście — Nie uwierzysz przysiędze, bom złamał przysięgę, wszystko przeciw mnie swiadczy. Pojechałem za Julją do Lublina, ale ciebie jedną kochałem tylko. Własną spokojność, szczęście twoje, poniosłem jéj w ofierze, ale ciebie kochałem. Wytłumacz to, bo ja nie potrafię —

daj mi siłę na oparcie się ludziom, którzy władają mną jak dzieckiem, daj mi stałość, a będziemy szczęśliwi — Ja jestem słaby, daję sobą powodować, kto chce kieruje mną —

— Czemuż ja kierować nie mogę? cicho ze łzami odezwała się Matylda i poszła do okna patrzéć nic nie widząc, na lasy, xiężyc i noc spokojną, kołyszącą się między niebem a ziemią. Adolf stał w miejscu, oczy jego obłąkane szły za Matyldą, drżąca ręka miotała listem, który na drobne darł kawałki. Zegar bił północ.

Znowu to straszne nastąpiło milczenie w którém wahała się niepewna przyszłość. Okropna to była chwila. Adolf sparty o komin, patrzał machinalnie na skazówki zégaru. Matylda stojąc w oknie łzy ocierała. Po chwili odstąpiła od okna i ostatnią łzę otarłszy, zbliżyła się do męża.

— Jeszcze raz cię proszę, odezwała się, powiedź mi szczerze, powiedź otwarcie, chceszli wolności? Ja ci ją powrócę, powiedź tylko że tego żądasz. Ja oddawna myślałam, przewidywałam, lękałam się, że ty ze mną szczęśliwym być nie potrafisz. Tyś młody, potrzebujesz wdzięków, ja tylko miłość daję, ta twarz bla-

da, oczy od dawna łzami przygasłe, mogąż ci wystarczyć — Nie, nie! Zwiędły kwiatek politowanie tylko wzbudza, tobie potrzeba by swieżéj twarzy, wesołych oczu, ożywionego humoru — ja niemam tego wszystkiego, ty kochać mnie, ty ze mną żyć nie możesz — Adolfie — powiedź, jutro, dziś będziesz wolnym —

— Matyldo! na Boga, nie mów tego, zawołał Adolf — Nic nie chcę bez ciebie, ja cię kocham — A gdyby nie ta kobieta, nie byłoby chmury między nami!

— Więc i ją kochasz także?

— Ja? ja się tylko jéj boję — cicho odpowiedział Adolf, zdaje się, że przeznaczenie wmięszało ją do mego życia, aby psuła moje szczęście — Matyldo, przebacz mi ten raz, przebacz słabości — będziemy szczęśliwi, zapomnij winy! Ciężko za nią w duszy odpokutowałem!

— Przebaczyć! odpowiedziała Matylda zbliżając się ku niemu — Jam ci od razu przebaczyła, jam nie miała gniewu w sercu. Proszę cię tylko, przyrzeknij mi przed tém niebem, że odtąd żadnych dla mnie tajemnic mieć nie będziesz — Złe i dobre wszystko nam wspólném być powinno, niema miłości gdzie są tajemnice

Najskrytszą, najgorszą myśl twoją powierzyć mi możesz, ja ci dopomogę oprzeć się ludziom, bo choć sama słaba jestem, znajdę siłę na obronę naszego, twojego szczęścia i pokoju. Teraz koniec wszystkiemu, zapomnienie przeszłości. Tyś znużony, odpocznij.

—Nie, jabym nie zasnął, odpowiedział Adolf patrząc na zégar— ty się kładnij, ja jeszcze czuwać będę.

—O! i mnie się spać nie chce, szepnęła Matylda, któżby zasnął, kiedy jest rad i szczęśliwy. Całe życie można by tak czuwać, bo dusza nie męczy się radością, po smutku tylko potrzebujem wypoczynku. Nie dałby Bóg snu ludziom, gdyby ich na samo szczęście stworzył. Noc potrzebna jest, do przegrodzenia i odłączenia dnia cierpień, od dnia pociechy, dla zapomnienia przeszłości — My, myśmy już zapomnieli przeszłości, i jesteśmy szczęśliwi.

—A! bylibyśmy szczęśliwi, rzekł Adolf, gdybyśmy zawsze byli razem, gdybyś ty mój opiekuńczy aniele, czuwała nade mną. I ucałował Matyldę, wziął ją za rękę, poprowadził do okna. Tu stanęli oboje, topiąc dusze uspokojone, w obrazie przyrodzenia. Z okna widać

było tylko, niebo, xiężyc, chmury, dalekie lasy, kilka dachów i drzew wierzchołki. I słychać było uroczystą ciszę, bo już wszystko milczało, prócz piersi, pojednanych małżonków.

— Julja będzie od nas szczęśliwszą, odezwała się Matylda po długiéj rozmowie. Dla niéj każdy dzień przyjdzie z nowemi myślami, wyobrażeniami, nadzieją, los jéj ciągle zmienny, zawsze polepszenia spodziéwać się każe — nasz Adolfie, będzie jak jest ten sam zawsze, zamknęliśmy za sobą drzwi nadziei. Sprzężeni na wieki, mamy tylko siebie. Zajrzymy w przyszłość, i tam żadnych odmian prawie, zawsze ten sam nasz kątek spokojny, ty mój mąż, ja żona twoja — toż samo co dziś szczęście, te co dzisiaj wypadki —

— Niech będzie szczęście toż samo, ale nie wypadki, odezwał się Adolf z ciężkiém westchnieniem. Zapomnijmy o tém. — Są ludzie którzy potrzebują takiego życia zmieniającego się co chwila, pełnego nadziei, zawodów, męczarni i pociech, migających jedne za drugiemi, jak błyskawice; są drudzy, którym wystarcza jeden pokarm, którzy dziękują Bogu, gdy ich prowadzi jedną drogą. Pierwsi, niespokoj-

ni zawsze, nie radzi temu co jest, wiecznie kopią szukając złotych min, których nigdy nie znajdą; drudzy lepiéj rozumiejąc życie, kontentują się chlebem powszednim.

—Bądźmy drugim podobni, Adolfie, odpowiedziała Matylda, nie szukajmy nadzwyczajnego nic w życiu, niech nam dość będzie siebie i spokojności.

V.

V.

Trzecie Wesele.

Dla czegoż mając opisywać wesele, śmierć nam na myśl i pióro przychodzi? — Jest to jedna z tych tajemnic, których rozwiązać nie podobna; jedna z tajemnic przeczucia. — Śmierć! wielki wyraz który codzień powtarzamy, a z którymeśmy tak się w końcu oswoili, że wymawiając go, nie przywiązujem do niego żadnego wyobrażenia. Gdyby jednak wyobrażenie śmierci nieustannie nam było przytomne, iluż by to było cnotliwych, ile ofiar wielkich, ilu bohaterów! Tymczasem mówimy o śmierci, patrzym na nią, malujemy ją nawet, a nie myślim o

niéj, nie myślim o sobie, powtarzając bezmyślnie to, co drudzy przed nami bezmyślnie czynili. Bił w to Xiądz Baka, pisząc o niéj i czując zapewne, jaki wpływ wywiérać może na ludzi, myśl o téj królowéj świata. Lecz jako professor poetyki, Baka nasz więcéj dbał o posiekanie swych wierszyków, niż o myśl główną, dziś też zostawione przez niego króciuchnych wierszyków sznurki ponizane, czynią tylko takie wrażenie, jak każda niedorzeczność.

Kto żyje życiem jedynie ziemskiém, nie czując w sobie duszy, nie wierząc w przyszłość, ten musi lękać się śmierci;— a że ogół cały prawie nie inaczéj żyje, ogół też cały lęka się śmierci, odpycha myśl o niéj, wyobrażenie jéj. Mała liczba mędrszych, patrzących z wysoka na mizerne, cechą niedołężności napiętnowane sprawy ludzkie, nie zadowalniających się tém życiem, pragnie jéj, wygląda, rozmyśla o niéj, bo za nią otwiéra się im tajemnicza wieczność, którą każdy inaczéj pojmuje, a w którą tłum na wpół nie wierząc, wpół jéj nie pojmując, lęka się ujrzéć, woli zapomnieć.

Jakże to często widujemy ludzi, modlących się gorliwie w kościele, a którzy jednak na

wspomnienie, że lepiéj jest umarłym, odpowiadali potrząsając głową.

—Alboż my wiémy, co na tamtym świecie, nikt nie wrócił, nie mówił.

Są to umysły bojaźliwe, słabe, niepewne, chwytające po drodze, co napadną, dziś wierzące mocno, jutro chwiejące się, pozajutro ateusze, a w tydzień znowu fanatycy. Im by chyba szczęście przyszłe dowieść potrzeba cztérma regułami arytmetyki, aby je za pewnik uznali, a długość wieczności przynajmniéj jako tako wyrachować.—Tacy ludzie umiérają spowiadając się pobożnie, ale bez wiary w to co czynią, jest ich bardzo wielu. Wszelkie wspomnienie śmierci, widok trupa, kości, nabawia ich strachem, zawrotem głowy, drżeniem; gotowi się rozpłakać, gdy im przypomnisz, że kiedyś będą się musieli pożegnać ze słońcem, drzewy, xiężycem, domkiem na górze, gajem w ogrodzie. Dusza ich nie musi przeczuwać, nie umie pojmować, domyślać się innéj piękności, wyższego dobra nad tutejsze, ziemskie. Biédni, prawdziwie biédni ludzie. Przyjdzie umiérać, skon ich jest walką, płaczem, żalem, rozpaczą, na pozór umiérają z wiarą w przy-

szłość, lecz w duszy wątpiąc o wszystkiém. Cóż to może być za szczęście wieczne, myślą, gdy tam nie będzie, ani panny Karoliny (czemu nie zostali Mahometanami?) ani pieczonych jarząbków, ani szampańskiego, ani tytuniu, ani tych tysiąca przyjemnostek, które przez zmysły podbiły i ogarnęły całą ich biedną, słabą duszę. O! i ja gdym był jeszcze dzieckiem, gdy mi świat tak piękny, tak słodki się wydawał, gdy duszy jeszcze w sobie nie czułem, posłyszawszy raz pierwszy o śmierci, o końcu, zobaczywszy umarłego, jakżem był strapiony, przestraszony, wylękły! Strach, gorączka, paliły mnie dniem i nocą, śmierć z kosą zdawała się ciągle stąpać za mną, czatować na mnie. — A długo wprzód gdy starzy mówili mi że pomrą, słuchałem z niewiarą, myśląc w duchu, iż to być nie może, żarty tylko z dziecka stroją — Kto zaczął żyć, ten nie przestanie nigdy. Miałem słuszność i nie — ale wówczas, przedłużenia życia za grobem pojąć mi nie było podobna, przedłużałem więc je na ziemi. — Napróżno stawały mi na oczy, przykłady w wspomnieniach o ludziach, których już nie było — sądziłem zawsze iż oni nie pomarli, tylko gdzieś daleko odjechali. Do-

piéro widok trupa, o smutnéj prawdzie przekonał. Sypnęły się potém dowodzenia z wiekiem, śmierć w tysiącznych postaciach, odbiła się boleśnie na sercu mojém— nie podobna w nią było nie uwierzyć. Widziałem umiérających, umarłych, a! któż opisze uczucie, gdym pierwszy raz kochaną, kochającą mnie utracił?— Kto opisze wrażenia téj chwili, pierwszéj najokropniejszéj, w młodém i jeszcze świeżém sercu? Zdało mi się, że ta miłość która nas wiązała, połączyła mnie z grobem, ze śmiercią, że umarły i z za grobu kochać mnie musi, że nić niepostrzeżona wiąże mnie odtąd z mogiłą. Długom myślał, długom był smutny, ale widok nowych twarzy, miłość innych serc, porwały ten związek grobowy — poszedłem drogą życia jak wszyscy. O poczwaro człowieku!!— ty nie masz serca, ty nie masz pamięci!

Potém, poźniéj lubiłem dumać o śmierci, w myślach o niéj dostrzegłem wdzięku gdy wprzódy tylkom się jéj lękał. Nie gniewajcie się czytelnicy, jeśli was wiodę, na smutne często obrazy poglądać— wesołość poniża, smutek nas wynosi. Kto umié i lubi być smutnym, ten dowodzi, że pojmuje nieśmiertelność i nie nasyca się

zwierzęco tym naszym światem. — Ale otóż i kazanie! Jakto nie chcący człowiek zagada się i odprowadzi od przedmiotu. Powrócim zaraz do niego, powrócim! Wprzód jednak dam wam niechybne antidotum, czytelnicy moi, przeciw zbytecznemu współczuciu dla wypadków opisywanych w xiążkach. Przypominajcie sobie, panie i panowie, że to są wszystko bajki, brednie, wymysły, za grosz w nich prawdy, pisarz nie mając życia, robił sobie życie na papiérze, o jakiém marzył. Gdy się wam zdarzy cóś okropnego wyczytać, a poczujecie w sobie współczucie, które nie zawsze jest miłe, przypomnijcie sobie, że to są bajki i nie płaczcie nad umierającymi bohatérami. Śmierć zadana piórem i atramentem, nie warta łez, miłe panie, nie warto ociérać raz w raz oczów batystową chustką i bibulaste karty odwilżać, ku większéj czci autora. Oszczędzajcie łez na nieodbite potrzeby, śmiejcie się z autorów którzy wam płakać każą, ziéwajcie nareście — ziéwania wyszafować nie można! Ale łzy! one są nam tak potrzebne w życiu, niemi je człowiek zaczyna i kończy, po nich jak po stopniach idzie do mniemanego szczęścia, one go cieszą w złym razie,

a czy jeden, do grobu, swoje tylko łzy przyschłe na zimnéj twarzy, poniósł — gdy każdy z jego bliskich, z otaczających, oszczędzał swoich na straty dotkliwsze, na nieodbite potrzeby, na własne interessa, na kupna (wszak się i kupuje łzami?) Łzy jak pieniądz, drogie — i nie dają się darmo, kobiéty tylko nieuważne szafują niemi i dzieci, w końcu też dla nich samych, często im ich zabraknie. A biada temu, kto łzy niéma, bo krwią zapłakać nie można, nieszczęśliwy kto płakać nie może.

Ale znowu, pytam co za potrzeba była rozprawiać tak długo, o śmierci, o łzach, gdy tu właśnie wypada opisywać wesele? Przepraszam, nie wiedzieć jak do tego przyszło.

Spójrzcie, to się zowie weselem! Sala oświecona rzęsiście, wśród niéj grona wystrojonych kobiét, uśmiechających się, lubieżnych, szukających mężów sobie, na cudzém weselu,— Muzyka oddycha radością, którą zapewne mają malować dobitnie dyssonanse pierwszego skrzypka.— Wniknij w te serca, bijące żywiéj w łonach pokrytych białemi kamizelkami i gorsetami— Czegoż one biją tak mocno, z uczucia czy ze znużenia, od walca czy od radości, od tego

walca odurzającego, roskosznego, niebezpiecznego, w którym dwa czyste przed chwilą ciała, łechcą się, dotykają, wabią, drżą dotykając; a myśli, myśli — któż odgadnie myśli w walcu kręcące się po głowach, czy one są o tańcu czy o tancerzach i tancerkach??

Spójrzmy na tego tancérza naprzykład — O! jaki szczęśliwy, jak się kręci, jak oddycha piersią całą, jak pogląda to na nią, to w górę — to w siebie! Sala dla niego przestrzenią nieskończoności, światła, gwiazdami na niebie, muzyka, sfer harmonją. On światem, tancerka słońcem, koło słońca, ze słońcem kręci się uszczęśliwiony. Lecz oto blizki koniec marzeń i walca, świat na rozkraczonych nogach zatrzymuje się niezgrabnie, po chyżym biegu pośliznąwszy się, tylko co nie padł, nagle zastanowiony, i nie pociągnął słońca. Szczęściem blizko kanapa, słońce padło na kanapę, świat je w rączkę pocałował i po wszystkiém. Znikły gwiazdy, na miejscu których świécą nieutarte knoty, harmonja sfer zmienia się w szkaradną żydowską muzykę — Szkoda walca i systematu Kopernika.

Zbliżmy się — Państwo młodzi muszą nam

być znajomi. A! To Pani Półkownikowa, jeszcze nie dawno rozwódka, już męża znalazła— Co to kiedy kto gorliwie pracuje! Któż mąż?— A to ten nieborak, który pierwszą swą żonę, szalony, koniem stratował. Jakże nam Julja wesoła, a Pan młody posągiem stoi, z uśmiechem prawda, ale posągowym, z uśmiechem kamienia, któremu snycerz gwałtem śmiać się kazał i usta na wieki wykrzywił. A jaki blady! To pewno wspomnienie odkopane z grobu, tym dniem, porwało mu w szpony serce. Biédny Pan młody! jechał po szczęście, a na progu spotkał go tylko, dawny znajomy, blady smutek dawnych lat. Jechał po szczęście i zajechał do Julij!

Przy drzwiach w ciemnym kątku stoi dwoje dzieci, biédnych siérot, których matka leży w grobie, którym ojciec daje matkę, jak perukę na głowę, gdy włosy wypełzły. O! prędzéj z peruki, włosy do gładkiéj głowy przyrosną, niżeli druga matka, pokocha biédne dzieci, sercem pierwszéj matki. Dzieci stoją, patrzą, dziwują się, przechodzący je szturchają, nikt na nie nieuważa— bo któżby się zajmował dziećmi wśród wesela!

Cóż znowu za niecierpliwość napadła na pa-

na młodego, wyjmuje zegarek co chwila, patrzy po zgromadzeniu, szepce cóś żonie do ucha, wychodzi na ganek, za nim Julja.

— Czas nam jechać, odzywa się głosem drżącym.

— Dokąd jechać?

— Tu ciasno dla nas, tyle gości potrzeba było pomieścić! pojedziemy do Leszczynki, czekają tam na nas, kazałem przygotować pokój —

— A czemuż wprzód nie mówiłeś mi o tém? odpowiedziała Julja ziewając. Jedźże ty, kiedy ci się podoba, a ja zostanę. Cóżby to miało za minę, żebym ja przed przenosinami pojechała do ciebie? Wszak i tu znajdzie się pokoik, posłanie.

— Tam nam będzie swobodniéj, wygodniéj, nalegał pan młody — Proszę cię, nie odmawiaj mi tego, piérwsza to moja do ciebie prośba, nie godzi się jéj odrzucać.

— A! jeśli tak chcesz koniecznie! zawołała Julja, przystaję. Każ zajść koniom, ja się pójdę ubiorę — Dzieci tu zostaną?

— Tutaj, zimno i sucho rzekł pan młody — Julja poszła się ubrać, konie już były przed gankiem.

Pan młody chodził, smutne widać myśli snuły mu się po głowie. Był to ten sam ganek — taki sam wieczór. Obraz przeszłéj żony, okropnego jéj zgonu przychodził mu na pamięć z najdrobniejszemi szczegółami. Upior go ścigał. Siadł na ławce, otarł z potu czoło i westchnął.

Julja wbiegła na ganek, porwała go za rękę, zawołała.

— No! jedźmy!

Pojechali. Noc czarna, cicha, straszna była — o trzy kroki trudno drogę rozeznać. Mijali miejsce, w którém pies wściekły tak Julją przestraszył. Ona wychyliła nieco głowę, spójrzała w ciemności, i nic nie zobaczyła prócz drzew czarnych stojących na jaśniejszém nieco niebie zachodu. Po cichu się rozśmiała wspomnieniom, turkot kół, szum lasu zagłuszył śmiéch, ciemność zasłoniła go przed oczyma męża. Po uśmiéchu westchnienie, westchnęła wspomnieniem téj chwili, chwil poźniejszych, nadziei przyszłości. — Wiatr poniosł westchnienie, jak uśmiéch wprzódy. Minęli lasek, jechali długo, psy zaszczekały, światełka zajaśniały w oddaleniu — byli blizko wsi Leszczynki. Przed wsią stał kościołek, w koło kościołka był smętarz, na

smętarzu pochowana była Henryka, piérwsza żona pana Hilarego. Woźnica zaledwie w ciemnościach dojrzał smętarnego kościołka, a raczéj domyślił się, że ku niemu się zbliża, przeżegnał się, konie zaciął, ruszył z kopyta, ale pan młody chwycił go za rękę i kazał — Stanąć!

Stanąć? Gdzież? na przeciw saméj bramy smętarza. Woźnica myślał że to żarty, dostał po plecach i zatrzymał rozhukane konie. Pan młody wyskoczył z pojazdu, bardzo grzecznie prosił Julij, aby tylko chwilkę na niego poczekała. Ona, jakkolwiek śmiała, drżała jednak z postrachu, gdy woźnica klął i mruczał pod nosem.

— Nie mógł już zajechać do domu, koniecznie mu potrzeba było stanąć! Boże odpuść! Zaczął potém Anioł Pański za duszę zmarłych.

Cicho było — cóś skrzypnęło jakby wrota smętarza, aż woźnica przerywając modlitwę zawołał.

— Miał gdzie iść! Tać dalipan na smętarz! Boże odpuść. Piérwsza nasza pani tam! I znowu daléj kończył Anioł Pański, przelękniony bardziéj jeszcze.

Jakkolwiek śmiała, Julja drżała, niekon-

tenta była z téj stacij u smętarnéj bramy i przechadzki męża, który wysiadł, a ją samą jedną w takiém miejscu zostawił. Nadstawiała ucha. Słyszała jakby stąpanie, cóś jak szepty i cienie wyrazów dolatujące zdaleka, potém brama zaskrzypiała znowu, P. Hilary nagle skoczył do pojazdu, furman się przeżegnał, konie w bok rzuciły, Julja krzyknęła. On siadł w milczeniu, zatrzasnął drzwiczki, kazał jechać. Minęli wioskę, stanęli przed dworem.

Pan młody wprowadził Julją do sypialnego wprost pokoju, twarz jego była posępna, usta milczące i ściśnione. Po chwilce zamknął drzwi na rygiel, kazał okiennice zaszrubować z podwórza, odprawił ludzi i sam z żoną pozostał.

Ona, milcząca także, nie wiem o czém myśląc, rozbierała się powoli; on świstał chodząc po pokoju. Minęło tak pół godziny, zaczęła się obojętna rozmowa, poszedł pan Hilary do szafy, wyjął z niéj książkę i cóś jeszcze, co szybko schował do kieszeni.

Tyłem do niego obrócona Julja stała przy łóżku kończąc pacierze, on siadł przy gotowalni, na któréj paliły się świéce, zaczął czegoś szukać w książce, i znalazłszy odezwał się.

—Wszak lubisz czytać?

—Dajże mi z tém pokój! odpowiedziała zdziwiona Julja wydobywając się z sukni. Ot byś lepiéj posłał po jaką kobiétę, któraby mnie rozsznurowała. Szkoda żem swojéj nie wzięła służącéj.

—Ja cię rozsznuruję, rzekł pan młody kładnąc książkę na krześle. Wziął nożyczki ze stołu, zbliżył się i porozcinał sznurki.

—A toż co? krzyknęła Julja śmiejąc się, gdy gorset spadł z niéj nagle.

—Rozsznurowałem, zimno odpowiedział pan młody, potém poszedł znowu na swoje miejsce, wziął książkę i rzekł.

—Juljo, czytałaś ty Shakspearowego Otella?

—Co? Otella? z podziwieniem podchwyciła pani młoda, i zwróciła się twarzą ku niemu, chcąc zobaczyć z jakim to mówił wyrazem oblicza, ale nic dziwnego w oczach nie dostrzegłszy, spokojnie daléj rozbierać się zaczęła i dodała.

—Czytałam! Czyż to czas teraz o tém mówić?

—Powiedzże mi, z równą obojętnością jak wprzód zapytał, jakby nie słyszał odpowiedzi mąż, powiedz mi, jakie zakończenie tragedij

lepiéj ci się podoba, czy gdy ją poduszką dusi, czy gdy sztyletem zabija?

— Co? co? podchwyciła Julja, nie dowierzając swym uszom i zwracając się znowu ku niemu. On siedział spokojny, oparty na książce, rozumiała, że go jakaś szczególna napadła fantazja, literackiéj rozprawy. Odpowiedziała więc śmiejąc się.

— O! wolę już sztylet! I prędzéj i szlachetniéj! Poduszka, to nadto trywjalne narzędzie śmierci. Któż kiedy słyszał dusić poduszką?— Ależ Hilary, szczególne miejsce na wieczór dnia wesela, wybrałeś sobie do czytania — lepiéj oto gaś świece i chodź spać. Kiedyś mi gorset z takim zapałem rozcinał, sądziłam żeś rad co prędzéj — (Nie dokończyła) A ty jeszcze myślisz jak uważam rozprawiać.

— Więc mówisz, że lepsza śmierć od sztyleta — swoje kończąc i w książkę patrząc mąż zawołał — może to być! Chwilę milczał, potém dodał — I Otello się zabił!

— Trzebaż było tak głupio oszaleć z zazdrości; z czego? z zazdrości! z uśmiechem mówiła Julja. Ach! ach! ze śmiesznéj zazdrości!

— Zapewne, z zazdrości takich rzeczy się

dopuszczać, odpowiedział Hilary, nieinaczéj tylko głupstwo, ja sam żałuję Hedelmony — bo i ja byłem Otellem! A! I ja byłem Otellem, ale zabić naprzykład, zabić z innych powodów—

— Jakież to być mogą te inne powody — spytała Julja kładąc się w łóżko i okrywając kołdrą atłasową.

Pan Hilary rzucił książkę, przystąpił ku niéj.

— Zabić — aby się zemścić! zawołał.

— Nie ma nic głupszego nad zemstę — szepnęła Julja ziewając szeroko.

— Jakto? jakto? zakrzyczał z ogniem pan młody. Głupstwem byłaby zemsta, ten balsam na zranione serce! Głupstwem! ty to głupstwem nazywasz! A gdyby kto mi zabił kochankę, zabił żonę — głupstwem tylko byłażby zemsta? Rozumiesz mnie! Juljo! rozumiesz!

Julja na te słowa wyrzeczone głosem dzikim, porwała się z łóżka, pan młody dobył sztyletu, uśmiechnął się piekielnie, a trzymając ją za drżącą rękę, rzekł poważnie.

— Nim sen skleił twe powieki, czy błagałaś Boga Zastępów?

Julja oniemiała z przestrachu, otworzyła

usta i oczy, zadrżała, krzyknęła, potém, rękoma twarz zakryła. Z bojaźni nie znalazła słów w ustach, myśli w głowie. Hilary stał przed nią, a cisnął rękę tak, że palce wszystkie w ciało jéj się wpiły.

— Jam niewinna! com ja winna? Po chwili walki przerywanym, drżącym, stłumionym głosem ozwała się.

— Czy ty, czy los, czy przypadek, czy przeznaczenie — nie wiem kto winien. Mnie trzeba zemsty, a na kimże się pomszczę, jeśli nie na tobie? Potrzebuję zemsty, za żonę, za dzieci, za siebie — Ona w grobie, one sieroty, ja szalony, ja nieszczęśliwy na wieki, zgubiony! Zemsty! zemsty! ona z grobu woła o nią, krwi za krew! Co noc pokazuje mi się blada, skrwawiona, zeszpecona, co noc wskazuje mi rany i woła do mnie — zemsty! Nie bój się — umrzesz od sztyletu, sztylet mam ostry.— Uśmiechnął się obłąkany — Julja omdlała.

Popatrzał na nią chwilę, potém wziął świécę ze stołu, zbliżył się do łóżka, zajrzał bliżéj, a martwą prawie widząc, sztyletem ukłuł w rękę, aby boleścią z omdlenia ocucić. Krew trysnęła! Julja powoli przyszła do zmysłów, postrzegła

krew, sądziła że kona zabita, i wołać zaczęła z rozpaczą.

— Ratujcie! ratujcie! umieram!

— Nie — jeszcze nie — rzekł zimno Hilary, stawiając świécę na stole. Pożyjesz jeszcze chwilę, módl się kobiéto i żałuj za grzechy, masz ich wiele! Ratunku napróżnobyś wołała, wszystkich z domu rozesłałem umyślnie, nikt nawet strzału nie posłyszy.

Julja porwała się z łóżka i padła mu do nóg oblewając je łzami. Blizkość nieuchronnego zgonu do obłąkania ją prawie przywodziła.

— Daruj! daruj! wołała głosem przerywanym łkaniem — Czego chcesz? jam niewinna — puść mnie!!

Hilary nic nie odpowiedział, nie spójrzał nawet na nią, chodził po pokoju z założonemi rękoma i milczał. Julja w rozpaczy, nieprzytomna, obłąkana, tarzała się po ziemi, łkając okropnie, gryząc ręce, targając włosy. Potém myśl jéj przyszła, rzuciła się piorunem ku drzwiom, a w oczach jéj błysnęła nadzieja ocalenia. Ale drzwi były zaryglowane mocno, mąż poskoczył i wstrzymał ją z uśmiechem szalonego.

— Więc chciałabyś wyrwać się ztąd? zawo-

łał, myślałaś że drzwi otworem zostawię biorąc się do tak ważnego czynu, żeby kto wpadł na krzyk, a mnie związano jak warjata, jak zbójcę. Ale nie jestemszalony, nie jestem warjatem, mam rozum. Miałem go przynajmniéj gdym udawał miłość ku tobie, aby cię porwać i pomścić się.— O! nie jestem szalony. No! chodź do łóżka, krzyknął nielitościwie ciągnąc ją za rękę — tam masz umrzeć, tak jak Henryka umarła, w męczarniach.— Widziałem Otella, nie na jednym teatrze, Hedelmona kona przy łóżku — Co to za scena! O! ja nie jestem szalony, ja nie jestem warjat! O! nie, nie —

Jeszcze gadał, ale Julja go nie słyszała, rospacz, przestrach pozbawiły ją przytomności, leżała wpół sparta na łóżku, z oczyma obłąkanemi, drżącemi usty; krew ciekła jéj z ręki, łzy z oczów. On stał i patrzał na nią, zdawał się rozmyślać, bawił się ze sztyletem, uśmiechał sam do siebie, mruczał. Potém, zbliżył się do niéj, i mimo konwulsyjnych jéj drgań, rzucań, krzyków, mimo siły z jaką się broniła, nic mając nadzieci ujść śmierci, chyba tym sposobem; — zgniotł ją, a przykładając rękę do serca, zamruczał zgrzytając zębami.

— Pokaż, pokaż gdzie serce — pokaż mi gdzie ono bije, to brzydkie serce samolubnéj kobiéty — pokaż, prędzéj trafię, łatwiéj zabiję, mniéj będziesz się męczyć. — Ja nie jestem szalony, nie jestem okrutny, gdybym był szalony, gdybym tylko słuchał zemsty, krajałbym cię po kawałku. — Ale mam litość, mam rozum, zabiję cię od razu — I śmiał się.

Sztylet błyskał w jedném jego ręku, drugą cisnął serce, Julja zsunęła się na ziemię, zaczęła znowu krzyczeć ochrzypłym z próżnego wysilenia głosem, łajać, grozić, przeklinać, błagać — Nic go nie poruszało. Spójrzał tylko na zegarek i zimno się odezwał.

— Chcesz żyć! Ach! jak silnie przywiązana jesteś do życia. A jednak, cóż to to życie? marna rzecz, głupstwo, które pewnie tyle krzyku nie warto, gdy kawałek żelaza, odrobina proszku odjąć je może! skarbu tego pozbawić! O! cóż życie warto? — Modliłaś się?? Ja nie jestem szalony, pytam się, czyś się modliła? Jakże jéj serce bije? Musi się bardzo lękać śmierci, głupie stworzenie! Ja nie jestem szalony! No — żyj sobie, gdy ci tak żal życia, żyj, nie walaj mi się u nóg, wyprosiłaś życie — Ta męka pół-

godzinna, zaspokoi moją zemstę, umierałaś już sto razy— Żyj sobie!

Rzucił daleko sztylet, spójrzał na zegar, było blizko ranka. Julja dziękując padła mu do nóg, on ją odepchnął i poszedł do komina. Wziął z niego filiżankę nakrytą białym papierem, i mrucząc — Nie jestem szalony — wypił z niéj jakiś przygotowany gęsty napój, a potém usiadł spokojny na krześle. Parę razy tylko się wstrząsnął, bo mu nie smakował; spójrzał na Julją osłupiałą z przestrachu, podziwienia, niepewną jeszcze, a nareście cicho, z udaną spokojnością rzekł do niéj.

— Mam dzieci, pamiętaj o dzieciach, darowałem ci życie. Ja nie jestem szalony! Wziąłem truciznę, bo dłużéj żyćbym nie mógł. I po co żyć? Na co to życie? Ty, co je lubisz, żyj sobie — daję ci życie przez zemstę — Sam, pójdę do żony. —

Długo tak jeszcze udawał spokojność, lecz w rysach twarzy malowała się boleść. Zagryzał usta, oczy stawały mu słupem, uśmiechał konwulsyjnie, gadał, powtarzając co chwila — Ja nie jestem szalony.

Lecz gdy coraz silniéj wnętrzności jego tru-

cizna rozdzierać zaczęła, rzucił się ku Julij znowu, ręce mu zadrgały, oczy się zapaliły, okropny krzyk wyrwał się z głębi piersi. Ona skryła się przed nim na łóżko — poleciał za nią. Słychać było i pocałunki, i jęki boleśne, i śmiech szalony, i szamotanie się, i krzyki, i zgrzytanie zębów, znów jęki, westchnienia, ciężki oddech, urywane słowa, gwałtowne poruszenia — Powoli ucichło wszystko, jak w grobie dwa ciała leżały nieruchome na małżeńskiém łożu.

VI.

VI.

Vivat!

Blizko drzwi sypialnego pokoju, stała kupa służących — dwónasta, południe zbliżało się, a pan i pani nie wychodzili. Czekali wszyscy ich przebudzenia, dziwując się, że śpią tak długo, żartując z tego snu przeciągnionego.

Na ławce, oczekujący dwaj lokaje, jedna służąca i chłopak młody, którzy rano wrócili z tanów weselnych, aby państwu usłużyć, rozmawiali.

— Ale to dziwo, ozwał się jeden ze starszych zażywając tabaki, i ogromny srébrny zégarek zawieszony na tombakowym łańcużku wyjmując

z kamizelki, to dziwo, że śpią tak długo — Jegomość taki ranny ptaszek zawsze.

— I cóż to za dziwo? odpowiedział drugi z pode łba spoglądając na garderobianę, co to za dziwo? Wczoraj tu po północy przyjechali, a toć się i pomęczyli! I znowu spójrzał rad konceptowi, na garderóbnę

— A Wasan byś tylko zawsze głupstwa gadał ozwała się dziewczyna rumieniąc niby ze wstydu i spuszczając oczy figlarnie. Wasan tylko aby przymawiać. Pójdź precz i nie łaskocz mnie pod rękę, bo dalibóg krzyknę!

— Krzyknij, to się przynajmniéj pobudzą! rzekł stary marszcząc się coraz bardziéj. Mnie się już znudziło czekać tu od ósméj jak sołdatowi na warcie. Południe, w kuchni barszcz, a ja tu siedzę! jak ostatni ciemięga.

Domawiając tych słów ziewnął okropnie i przeciągać się zaczął —

— Pójdź no ty Pawełku, rzekł, posłuchaj pode drzwiami może się już pobudzili, a nie wiedzą, że my tu siedzim i Panna Karolina.

Pawełek wstał z ławki, przeciągnął się niedbale, poszedł ku drzwiom, przechylił się do po-

łowy, nastawił ucha, a po chwili machnąwszy ręką, zawołał stłumionym głosem:

—Ani słychać! Śpią pewnie!

—No, to ja pójdę z Ignacym, przekąszę co tym czasem, rzekł stary, a jeśliby pan przebudziwszy się potrzebował mnie, to ty Pawełku przybież po mnie do kuchni. Słyszysz?

—Dobrze, dobrze, odchodząc od drzwi odpowiedział chłopiec i siadł zaraz koło Panny Karoliny na ławce, przysuwając się blizko, uśmiechając do niéj, łaskocząc, szczypiąc, słowem po swojemu się umizgając. U panów bowiem miłość się wyraża ściśnieniem ręki, u sług łaskotaniem, u chłopów szturchańcami; najwyrazistsza podobno ostatnia, ale pewnie nie najprzyjemniéjsze jéj objawienie—

—U was tam długo tańcowali? spytał Karoliny—

—O! długo, odpowiedziała wdzięcząc się i sznurując dość szerokie choć różowe usta. My także na folwarku tańcowaliśmy długo, mieliśmy muzykę. Ten łotr Maciek, okrutnie mi wczoraj w tańcu na figla nogę podstawił, com padła jak długa, i tak się rozbiłam, że mi dotąd szumi w głowie.

— Łotr! z oburzeniem Pawełek wykrzyknął, ja go kiedyś śpiéwać nauczę, bo to on i mnie zaczepia, ale dam mu, dam takiego dychtu, że popamięta Ruski miesiąc—Mam na niego chrapkę od dawna.

— Oj to dobrze, dobrze, poprawując chustki którą wiatr z Pawełkiem odsłonili byli trochę, odpowiedziała panienka. On już wszystkim we dworze kością stanął. Powiadają że i złodziéj i kartownik i pijanica — A urwis, niech Bóg zachowa. Po nocach zasiada na dziewczęta, straszy, dokazuje. On taki kiedyś oberwie — A! ktoś przyjechał, Pawle—patrzaj no!

To mówiąc powstała Karolina aby wyjrzéć, za nią Paweł na ganek wyszedł. W ganku stał ojciec Julij i dwóch młodzieży.

— Państwo dawno wstali? spytał Sędzia wchodząc do sieni, wyprostowanego Pawełka.

— Jeszcze nie wstali! odpowiedział Paweł.

— Jeszcze nie? nie? tfu! a toż co? Panie Tytusie, wszak to po dwónastéj — *hora canonica*—Chyba mój zegarek się śpieszy?

— Po dwónastéj, odpowiedział zagadniony spoglądając na repetjer. Cóż dziwnego. Spo-

czywają po trudach, dodał z uśmiechem—Nie budźmy, poczekajmy, będą się wstydzić!

—A fe! ja nie będę czekał, rzekł Sędzia uciérając nos z całéj siły. Ty, chłopcze, idź i pootwieraj państwu okiennice. Jak im dzień w oczy zajrzy, to się przeckną. Czy nie naśpią się jeszcze razem. My czekamy, dwónasta, wódki jeszcze nie piliśmy—A co? No—idź mi pootwieraj okiennice.

—Pan się czasem będzie swarzyć —

—Cóż to kpie, kiedy mówię, to rób, słyszysz! On mi reflexje podaje! Możem ja też i od twego pana starszy. No — słyszysz gapiu, chcesz żebym sam poszedł czy co? Mazgaj jeden! Ty drugi, co tam stoisz, pójdź z koczyka wyjm z siedzenia butelki, każ tu przynieść tyrbuszona i kieliszków—A macie vivatowe kieliszki?

—*Jest* panie, w kredensie.

—No, żwawo, powitamy ich vivatem pode drzwiami, zawołał Sędzia. Stój, stój, nie idź odmykać okiennic—Czekaj, słuchaj! Jak my tu krzykniemy pode drzwiami—*Vivat!* i kieliszki o drzwi potłuczem, wy po jednemu mazgaje stanąwszy koło okiennic, razem wszystkie otworzycie. Słyszysz! rozumiesz!

—*Słycham* panie!

—A ty, dodał Sędzia, czy mi dasz dziś kieliszków?

—Ale bo — Jaśnie Panie — bąkał służący, pan mówi że tłuc będzie, to ja—to mnie—bo kredencerz—

—Cóż kredencerz?

—Jak się potłuką to mnie obije kredencerz—

—A! gapiu, czy ja tu czy kredencerz starszy? Idź mi zaraz, przynoś wnet tyrbuszon i kieliszki—Słyszysz?

Nareście za chwilę przyniesiono kieliszki, wszystkie ponadtłukane i powyszczerbiane pozbiérawszy, żeby nie było szkody, gdy je potłuką. Przygotowano wszystko po cichu, żeby przed czasem nie zbudzić państwa młodych, odkorkowano butelki na ganku, szampan zaszumiał w kielichach, zbliżyli się panowie do drzwi, chłopców wyprawiono do okiennic. Raz, dwa, trzy—

Vivat!

Krzyknęli wszyscy, a kieliszki roztrzaskały się o drzwi, okiennice odskoczyły od okien. Sędzia zbliżył się do dziurki i zawołał

—Dzień dobry wam dzieci! Co to tak długo śpicie—hę?

Spodziewał się choć jakiéj takiéj odpowiedzi, ale w pokoju sypialnym cicho było jak w grobie. Wszystkich to nie pomału zdziwiło.

—Tfu! ależ śpią jak kamienie, rzekł Sędzia—I Julka także! Boże mnie skarz, dawniéj, kiedy była panną, to czutka jak wróbel na gałęzi; ledwie co koło niéj zaszelesnęło, tyc—już na nogach. Julko! Panie Hilary! Mości Hilary!

Zaczął bić we drzwi kułakiem, nieszczęściem kawałek szkła rozbitego, z potłuczonego kieliszka, trzymał się na drzewie, Sędzia o niego zranił rękę. Przeklinając zatém sen nowożeńców, zawołał.

—Wysokie tu okna?

—I nie, panie, nie bardzo, jeśli pan chce wleść, to ja mogę ławeczkę przystawić.

—Aha! dobrze!

Sędzia wyszedł na dziedziniec, Pawełek pod oknem sypialnego pokoju, będącém naprzeciw samego łóżka przystawił ławeczkę, ale że ziemia tam była nierówna, ławeczka się chwiała.

—A ty widzę, ozwał się Sędzia, popierając demonstracją sylogizmem kułaka, ty mnie chcesz

widzieć na ziemi — Czemu co pod nóżki nie podstawisz?

Ławeczka stała już mocno — Ty, rzekł Sędzia — przytrzymuj ławkę, drugiego zawołaj, żeby mi rękę podał.

Z ciężkiém westchnieniem wgramolił się wreście, potém przyłożył rękę do okna, dla zasłonięcia się od bijącego zewnątrz blasku, spójrzał, popatrzył, parsknął od śmiechu—Co prędzéj zlazł z ławki i chichocząc jeszcze, rzekł do towarzyszów.

— Poczekajmy trochę —

— Cóż tam Pan Sędzia ciekawego zobaczył, rzekł któryś — Ale Sędzia nie mógł odpowiedzieć, tak się śmiał serdecznie. Minął prawie kwadrans, Sędzia już śmiało stuknął do drzwi.

— He! no! czas, już po południu, *hora canonica*! Cicho! Co to jest? daj sam ławeczkę do okna, znów z pomocą chłopaka, wlazł na nią Sędzia, popatrzał, rozśmiał się głośno, ruszył ramionami i zawołał.

— A dopókiż tego będzie? I zaczął już stukać w okno. Ale mimo śmiechu i hałasu, dwa ciała leżące na łóżku, które się Sędziemu tak śmiészne wydały, ani się ruszyły nawet.

Plunął Sędzia parę razy, kiwnął głową, zlazł z ławki zadumany, zaczął chodzić po ganku, poszedł znów do okna, zastukał—Na próżno—cicho jak wprzódy.

—Ani chybi pomdleli niebożęta! rzekł. I kazał wybić okno, wybito—Stanął na ławeczce, zajrzał, leżą jak leżeli. Przełożył nogę przez okno, szczęściem że krzesło stało z drugiéj strony, stąpił na nie, z niego na ziemię. Był już w sypialni.

Piérwsza rzecz która go uderzyła, był sztylet utkwiony w posadzce. Spójrzawszy nań, cofnął się, zatrzymał i kiwając głową, ostrożnie daléj postąpił. Trącił znów nogą o xiążkę rzuconą na podłodze, mruknął ruszając ramionami.

—Hm! wybrali sobie czas do czytania! Ta Julja, to taka szalona z tém czytaniem—Znów postąpił, ostróżnie, na palcach, powoli; mijał już komin, zobaczył filiżankę z szczątkami jakiegoś napoju stojącą. Że zaś był przyjacielem i znawcą napitków, zbliżył się, powąchał, a nie mogąc dójść co by to było, bo go tylko jakaś woń czosnku zaleciała, mruknął pod nosem.

Łotr, mosanie, zdaje się taki krzepki, a już pokrzepiających lekarstw potrzebuje. Otóż to z tego wszystko, musiało im zaszkodzić! Poszedł daléj. Już tylko o dwa kroki był od łóżka, zbliża się—patrzy—krzyknął wielkim głosem i co tchu nazad wyskoczył oknem. Wszyscy hurmem wpadli do sypialni nowożeńców, wyparto drzwi i okna—krzyk, wrzask, przestrach po całym domu.

Na pościeli ujrzano Julją bladą z rozczochranym włosem, z zamkniętemi oczyma, w jednéj koszuli leżącą, ręce jéj były konwulsyjnie w tył odparte, ścisnięte, sine. Na niéj trup Hilarego uczepiony, w całym godowym ubiorze, bukiecik od fraka, na obnażonych piersiach Julij — usta jego rozwarte, pianą i śliną okryte, zęby ścięte silnie, jakby chciał kąsać przed chwilą. Obejmował Julją, ręce jego wpiły się w jéj boki, na twarzy czarnéj posiniałéj, znać jeszcze było boleść, obłąkanie, zajadłość zwierzęcą, włos miał rozczochrany, suknie starte i potargane łóżko świadczyło, jak okropna na niém odbyła się walka. Jedna poduszka leżała pod głową Julij, druga zmięta i podarta na ziemi, łóżko i pościel i podłogę broczyły plamy czerwone.

Na twarzy żony widać jeszcze było wyraz przestrachu, cierpienia, rospaczy; skurczone miała ciało, oczy zamknięte, brwi zmarszczone, usta otwarte — cała była wyprężona konwulsyjnie, i prawie zimna.

VII.

VII.

Smierć i życie.

—Ona żyje jeszcze — rzekł poważnie lekarz, gdy trup pana młodego, oderwano od ciała żony, serce choć słabo, bije jednak. Śpieszny ratunek może mieć skutek, jeśli nie wzięła trucizny — Co się tycze tego pana, dodał poglądając na trupa—o tém już niéma co gadać, nieboszczyk.

Działo się w saméj sypialni—W oknie wyłamaném stał zapłakany Sędzia, w pokoju było kilka kobiet, kilku mężczyzn, krewnych, przyjaciół. Pod oknami, w dziedzińcu, w ogrodzie cisnęły się tłumy ciekawych, zwabionych straszną wiadomością, o nagłéj śmierci nowożeńców.

Nie słychać tam było tych pytań, wykrzykników, tego szmeru, jakie towarzyszą pomniéjszym wypadkom — cichość panowała, wszyscy osłupieli, zaledwie jeden drugiego, śmiał półgłosem pytać, nie dosłyszane tylko szepty przelatywały.

Lekarz wlał Julij w usta krople jakieś, kazał skronie i pulsa naciérać, krew puścił i po półgodzinném takiém męczeństwie, serce jéj mocniéj bić zaczęło, puls regulować się zaczął, cóś nakształt rumieńca zaświtało na twarzy, oczy otwarły się powoli, westchnienie wyrwało się z piersi. Doniesiono o tém ojcu, który płakał, nie wiadomo z rozczulenia czy z bolu zębów, którego nagle dostał. Julja coraz się lepiéj miała, lekarz zaręczył za jéj życie, trupa tym czasem wyniesiono nie bez wielkich ceregielów, bo słudzy bali się go dotykać. Usunęli się natręci, zostali krewni i lekarz.

Julja wróciła do przytomności zupełnie, z ust jéj nawet wyrywały się, jakby cienie słów, jakby ułomki wyrazów, niezrozumiałych nawet dla lekarza, który wprawdzie nie mozoląc się nad ich pojęciem, pulsu tylko macał.—Gdy pamięć jéj wróciła, zaczęła się rzucać i o ratunek wo-

łać, zdawała się na chwilę obłąkana, gorączka, nieodstępna towarzyszka każdéj słabości, każdego wypadku działającego na ciało, objawiła się natychmiast. Rzucała się chora po łożu, przewracała oczyma, zgrzytała zębami, groziła, odpychała od siebie. Taki stan trwał do wieczora, w nocy ujął ją przecie sen twardy, któren miał siły stargane przywrócić.

Tym czasem wypadek ten okropny, sprowadził urzędowe figury zjawiające się przy każdéj szkaradzie, jak wilcy przy padle — Zaczęto śledzić przyczyn, pobudek, roztrząsać życie obojga nowożeńców, notując najmniéjsze zdarzenia. Nic jednak tym sposobem nie docieczono; nikt się nie domyślał prawdy, oczekiwano wyzdrowienia zupełnego Julij, któréj zeznanie miało wyjaśnić to dzieło tajemnicze i okropne.

Tym czasem schowano sztylet, xiążkę, filiżankę z fusami napoju, uznanego za niedokwas arszenniku, i inne dowody zbrodni. Trupa wniesiono do sklepu, rozkazawszy pilnować, aby robactwo i zgnilizna nie wdały się weń, bez pozwolenia wyższéj władzy.

Nazajutrz i w dni następne, Julja miała się co raz lepiéj, uważano jednak za niestosowne

wypytywać ją zaraz, aby świeżém przypomnieniem wypadku, znów ją w obłąkanie gorączkowe nie wtrącić. Od dnia do dnia polepszało się wdowie, lecz dotąd z ust jéj ani słówka o wypadkach okropnéj nocy weselnéj, nie słyszano.

Unikała ona najdalszego nawet o tém wspomnienia; gdy się zaczęła przechadzać, przewieziono ją do domu Pana Sędziego. Dozwalała robić z sobą co chciano, zimna, milcząca, zamyślona, czasem tylko nieznacznie uśmiechała się do siebie i niespokojnie poglądając na drzwi, za każdém ich otwarciem, zdawała się czyjegoś ukazania obawiać.

Dość długo tak, troskliwość i obawa o jéj zdrowie, wszystkim usta zamykały; lecz przyszedł czas nareście; musiano, już dla zaspokojenia ciekawości, już dla obalenia dziwnych pogłosek szarpiących jéj sławę, spytać wreście jéj saméj o wypadki strasznéj nocy. Chodziło o wyjaśnienie, kto przygotował, kto dał truciznę Hilaremu, lub, jeśli ją sam wziął, to z jakiéj przyczyny? Położenie trupa, sztylet i inne poznaki dowodziły, że pan młody chciał żonie odebrać życie, domyślano się więc, nie bez przyczyny, czy żona nie podała mu trucizny, czy to nie była

zemsta? Jakkolwiek nie pojmowano coby Julją spowodować mogło do tego, rzucona raz myśl, rozchodziła się.

Lecz i Julja stanęła przed urzędnikami; z zimną, obojętną twarzą, wyraźnie, szczegółowie, opisała wszystko, cały jak był wypadek; przyczyny objaśniła, nie pominąwszy najważniéjszéj, pewnego obłąkania, którego i inni w nieboszczyku znaków z trwogą dostrzegali. Opowiadanie Julij, jakkolwiek prawdziwe, zostawiało jeszcze wiele do życzenia, bo tak niesłychany wypadek, nigdy dostatecznie objaśnić się nie dawał, nie mając jednak innych zródeł, musiano się tém co podawała zadowolnić. Kiwano jednak głowami, nie pojmując jak pomięszanie zmysłów tego człowieka, gdyby je nawet przypuścić, mogło nagle, charakter przybrać tak gwałtowny i tak straszliwym sposobem się objawić.—Skończyło się na tém, przestano na objaśnieniach, danych przez Julją, a zgodnych z tém co okazywały ślady w sypialni nowożeńców.

Odtąd wypapek ten straszny, uczynił Julją przedmiotem powszechnéj ciekawości, i pewnéj zabobonnéj odrazy i wstrętu. Patrzano na nią jak na upiora, który się wyrwał z rąk śmier-

ci. W towarzystwach, kobiéty stroniły od niéj, mężczyźni ciekawość okazywali, ale się nie zalecali jak dawniéj. Nikt nie myślał pozyskać jéj względów, wyglądać uśmiechu, wywabić dwuznacznego słowa zalotnicy; każdy się kłaniał zdaleka, odchodził wzdychając, z politowaniem na twarzy, odrazą w sercu. Jedno dotknięcie, jeden uścisk trupa, pozbawił Julją miłości, roskoszy, szczęścia, przyszłości. Serce jéj wprzódy zimne, teraz zlodowaciało de reszty, wesołość dawna skonała na nieszczęsném małżeńskiém łożu — ponura, zmieniona, nieraz wspomniała słowa Hilarego, w straszną noc wyrzeczone.

— Cóż warto życie??

I do czegożby była posłużyła jéj wesołość? dowcip, uśmiech nikogoby przy niéj nie rozweselił, gdyby i piękność sama nie wabiła — taka to prawda, że wyobrażenia zmieniają całkiem znaczenie przedmiotów, choć cielesnie przedmioty, są takie jak były. Uważano Julję, jako skórkę owocu wyssanego, rzuconą w kąt pogardliwie — Obchodziło ją to z początku, ją tak zalotną dawniéj, potém nawykła do swego nowego położenia, mszcząc się na ludziach szyderstwem głosném lub milczącem, przekleń-

stwem wyrzeczoném w duszy. Żarty jéj coraz ostrzejsze, coraz większym jadem zaprawne, nie przepuszczały teraz ojcu, bratu, siostrze, najbliższym—Szydziła ze wszystkich i ze wszystkiego, był to upior chodzący, uprzykrzony, dokuczny, zgryźliwy, zawsze z piekielnym uśmiechem na twarzy, upior który jakby za karę dręczył ludzi, rzucając im w oczy najlżéjsze i najobrzydliwsze ich przestępstwa, odkrywając tajne a wstydliwe uczynków powody, obnażając ich i okazując sromoty. Wyższe towarzystwo, którego Julja mało widywała, przyjmowało ją zimno; prości ludzie, słudzy, wieśniacy, unikali od niéj, żegnając się gdy padł mrok przechodzili mimo jéj drzwi, lękali się wieczorem spotkać na drodze, zawsze im się zdawało, że to był trup grobom wydarty.

A ona? ona się śmiała z obojętnych, z lękliwych, z pogardzających nią — w duszy jednak, w tym zakątku w którym się chronią najdzikssze człowieka nadzieje — karmiła jeszcze drobną, małą, że kiedyś świat, ludzie, szczęście, wszystko do niéj wróci, że po długiém ociéraniu się o ludzi, zetrze się wreście ta plama, którą trup na niéj dotknięciem swém zostawił.

Raz — xiężyc świecił, (był to koniec lata) Julja sama jedna jak zwykle, wyszła na przechadzkę do lasu, do owego pamiętnego lasku, w którym przypominać sobie lubiła przechadzkę z Adolfem, zakończoną tak tragicznym wypadkiem. — Chodziła długo, usiadła wreszcie zmęczona pod drzewem. Tysiące myśli objęły jéj głowę, o zawiedzionych nadziejach, o tém życiu, które młoda jeszcze a odepchnięta przez ludzi, pędzić musiała bez celu, czczo — jednostajnie, nudno; o życiu którego mimowoli wyglądać musiała najprędszego końca, jak widz w teatrze końca sztuki, którą aktorowie odegrywają niezrozumiałym mu językiem.

Szelest jakiś przerwał jéj myśli — patrzy, słucha! — Tentent konia, powolnie, stępo idącego i szum po drodze odchylanych gałęzi, doszły ją. Jeździec się zbliża, zbliża, pokazuje się koń, a na nim — Adolf ze spuszczoną głową, zadumany, blady.

I on zapewne zbliżając się ku temu miejscu, myśleć musiał o psie wściekłym, o Julij — Mimowolnie obejrzał się, zadrżał, krzyknął, zobaczył ją. Chwilkę sądził, że ta postać biała, oświecona xiężycem, była złudzeniem, marą,

spójrzał powtóre, wzruszył ramionami, konia zatrzymał — poznał ją —

W téj chwili Julja podniosła zwolna głowę, a wlepiając w niego oczy, patrzała nie dając znaku najmniéjszego podziwienia, westchnęła, odwróciła się. I jakby od niechcenia oparłszy się na ręku, z uśmiechem złośliwym, przeszywającym, ozwała się.

— Dobry wieczór panu Adolfowi! — Milczysz przestraszony, jeszcze ci w myśli pies wściekły!

Adolf zadrżał, milczał; nie dość że ta o któréj w téj chwili myślał, stanęła przed nim jak upior, trzebaż było, żeby mu wydarła drugą myśl jego, któréj się sam wstydził, przypomnienie owego dziwnego wypadku.

Drżał więc i milczał, potém w ustach nieznalazłszy słowa, a widząc ją ciągle obróconą w przeciwną stronę, chciał już jechać daléj, uchylił kapelusza, głosem słabym życzył — Dobrego wieczora — a stał i nie jechał. Zaczarowało go jedno wejrzenie. Koń się wyrywał, on trzymał jeszcze kapelusz nad głową i

— Dobry wieczór — Konał powoli na ustach.

— Młodego musisz mieć konia, odezwała

się Julja po chwili nie obracając się ku niemu— Słyszę jak się wyrywa! Nie zabieram drogiego czasu. Wierna żona czeka na ciebie w domu.

Niepodobna opisać, z jakim szyderskim przyciskiem wymówiła Julja wyraz, *wierna*, jak szydersko się potém rozśmiała, jakie to wszystko razem wrażenie uczyniło na biednym Adolfie.

Zadrżał, pobladł, poczerwieniał, oburzył się, przestraszył, zaciął konia, odwrócił się, spójrzał jeszcze, litość nad opuszczoną wstąpiła do jego serca; uderzył konia i wstrzymał raz jeszcze, chciał cóś powiedzieć, milczał, ale oczyma i duszą patrzał na Julją, czekając jak się to skończy. Julja milczała długo, uporczywie, szydersko, oczu nawet nie chciała na niego obrócić, lecz po długiéj chwili spójrzała nareście i widząc go jeszcze przed sobą, z takim samym jak wprzódy uśmiechem, spytała.

— Czegoż stoisz i czekasz? Wierna Matylda nie zabroniłażci jeszcze rozmawiać ze mną? z upiorem? Nie kazała ci mnie omijać? Biedna, boi się zapewne żebym jéj jedynaka nie odebrała!! A! a! nie potrzebuję już teraz pana Adolfa na ratunek od psa, nie boję się wściekłych psów,

bo o życie nie stoję. Jeszcze czekasz, jeszcze stoisz? ozwała się po chwili — I czegoż? Zapewne chcesz mnie pocieszać — O ty zawsze, tak dobre miałeś serce — Ale to napróżno — jedź sobie daléj — jedź sobie daléj —

Stoisz jeszcze?? Chcesz więc koniecznie przywitać starą znajomę? Zsiądź z konia, pogadamy.

Adolf nie umiał się oprzeć rozkazowi, kto wie, czy przez szczególne uczucie litości, dla ulżenia jéj, nie byłby, gdyby mu kazała, najszaleńszego głupstwa popełnił — Podbity był słaby człowiek, jéj głosem, wzrokiem, niepojętą władzą, jaką na niego zawsze, a teraz bardziéj niż kiedykolwiek wywierała. Zsiadł więc z konia, przywiązał go do drzewa i stanął przed nią zmięszany, ciekawy, poruszony, smutny. Znowu milczeli, ale Julja podniosła na Adolfa wejrzenie ciekawe, długie, głębokie, kiwnęła potém głową i ozwała się cicho, smutnie, z bolesném westchnieniem.

— A! wieleż to rzeczy minęło i znikło Adolfie, wiele to zaszło odmian, ja z twojéj niegdyś kochanki, dziś przedmiot obrzydzenia, a może litości. Ty się mną brzydzisz jak drudzy?

— Ja? rzekł Adolf zmięszany — ja? alboż— alboż ja —

— Alboż, przerwała Julja z boleśnym uśmiechem, alboż myślisz, że nie wiem o tém, jak się mną brzydzą wszyscy? Czyż który z was potrafi w sercu zamknąć tajemnice serca, aby ich zręczne oko nie wyczytało na twarzy jak w zwierciedle? O! i ty pieszczochu, coś tyle słodyczy spił z ust moich, boisz się mnie teraz, albo się mną brzydzisz, niewdzięczny! Wam się zdawać musi, że ten trup, dodała szydersko, wisi jeszcze z siną twarzą i otwartém okiem nade mną. Przecież go niema oddawna, spruchniał, zgnił, zniweczał — Ale wam, wam się zdaje, że chodzi za mną jeszcze — boicie się dotknąć téj, któréj dotknął konając umarły. Przecież i śladu nie zostało! Były sińce na ręku i na duszy, ale te dawno znikły. Niema nic wiecznego — Jam znowu dawna Julja — O! nie — Kłamię, jam nie ta sama Julja, lepiéj poznałam ludzi — wszystko złe, podłe, głupie, nikczemne, którychem się tylko wprzód domyślała, teraz widziałam na oczy, teraz przekonałam się, że w nich jest!

Chciałam cię prosić siedzieć, przerwała nagle, ale gdzież usiądziesz? Tu, nie tak wygo-

dnie, jak w saloniku w Lublinie. Jest wprawdzie miejsce przy mnie, na drzewie, ale tchórz taki jak ty — osobliwie w nocy — gdyby dniem jeszcze.

I rozśmiała się znowu jak wprzódy zalotnica, wskazując białą ręką, na porosły mchem pień drzewa, na którego jednéj połowie siedziała, Adolf krótko się wahał, usiadł. Potém w głowie przebiegł wszystkie przedmioty do rozmowy, jakie tylko na ten raz służyć mu mogły i jakby wreście trafił na myśl szczęśliwą, odezwał się po cichu.

— Co za piękny wieczór!

Julja spójrzała mu w oczy i znowu rozśmiała się głosno.

— Sliczna rozmowa, która się poczyna od piękności wieczora. Na czémże, ją skończymy, odpowiedziała, ziewając zapewne i o jutrzejszą kłócąc się pogodę, wyprorokowaną z zachodu słońca lub lotu jaskółek. Rzućmyż rozprawy o pogodzie, zostawując je starym głupcom, memu ojcu, bratu i xiędzu proboszczowi, ty po długiém niewidzeniu się powiedź mi jaką nowinę serca i duszy — Naprzykład? jesteś szczęśliwy?

Co na to było odpowiedzieć? Adolf westchnął, otworzył usta, zamilkł.

— To westchnienie, podchwyciła Julja, ma zapewne znaczyć, że sam o tém niewiesz. Lecz cóżby ci brakło do szczęścia? Moje wspomnienie może truje ci najpiękniéjsze chwile, musisz żałować owego grzechu popełnionego, w taką noc xiężycową jak dzisiéjsza?

W jéj głosie, w ciągłym przedłużonym uśmiechu, towarzyszącym szyderskim wyrazom, było cóś tak przeszywającego, że biedny Adolf stracił przytomność i nie wiedział jak odpowiadać. Julja zamilkła, patrzała na niego i po chwilce znów śmiejąc się zawołała.

— Co za piękny wieczór!

Adolf mięszał się coraz bardziéj — tém bardziéj iż Julja oczy w niego wlepiła, a widząc skutek swych wyrazów na jego twarzy, zmieniła ton szyderstwa, na bolesny — O! jak grała wybornie swoją rolę!

— Co za piękny wieczór! A wkrótce noc nastąpi — ty pojedziesz do żony, ona cię niecierpliwie wygląda — Mnie nikt nie czeka, ja zawsze sama z mémi myślami kładę się do wdowiego łóżka, zasypiam utrudzona i w nocy we

snach okropnych, odnawiają mi się męczarnie téj nocy, która mnie na resztę życia, szczęścia pozbawiła. Ty nieraz nocy wyglądasz, ściskając kochaną żonę — ja jéj się lękam jak piekła, bo ten upior przeklęty, przychodzi mi gnieść piersi. Westchnęła i spytała —

— Która godzina?

— Musi być po dziewiątéj, nie mam zegarka, rzekł Adolf. Gdy tych słów domawiał, szelest jakiś zwrócił jego uwagę, Julja zawołała.

— Adolfie, idź do swego konia, koń ci się oderwie, przywiąż go lepiéj, łamie gałąź, prędzéj, prędzéj — Już po wszystkiém, pobiegł — W istocie oswobodzony zrebiec, kopnąwszy tylnemi nogami, cwałem pobiegł wprost drogą ku domowi. Julja się śmiała, Adolf stał wryty; ćwierć mili miał dreptać pieszo po nocy.

— O konia się nie turbuj, dodała po chwili, ale ta wierna Matylda, co biedna pomyśli widząc go powracającego bez pana — Będzie myślić, że cię potłukł zrzuciwszy gdzie w lesie! A! a! Czegoż tak się kręcisz, tak jesteś niespokojny, chcesz już powracać do domu.

— Nie, jeszcze chwilę zostanę, rzekł Adolf niezgrabnie.

— Chwilę! co za łaska! szydersko przerwała Julja, chwilę odrywasz z złotego pasma dni twoich dla biednéj Julij, którą pogardzasz, dla tego, że kiedyś, nadto łatwo ci się poddała!—

Adolfowi przykro było słyszeć, iż mu przypisywano pogardę, któréj w istocie nie czuł, odezwał się więc z wysmażoną obroną.

— Nigdy nikim nie pogardzałem, tém bardziéj osobą, która — któréj los wzbudza we mnie zawsze —

— A! Boże, cóż za retoryka! przerwała Julja z szalonym śmiechem. Sądząc ze stylu, sądzićby można żeś świeżo wyszedł z szóstéj klassy i stoisz nie przed dawną kochanką, ale przed bakałarzem jeszcze. Znać, żeś nie czuł tego co chciałeś powiedzieć — był to obrazek myśli, ale nie myśl prawdziwa. Ale ja znam się dobrze na słowach, w których niema czucia, tylem ich słyszała! kleją się takie wyrażenia, jak słowa które dzieci z pociętych liter układają. Adolf do mnie w tém miejscu, takżeby to przemawiać powinien?

— Prawdziwie — przepraszam — ale jakże mam mówić? —

— Tak tylko, jak niegdyś ognisto w tém miejscu rozmawialiśmy, pamiętasz?

— O! pamiętam, aleś się *pani* od tego czasu, tak zmieniła?

— A *pan*, *pan* żeś się nie zmienił? Wierna Matylda nie zatarłaż Julij do reszty w jego pamięci i sercu? No — może już przeszła darowana mi *chwilka?* Mamże pożegnać? xiężyc zachodzi, chmurzy się, oboje mamy jeszcze drogę przed sobą. Ty, do żony, ja do domu, gdzie mnie nikt nie czeka, nikt nie powita, gdzie nikt na mnie nie spójrzy! A! ale dbamże ja oto? Dobranoc ci. Może się kiedy jeszcze zobaczym — może jutro będziesz jechać tędy. Ale — Dobranoc! Widzę żeś już nałożył kapelusz i lecieć zamyślasz do domu. Idźże, idź kiedy ci tak śpieszno — Ja tu jutro będę – No! idźże, czego stoisz? Czegoż chcesz jeszcze? Patrzysz na mnie, wahasz się, żądałbyś innego pożegnania? Śmieszny człowiek! A Matylda? Także ci wierna, jak ty jéj? Dobranoc, dobranoc — Nie leć tak prędko jakbyś się lękał, żeby cię upior nie gonił — Rozbijesz gdzie nos o drzewo i będziesz się musiał tłumaczyć, jak z tamtego guza, na swojém weselu? Dobranoc! Dobranoc!

VIII.

VIII.

Litość.

Nazajutrz, Adolf wstał z bijącém sercem, bo pierwszą jego myślą przy obudzeniu, było wczorajsze w lasku spotkanie, przypominające mu się, jak sen przeszłéj nocy. Iść czy nie iść tam znowu? myślał w sobie — Iść czy nie iść? Spójrzał na Matyldę i przypomniał jéj przywiązanie, łagodność, dobroć, troskliwość, pomyślał, że nowe związki, związki których przyrzekł nie mieć więcéj, oziębią go bardziéj jeszcze ku żonie, i — Nie iść! — rzekł do siebie. Lecz zaraz wspomniał na Julją, całą jéj historją przebiegł od początku do końca, litość wkradła mu się do serca, przyszła nuda poprzeć sprawę i —

Pójdę — pomyślał znowu. Matyldę widzę zawsze, ciągle — nieustannie - cóż szkodzi —

Wtém weszła Matylda, przemówiła słów kilka, uśmiéchnęła się, a że Adolf miał serce aż nadto miękkie, pożałował żony, przyrzekł w duchu, poprzysiągł, postanowił nie iść do lasku. Nieszczęściem postanowienia jego nigdy długo nie trwały, najmniéjsza okoliczność za nos go prowadziła.

Cały dzień jednakże niespokojność go trawiła. Przeszedł się po gospodarstwie, po ogrodzie, wziął czytać xiążkę, nic go zająć nie mogło — dzień wczorajszy tkwił mu w myśli a dzisiejszy dokuczał okropnie.

Tymczasem zbliżał się wieczór, słońce ponad lasy się kłoniło. Adolf siedział w oknie wychodzącém na ogród, siedział, dumał, tarł czoło niespokojny. Matylda w tym samym pokoju czytała xiążkę.

— Czy dziś już nigdzie nie pojedziesz? spytała po chwili przerywając czytanie.

— Ja? Adolf się zaczerwienił mimowolnie, porwał od okna, stanął przed nią, powtórzył znowu — Ja?

— Czy dziś już nigdzie nie pojedziesz? powtórzyła Matylda.

Wahał się Adolf z odpowiedzią, litość brała patrzéć na niego, jak ustami krzywił, nie mogąc z nich stanowczego wydobyć wyrazu. Nagle, porwał kapelusz i zawołał.

— Czekaj mnie z kolacją, przejadę się trochę koło pola?

— Tylko nie na wczorajszym gniadoszku! rzucając xiążkę zawołała Matylda.

Adolf włożył kapelusz, porwał za klamkę, zamruczał — *nie* — *nie!* pod nosem i zniknął. Poszedł, siadł na koń i pojechał. Już jechał, a jeszcze walczył z sobą, narzekał na siebie, wyrzucał sobie ohydne postępowanie i tak dojechał do lasku. Jeszcze się mógł wrócić, stanął, pomyślał, spójrzał na słońce, już było zaszło, czerwona łuna została po niém, z drugiéj strony xiężyc wschodził. Myślał długo, śpiął nagle konia i cwałem wjechał do lasku.

Pod tém samém drzewem, na tym samym pniu, siedziała Julja, w téj saméj postawie co wczora. Serce jéj uderzyło radośnie, gdy ujrzała przybywającego Adolfa. On zsiadł z ko-

nia; weselsza dziś, powitała go uśmiechem mniéj szyderskim i spytała.

—A cóż, wielką wczoraj dostałeś burę od żony?

—Prawdziwie! bąknął Adolf, na co o tém mówić.

— Zawsze dziecko, odpowiedziała Julja, boi się mówić, a nie lęka się robić! I cóż Adolfie?

—Nic a nic — rzekł Adolf i śmieléj niż wczora, nie proszony siadł przy niéj na wywróconém drzewie, patrząc jéj w oczy.

—Jeszcze więc, radośnie wołała wdowa, jeszcze jest choć jeden człowiek na świecie, co mi chwili życia poświęcić nie waha się. Nadto szczęścia dla mnie. Myślałam, że od téj przeklętéj nocy, obcować będę tylko musiała z umarłymi i wspomnieniami. Zamilkła, a po namyśle, obróciwszy się do Adolfa stanowczo go spytała.

—Po coś tu przyjechał?

—Ja? Mówiłaś wczoraj że tu będziesz. Tak cię żałuję, tyś tak opuszczona, smutna, chciałem ci choć chwilę osłodzić, pocieszyć cię—

— Dla tego tylko! Prawdziwie nie było czego przyjeżdżać, odpowiedziała Julja prędko i

gwałtownie. Więc ja na politowanie zaledwie zasługuję, innego uczucia nie wzbudzam.— Jeśli tak, możesz siadać na koń i wracać do domu, nie potrzebuję litości.

— Ale, zmięszany odpowiedział Adolf, jestże w tém co złego? alboż—

— A! dajże mi pokój z użaleniami, z patetycznemi kondolencjami nad moim losem—Chwilę, sądziłam że co innego przywiodło tu Adolfa — a to — tylko litość — litość — śliczne uczucie!

— Czegoż Pani żądać możesz więcéj? nie śmiało przebąknął zmięszany, nieukontentowany Adolf, który w téj chwili wymawiał sobie, że przyjechał do lasku.

— Pani? Pani? Nazywasz mnie Panią? Pytasz czego żądam więcéj? Myślisz że ci to powiem, jeśli ty nie wiesz, albo raczéj nie chcesz wiedzieć? O! nadto jestem dumna, abym się sama czegokolwiek napierać miała. Wróć do domu, dobranoc.

Wstała rozgniewana, śmiejąc się szydersko i odeszła kilka kroków. Adolf nie wiedział co począć, poszedł za nią ze spuszczoną głową i cicho, cicho wybąknął.

—Uciekasz ode mnie?

—Nie od ciebie, od twojéj *litości*, z przyciskiem odpowiedziała Julja— Dobranoc. — Szła daléj.

—Więc już nie będę się litował, nie będę pocieszał, nie będę —

—A cóż będziesz robił, będziesz siedział naprzeciw mnie i ziéwać mi dopomagał— Obejdę się bez tego, sama siedzieć i ziewać potrafię — Dobranoc.

—Bądź cierpliwa chwilę, daj się wytłumaczyć — Jam umyślnie przyjechał.

—Żeby mnie upokorzyć swoją litością—

—W myśli mi to nie postało! Żal mi że napróżno —

— Zrobiłeś spory kawałek drogi od domu. Prawda, że szkoda fatygi. Całą drogę jeszcze musiałeś układać kondolencyjne frazy, a tu przyjechawszy skończyło się na tém, że po kilku słowach dajemy sobie — Dobranoc — Cha! cha!

Adolf mieszał się coraz bardziéj, jednakże nie odchodził, stał przy niéj i błagającym wzrokiem, zdawał się już tylko prosić o litość dla siebie — Ona patrzyła na niego z zwyczajnym uśmiechem. Przeszło tak minut kilka, w końcu

Julja ruszyła ramionami i powróciła na swoje siedzenie. Adolf powlókł się za nią znowu, usiedli i milczeli.

— O czémże przecie będziemy dziś rozmawiać — przerwała nakoniec Julja, nie mogąc się doczekać, aby Adolf usta otworzył. O Tureckiéj wojnie, o drobiu, czy o dzisiejszym zachodzie słońca — O czém chcesz, byle nie o litości — Czegożeś tak zamilkł, jak posąg?

— Muszę milczéć, kiedy co tylko powiem, wszystko na złe tłumaczysz, przebąknął Adolf, z każdego słówka wyssiesz coś złego — boję się już ust otworzyć.

— O! nie szukam w słowach, tego czego w nich niéma, odpowiedziała Julja, odkrywam tylko, co się pod niemi kryje. Dawniéj choć równie jak dziś, umiałam cudze myśli przenikać, więcéj taiłam co złego lub śmiesznego w nich widziałam. Dziś, gdy o nic nie stoję, gorzką prawdę mówię tylko — Nie dziw że się to nie podoba. Przywykły do pięszczot Matyldy, źle ci brzmią w uszach moje szyderstwa — nie prawdaż? Ręczę, że więcéj nie przyjdziesz do lasku?

— Owszem, przyjadę ile ty razy tu będziesz, prędko odpowiedział Adolf — Ale jakby się sam

zląkł nieuważnego przyrzeczenia, zaczerwienił się i oczy spuścił.

— A coby na to powiedziała Matylda, gdyby się dowiedziała o tém? szydząc zawsze przerwała Julja.

Adolf chwycił się z siedzenia, przypomnienie Matyldy dobiło go do reszty.

— Więc dałaś sobie słowo, dogryzać mi wszelkiemi sposoby, zawołał. Po tóż mam tu przyjeżdżać, aby z każdego mego słowa, robiono dla mnie nową męczarnię!

— Ależ się nie gniéwaj! powoli, powoli! Chcesz? to ci więcéj o tém nie wspomnę. Sądziłam, że ta wojna nudy ci przerwie, bo się nudzisz nieboraku w domu — Nie chcesz — dobrze. Mówmy o czém inném, naprzykład, o czém niewinném, dziewiczém, o piękności dzisiejszego wieczora!

I znowu Adolf porwał się z siedzenia, zamruczał cóś pod nosem, ruszył ramionami, usiadł po chwili jeszcze. Julja patrzała mu w oczy i zdawała się napawać jego udręczeniem, potém przybrała minę weselszą, ujęła go za rękę i cicho odezwała się.

— Dobra z ciebie dziecina! ale zawsze dziec-

ko i do śmierci niém będziesz. Trzeba ci zawsze kogoś, coby cię za nos wodził. Ze mną byłbyś szczęśliwy, jabym potrafiła rządzić tobą. Matylda za słaba dla ciebie. Czemuś ty się ze mną nie ożenił?

— Los tak zrządził —

— Powiedz raczéj, przerwała prędko Julja zbliżając się ku niemu, że sam tak chciałeś, boś mną pogardzał, boś się mnie lękał. Biada kobiecie, zbyt słabéj! Za słabość płacą jéj wzgardą, obojętnością, zapomnieniem! Mniéj namiętności, a więcéj rachuby. Żeby was utrzymać, trzeba wam do skonania, do ostatniego tchu, wszystkiego odmawiać. Zamilkła chwilę, znowu zaczęła ze śmiechem.

— A! a, wiesz co! Muszę ci przecie ciekawą jedną nowinę powiedzieć, to ci nagrodzi konną przejażdżkę. Jestem zdawna twoją przyjaciółką, jak przyjaciółka więc, cię ostrzegam że Matylda

— Co? Na Boga? co? zakrzyknął Adolf zrywając się.

W téj chwili zimno powstawszy Julja odpowiedziała z inną twarzą.

— To była tylko próba, nic nie wiém o

Matyldzie. Ale zapał twój rozstrzygnął o naszym losie. Dobranoc, niémasz tu po co przyjeżdżać. Ja litości nie potrzebuję, a ty jak teraz widzę, nic prócz niéj ofiarować mi nie możesz. Siadaj na koń, jedź do wiernéj żony, którą tak kochasz. Dobranoc. Przepraszam, że z mojéj przyczyny i pan i koń, fatygowali się tutaj.

— Zastanówże się, rzekł ochłonąwszy Adolf.

— Nauki nie potrzebuję żadnéj, nie jestem dzieckiem już, dzięki Bogu.

— Możnaż się obrażać tém, że mnie wierność żony obchodzi? Gdybym jéj nawet nie kochał, obeszła by mój honor, jeśli nie moje serce, niewierność —

— Doskonała wymówka, zimno bąknęła Julja, szkoda że się na tém znamy. Twój zapał, pokazał mi aż nadto wyraźnie, iż od ciebie nic prócz litości spodziewać się nie mogę. A ja sto razy powtarzam chcę serca, serca żądam, nie tego nudnego powszedniego uczucia, które się daje, jak *Zupa Rumfordska* wszystkim nieszczęśliwym— Możesz mnie kochać Adolfie? możesz mi wszystko poświęcić?

Adolf stał nie poruszony, serce jego mówi-

ło *nie* wielkim głosem, usta jednak wzbraniały się wymówić wyrazu tak stanowczego, nie chciał zimną odpowiedzią, ostatniéj odebrać nadziei — pomyślał, że *tak* czy *nie* wyrzec, nic nie stanowi i rzekł.

— Tak!

A zaledwie powiedział, już się po swojemu zląkł bezrozumnego przyrzeczenia swego, które mu słabość jego podyktowała — obejrzał się, czy nie było świadków.

Julję jednak ten wyraz, w któren może nie wierzyła, uszczęśliwił, promyk nadziei błysnął w jéj oczach, chwyciła go za szyję, wołając żywo —

— I ja wszystko mogę dla ciebie — wszystko — ja cię uczynię szczęśliwym, zupełnie szczęśliwym! Zdziwił się Adolf przyrzeczeniu temu, myślał, dociekał, jakie to mogło być szczęście, którego by już wprzód nie kosztował — Naprożno łamał głowę, Julja sama nie wiedziała co mówiła.

IX.

IX.

Ostatnie — Dobra noc!

Adolf niespokojny, dręczony zgryzotami sumienia, pożno wrócił do domu. Dopóki był z Julją, zapominał o żonie, nim wrócił do domu, chłód wieczora oziębił jego zapał, przyszła rozwaga po nasyceniu, uczuł się występnym, uczuł że niegodnie zdradzał ufność kobiéty, która mu już raz przebaczywszy, wierzyła jak Bogu. Dręczył się nieszczęśliwy, zrobiwszy krok stanowczy bez uwagi, zastanawiając się nad nim po niewczasie. Najnieszczęśliwsi są ludzie którzy tym sposobem idą całe życie — działają a potém dopiéro myślą.

Przeciwnie Julja, rada że w życiu które sobie czczém i bladém na przyszłość wyobrażała, zajaśniała jeszcze gwiazda roskoszy, wróciła do domu śpiewając, o tyle szczęśliwa i wesoła, o ile nadzieja uszczęśliwić i rozweselić może. Nie obchodziło ją już wcale, zimne obejście otaczających, obojętność ojca, siostry, brata; pobiegła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko zmordowana, odpoczywać, rozmyślać, ważyć, układać. Miała rozpocząć dzieło wielkie, ważne, miała odstręczyć męża od żony, któréj nic zarzucić nie potrafiła nawet złość i potwarz. Długo nad tém myślała Julja i wyznała przed sobą, że się podjęła rzeczy trudnéj, prawie do dokonania niepodobnéj. Adolf z swojéj strony, aby się uniewinnić przed sobą, aby się zadurzyć i głos sumienia zagłuszyć, tłumaczył sobie swój występek wszystkiemi przymiotami Julij. Ale kiedy je kładł w myśli obok cnot Matyldy, upokorzony, zwyciężony, znów czuł zgryzoty sumienia.

Pomimo tego — o! słabości człowieka! — nazajutrz znowu był w lasku i codzień potém, czas długi, schodzili się w nim wieczorem. Mamże opisywać jeszcze, te miłośne schadzki, w któ-

rych Julja pastwiła się nad swoją ofiarą, nielitościwie dręcząc biednego słabego człowieka? O nie! zakryjmy to, co się tam działo! Dość, że Adolf cierpiał a powracał, i ubiegały tak tygodnie, miesiące, jesień się zbliżała do końca — związki jeszcze trwały. Postępowanie Adolfa, jego nocne wycieczki, jego humor, wzbudziły podejrzenia w Matyldzie, tłumaczyła sobie jednakże wszystko inaczéj; a oszukiwana najniezgrabniéj, wierzyła w kłamstwa widoczne, aby nie być zmuszoną domyślać się złego.

I trwało to tak, do końca jesieni. Adolf coraz widoczniéj był duszą za domem, coraz widoczniéj cierpiał. Matylda mimo chęci, nie mogła dłużéj zadowolnić się wymówkami jego, poczęła mimowoli z przestrachem, przeczuwać cóś, przewidywać. Jedno słowo wyrzeczone, otworzyło usta usłużnym ludziom, którzy dawno wyspiegowawszy pana, czekali tylko okoliczności, aby go wydać i zdradzić. Z roskoszą przynieśli i podali złą nowinę! Matylda nagle dowiedziała się od poufałéj sługi, o wieczornych schadzkach z Julją, jak to uczuła, nie potrafię opisać i nie myślę opisywać.

W dni kilka po odebraniu téj wiadomości,

Matylda, nim się mąż jéj na zwykłą wieczorną wybrał przechadzkę, wyjechała niby w odwiedziny w sąsiedztwo; i ukryła się w lasku, myśląc zapewne tym sposobem przekonać się o niewinności męża, lub jego zdradzie, któréj jeszcze nie wierzyła biedna! Cała drżąca ukryła się, wyrzucając sobie to spiegostwo nikczemne, które tłumaczyła przed sobą konieczną potrzebą przekonania się o wszystkiém naocznie — Mimowolnie spodziewała się jeszcze, iż doniesienia były fałszywe, Adolf niewinny, takie o charakterze swego anioła (jak go zwała) miała wyobrażenie.

Zaledwie usiadła w krzakach leszczyny i okiem rzuciła na drogę mimo idącą, ujrzała przy swietle wschodzącego xiężyca, migającą niedaleko, białą suknię kobiecą. Sercem nie oczyma poznała Julją — serce się jéj ścisnęło, gdy usłyszała piosnkę wesołą, tak dziwnie odbijającą od jéj uczuć, udręczenia, boleści jakie czuła. Przebiegłszy drożyną, Julja siadła pod drzewem o dwa kroki od Matyldy, któréj postrzedz nie mogła, sparła głowę na ręku, westchnęła, spójrzała na drogę, w tę stronę z kąd Adolf miał przybyć. Po chwilce, dał się słyszeć tentent

konia, Julja podniosła głowę, Matylda zadrżała i omało nie krzyknęła — obie spójrzały, obie razem poznały jadącego Adolfa.

Jechał on śpiesznie na siwym młodym koniu, niespokojnym wzrokiem rzucał do koła. Pierwszy raz gdy się zbliżył, Matylda postrzegła w jego twarzy jakiś szczególny nienaturalny jéj wyraz, przymuszonéj wesołości, udawanéj szczerości. Zatrzymał się na drożynie, zsiadł z konia, przywitał Julją głosném —

— Dobry wieczór, potém poszedł kilka kroków wgłąb lasku, uwiązał konia do drzewa, wrócił do Julij i witał ją znowu pocałunkiem, uściskiem. Siadł przy niéj, objął ją wpół, szeptali coś uśmiechając się — Czegoż jeszcze miała czekać Matylda, jakich więcéj potrzeba było dowodów?

— Jakże Matylda? gdzieś ją zostawił? spytała Julja głośniéj po chwili.

— Matylda — to twoje najpierwsze pytanie, odezwał się Adolf niecierpliwie, przypomnieniem jéj, dręczysz mnie jak sumienie. Tylem cię razy prosił, abyś o niéj nie wspominała — Mnie jéj tak żal, ja —

— Uważam, że u ciebie panującém uczuciem

jest litość, Adolfie, szydersko zachichotała Julja — nie dawno jeszcze i nade mnąś się litował. Prawda, o! prawda, biedna Matylda, ale któż jéj winien, na co tak wierna, takiemu trzpiotowi jak ty! Ty ją oszukujesz szkaradnie, a ona cię jeszcze kocha i wierzy ci ślepa.

Adolf westchnął ciężko, a po chwili dość zimno odpowiedział.

—Widzę, żem naprożno prosił, abyś mi żony tutaj nie wspominała, prośby moje idą na wiatr. Na cóż koniecznie uwzięłaś się mnie dręczyć i sądziszże iż nawet nie pojmuję złego, które czynię, albo że złe uważam już za dobre? O Juljo! gdybyś ty widziała co się we mnie dzieje, jak ciężko karze mnie własne sumienie!

—Sumienie! O pocieszny człowiek! z głosnym śmiechem przerwała Julja. Chciałabym też widzieć kiedy sumienie panów mężów! Nie mogąc innéj uczynić dla mnie ofiary, przynosisz mi sumienie! Sliczny dar prawdziwie, lecz ja go nie przyjmuję. Sumienie! lepiéj powiedzieć otwarcie, znudziłaś mnie i bądź zdrowa! Coraz jesteś oziębleiszy Adolfie, nieraz już mi na myśl przychodziło pytanie, jak się między nami skończy?

— Alboż ja wiem! obojętnie odpowiedział Adolf, który w ciągłém obcowaniu z Julją, osmielał się coraz bardziéj.

— Musiałeś o tém myśleć jednakże.

— Myślałem prawda, rzekł Adolf — nasze schadzki skończą się zapewne — z jesienią.

— A zima zmrozi serce do reszty?

— Serce? spytał nieostrożnie Adolf, jakby sam do siebie mówił.

— A! przepraszam, podchwyciła gwałtownie Julja, zapomniałam, że serce w naszych stosunkach, najmniéjszego niema udziału. Jest to tylko zabawka, którą litościwy Adolf przedłuża o ile możności, zwodząc biédną wdowę— To mówiąc porwała się, rozgniewana, i chciała odchodzić. Adolf wstał także w milczeniu — Co się działo w sercu Matyldy wciągu téj rozmowy, tego nie wypowiem. Już Julja odchodziła, gdy Adolf ją wstrzymał.

— Juljo, nie bądźże dzieckiem kaprysném, zawołał — znamy się dobrze, na co grać komedją. Codzień toż samo się powtarza, codzień postępujesz ze mną, jak z chłopcem, w którego oczach, cacko większéj nabiera wartości, gdy je niańka nad głową podniesie, tak iż go dostać nie

może. Prześladujesz mnie Matyldą, jak gdybym mógł obojętnym być dla niéj. Nie — ona mi dała tyle dowodów przywiązania, ja ją kocham.

— Kochasz? — a mnie? spytała Julja z rozognioną twarzą, z zapalonemi oczyma.

— Ciebie — ciebie, rzekł zmieszany Adolf — ja i ciebie kocham także, ale inaczéj — Ją jak przyjaciółkę, jak żonę; ciebie jak, jak — — Nie znalazł wyrazów i milczał.

— Jak puste naczynie, z którego do kropli wypiłeś napój roskoszny, zawołała Julja popędliwie. O! ależ ja nie chcę takiéj miłości, dziękuję za nią, równie jak za litość, dziękuję — Ja, wcale czego innego żądam! — Nie—nie— tyś nie dla mnie, ja nie dla ciebie, precz ode mnie, precz ode mnie —

— Znowu dzieciństwa, powolnie odezwał się Adolf, gniewasz się, jak gdybyś po raz piérwszy dowiedziała się, że kocham Matyldę. Przecież mało nie codzień ci to powtarzałem. Tak — kocham ją, szacuję i gryzę się, bom jéj nie wart.

— Dość, dość, na Boga, dość tego! Cicho — Skończmy już wszystko raz przecie. Próżnom się łudziła tylko. Żal mi, że mimo naj-

szczerszych części, i kilku par trzewików zdartych na daremne przechadzki do lasu, nic nie mogłam zrobić z ciebie — Jesteś zawsze ten sam, zawsze słaby, zawsze — O! już więcéj nie powiem — Dobranoc —

Julja poszła, Adolf został na miejscu, nie wiedząc co z sobą począć. Pierwszy raz tak gwałtownie przymówili sobie. Ona, szła daléj, ale takim krokiem jakim idzie dziecię odpędzone od matki, spodziewając się, że za chwilę przywołają je nazad. Szła, obejrzała się uszedłszy kilka kroków i ujrzała Adolfa stojącego na miejscu, w którém go zostawiła—Zawołała jeszcze.

— Dobranoc; chcąc tym sposobem wywołać jakie usprawiedliwienie z ust Adolfa. Ale on milczał na ten raz, po części z powodu, iż tajemne przejażdzki do lasu i ciągła walka z sumieniem, już mu się naprzykrzyły, po części, że nie wiedział co mówić. Obrał więc milczenie, jako wybornie zastępujące wymowę, bo pod pokrywką milczenia, czegoż się w duszy człowieka domyślać nie można?

Julja coraz daléj odchodziła; Adolf stał na miéjscu a biedna Matylda patrzała na tę scenę okiem politowania, żalu, radości. Serce jéj wy-

rywało się ku Adolfowi, chciała się już pokazać, uścisnąć go, przebaczyć mu znowu wszystko, ale bała się, ażeby Julja nie wróciła jeszcze dać dwudziesty raz:

— Dobranoc; i pogodzić się z nim. Wszyscy troje byli w niepewności, oczekiwaniu. Julja odchodziła, lecz duszą wracała ku Adolfowi; Adolf patrzał azali nie obróci się ku niemu znowu i nie wiedział czy się brać do konia czy czekać jeszcze, Matylda okiem śledziła Julją, lękając się jéj powrótu jak śmierci.

Lecz w jednéj chwili wszystko się rozwiązało, Julja była już daleko — o sto kroków może; Adolf nie wołał za nią, nie gonił jéj, gniewała się i coraz przyśpieszała chodu; on widząc że napróżno czeka, ruszył ramionami i poszedł po konia.

Odwiązywał go od drzewa, gdy Matylda stanęła przed nim, a zarzucając mu uścisk na szyję, zapytała łagodnie.

— Więc kochasz mnie jeszcze?

Przelękniony tém zjawiskiem, Adolf puścił cugle konia, krzyknął i stanął jak wryty. Ale Matylda nie dała mu czasu do czynienia próżnych domysłów, w kilku słowach opowiedziała

otwarcie wszystko, przebaczyła z serca i biorąc go za rękę, wyszła z nim na drogę — O! Adolfie, zawołała, nie przychodź tu więcéj, ta zgubna dla nas kobiéta, mogłaby cię znów opętać!

Adolf nie znalazł odpowiedzi na to, przelękniony, zawstydzony, nieprzytomny, mruczał cóś niezrozumiale, tak niezrozumiale, że nawet Matylda nie mogła odgadnąć, czy klął czy przysięgał, narzekał czy przyrzekał, czy się uniewinniał.

A Julja — Julja, gdy Adolf wszedł w krzaki po konia, obróciła się, pożałowała go, a raczéj pożałowała sama siebie, zawołała jeszcze raz.— Dobranoc. Nie słysząc odpowiedzi, bo w téj chwili właśnie, Adolf spotkał żonę, wróciła śpiesznie nazad, zbliżyła się ku miejscu, w którém zwykle siadali i ujrzała go — z Matyldą!! Osłupiała, blada, drżąca, zawstydzona, słowa nie znalazła w téj chwlili, piekielnym tylko uśmiechem skrzywiły się jéj usta, dwie łzy popłynęły po twarzy, załamała ręce, zwróciła się i szybko pobiegła nazad, nie oglądając się już za siebie, nie powtarzając już:

— Dobranoc.

X.

X.

Czwarte wesele.

—Ot tak, zdecydowałem się, namyśliłem się, i kwita!

— Chyba żartujesz Alexy! Nie lepiéj że ci z młódszą, z Ruzią się ożenić? Dalibóg dobra, wyśmienita dziewczyna i zawsze taki co młódsze to nie starsze. Zresztą i to siostra i to siostra, prawda, ale Julja — nim ty się potrafiłeś zdecydować, przerzuciła już przez siebie dwóch mężów, a—ale tego nie ma co mówić. Chceszże ty być trzecim?

To mówiąc pan Dionizy śmiał się ze swoich dowcipnych koceptów, a Alexy popijał poncz, którego waza stała na stole i wielkim krokiem

głęboko myślącego człowieka, przechadzał się po pokoju. Nareście ucierając świécę, odezwał się.

— Już tak, dziej się wola Boża! kiedym się zdecydował, tom się zdecydował. Kilka lat nad tém myślałem i *zauważałem*, że mnie lepiéj przypada Julja. Nie mówię to dla samego *wzrostu fizycznego* — ale ze wszystkich uwag, tak wypadło. Biorę Julją, Julja ma głowę nie lada, rozum nie kobiécy, o! o! więcéj oleju niż u jakich pięciu mężczyzn — Co ja mówię, u pięciu — więcéj niż u sześciu? A gdzie! więcéj niż u siedmiu — nawet niż u ośmiu! To *raritas* kobiéta! Już tedy zdecydowałem się formalnie. Po prawdzie powiedziawszy i los już tak zdecydował, sto razy rzucałem karteczki i wyciągałem, zawsze mi wypadała — Julja—No! to niema się co przeznaczeniu opierać. Stań się wola Twoja—niech tak będzie. Potém powiem ci (ale pod sekretem) sama Julja od niejakiego czasu tak na mnie spogląda, tak dla mnie czuła, tak miła, tak wspomina nasze dawne — Bo wiesz że to stary romans! kocha mnie dotąd, kochała ciągle, a że dwa razy poszła za mąż, no to była wola ojca, okoliczności panie i t. d. ja przysięgnę, że ten rozwód z pierwszym mężem, to nawet z mojéj

przyczyny, pokazałem się jakoś przypadkiem w Lublinie, przypomniało się dawne i — Ale ty się śmiejesz? Słowo honoru, że ona mnie kocha. No, to ci nawet powiem pod sekretem, że mi to sama wyznała. A teraz cóż? Ot widzisz.

— Być że to może!

— Ale najpewniéj! Przytém, zważając na kieszeniowe interessa, dobra partja, dalipan dobra, po obudwóch mężach oberwała, po pierwszym sumkę, po drugim dożywocie; i tém panie nie gardzić, *w teraźniejszych czasach.*

— Nu, co to to prawda, ale to rozwódka, wdowa, a Rózia szczéra panna!

— I cóż że panna! A! co mi tam z tego panieństwa, jak odstąpim od ołtarza, to i po téj całéj kwalifikacij, a nazajutrz; jakby nigdy panną nie była — skończyło się. Już nawet mi nie perswaduj, bom się zdecydował.

— Więc rób jak chcesz.

— Już się ożenię, gdyby nie dla siebie, to dla samego *domu*. Bez żony, to w domu nigdy niéma najmniejszego porządku. Oto wystaw sobie naprzykład ten urwis Wańka, dziś tłukąc cukier, nachował go, ze dwie przygarście pod poduszkę, dla swoich kochanek. Ni-

gdyby do tego nie przyszło, gdyby była żona w domu.

— Czemużeś się wcześniéj nie ożenił?

— Czyż można było, decydować się tak prędko?

— Przecież, od lat kilku już —

— Alboż lat kilka za wiele myśleć gdy o los całego życia chodzi? W takim razie, najstaranniéj, najdrobniejsze szczegóły rozebrać potrzeba. Z pół roku jedynie myślałem, o fizycznéj budowie przyszłéj żony, pół roku o jéj humorze, rok o umysłowych zdolnościach i jużbym się był zdecydował, gdyby nie ta trudna awantura, z warjatem. Pfe! Szalony! co też on zrobił! Jak jaki Turek, jak heretyk — Osioł — bez Boga w sercu. — Czemuż nie pijesz?

— Piję.

— Pijesz? to dobrze. Pijmy na *Vivat!* Kiedym się już zdecydował, wątpię aby mi co przeszkodziło. Racz pamiętać kochany Dionizy, kazać mi zrobić obrączki ślubne i tak jak cię prosiłem, jedną małą, drugą obszerną, bo bez miary robiąc, żaden pierścionek nawet na koniec mego palca, nie wejdzie.

— Bagatele! będę o tém pamiętał!

—Bagatele! a jak nie wejdzie na palec, na czém że będę nosił ślubną obrączkę?

Rozmówiwszy się z panem bratem, formalnie się oświadczywszy, pan Alexy począł na prawdę do wesela się sposobić. Ani Pan Sędzia, ani Julja, nie myśleli odmawiać konkurentowi, Sędzia chciał się córki pozbyć z domu, Julja serdecznie pragnęła wyjść za mąż. Alexy tymczasem, rad swéj niezmiennéj decyzij oporządzał się od stóp do głów, od trzewików począwszy do kapelusza; biegał, jeździł, dom na nowo urządzał, podłogi woskował, ściany malował, meble obijał, dziedziniec oczyszczał, prezenta kupował, pieniędzmi sypał pierwszy raz w życiu. I nie dziw, pierwszy raz się nieborak żenił.

Przyszło wreście oczekiwane Wesele, z twarzą wesołą, muzyką, gośćmi, przekleństwy sług, nadziejami nowożeńców, cukrową kollacją i mnóstwem innych pięknych i nie pięknych rzeczy, które zwykle podobnym obrzędom towarzyszą.

W dzień weselny, blizko już północy, Julja ziéwać zaczęła, nie broniąc się ziewaniu, nudziła się biédna, i nie dziw, było to już trze-

cie jéj wesele. Spowszedniało wszystko w jéj oczach, dla niéj ta chwila nie miała uroku tajemniczości, jaki miéwa dla innych, znała wszystko, wiedziała wszystko, nasyciła się wszystkiém.

Przystąpiła do męża bezwstydnie i odezwała się poziewając szeroko — Pójdziem spać! Mąż, od pierwszego dnia posłuszny, grzecznie odpowiedział całując ją w rękę.

— Pójdziemy duszko! Tylko jeszcze, jeszcze chwilkę, kwadrans, godzinkę — Bo widzisz, tak trudno się zdecydować odejść, gdy się tu bawią wesoło — Miło popatrzéć — Posiedzim.

Na ten raz uznała Julja przyzwoitém ustąpić mężowi, choćby tylko dla tego, aby go nie zrazić. Ludzie najgwałtowniejszego charakteru, maskują się w pierwszych dniach małżeńskiego pożycia - jest to rodzaj zasadzki, który ośmiela przeciwnika. Minął kwadrans, pani młoda poziewała coraz obszerniéj, pan młody śmiał się i weselił, patrząc oczyma, duszą, i zapewne także otwartą gębą na tańcujących, pijących, grających. Ten widok, takie w nim wzbudzał współczucie! W tém uczuł, że go ktoś trącił w bok (dość delikatnie jednak) odwrócił się i usłyszał szeptającą do ucha, żonę.

— Chodźmy.

— Pójdziemy! odpowiedział i prędko odwrócił głowę, zatopiony w widoku tańcujących; ale głos żony przerwał znowu wesołe zagawronienie.

— Zostań że mój kochany, kiedy chcesz— Ja dłużéj wysiedzieć nie mogę — pójdę sama, bo mi się chce spać straszliwie.

— Idź, idź, moja duszko, połóż się, czego się męczyć! Ja także zaraz przychodzę. W ten moment.

Pani młoda wysunęła się nieznacznie, Pan młody został i tak szczęśliwie się zagawronił, że dopiéro sobie przypomniał obietnicę swoję, gdy już muzyka ustała i wszyscy rozchodzić myśleli.

— A ty tu jeszcze? zawołał jeden z młodzieży ziewając do P. Alexego, gdy tylko kilku ich pozostało w pustym salonie, w którym dwie świece dopalały się topniejąc swobodnie— A ty tu, myśmy myśleli, żeś dawno u żony.

— Ale bo to widzisz, odpowiedział Alexy, takem się na was zapatrzył, iż nie mogłem się zdecydować odejść, bawiliście się tak wesoło!

— I chcesz już iść, rzekł drugi — A! nie

puścim cię, póki razem tych butelek nie wypróżnim.

— Nie mogę, nie mogę, zaszkodzi mi!

— Ale to porter, porter, jak porter może zaszkodzić, chyba ci pomoże? Będziesz śmielszy!

— A musi pić, musi pić! będzie pił! zakrzyknęli wszyscy i zaczęli go częstować, dolewać mu, przepijać do niego, aż go nie źle podochocili. Czas też było wyjść z salonu, w którym miano dla dam pościełać, wysunęli się wszyscy, dając mu — Dobra noc, żartując z niego nielitościwie.

— Dobranoc szczęśliwy!

— Dobranoc, trzeci mężu Julij.

— Dobranoc! kłaniaj się ode mnie swojéj żonie!

— Dobranoc! powiedz, że przez przyjaźń dla niéj, takeśmy ciebie spoili.

Słuchał tego wszystkiego Pan Alexy, a w duchu śmiał się z radości, czuł się bohatérem dnia tego! widział a raczéj domyślał się, jak mu zazdroszczono jego szczęścia! Odchodzili już, zatrzymał ich jeszcze.

— Poczekajcie no, zawołał, momencik, wiecie co?

— Mnie nie wypada rozbiérać się tak u żony.

— To może do niéj dziś nie pójdziesz, przez uszanowanie.

— Zawsze żarty! Wysłuchajcież do końca. Ja bez lokaja rozebrać się nie mogę, a do sypialni nie wypada go wprowadzać, pozwólcie żebym się u was rozebrał. Wezmę szlafrok i pójdę do żony — No, chodźmy, żwawo.

— Chodź, chodź! zakrzyknęli podochoceni, i wprowadzili go do pokoju, w którym pokotem posłano dla mężczyzn.

Tu, nim się rozebrał Pan młody, nasłuchał się starych wywietrzałych i głupich konceptów, zwykle w takim razie używanych, które mu każdy po dziesięć przynajmniéj razy powtórzył. Wdział nareście axamitny szlafrok, uperfumował się, życzył wszystkim dobréj nocy i posunął się ku drzwiom. Ale w téj chwili, jeden urwis, zerwał się z blizkiéj pościeli, drzwi na klucz zamknął i zawołał pękając od śmiechu, wróciwszy z kluczem na posłanie.

— Niech mnie licho porwie, jeśli cię puszczę — musisz zostać z nami.

— O! figle! no! no! daj no klucza, rzekł śmiejąc się Alexy, daj no, serce, klucza! daj!

Daj pokój żartom, dobranoc wam — No! daj klucza! E! nie żartuj bo ze mnie! Dość tego, niemam czasu, dawaj powiadam ci!

Wszyscy się śmiać zaczęli.

— Porzuć że! dość tego, otwórz, mówił coraz niecierpliwszy Alexy, to bez sensu, tam na mnie żona czeka, daj klucz mój kochany.

Śmiano się jeszcze, Alexy burzyć się zaczął.

— A dawaj że klucz! wołał, niech diabli porwą z takiemi żartami, tylko mnie do gniewu pobudzasz! Cóż to za sens! Co za koncept! Proszę Wasana nie żartować, proszę bardzo nie żartować! To głupstwo, dawajże klucz! Tam żona Bóg wie co pomyśli, że mnie tak długo niéma.

— Pomyśli żeś się śpił jak bela i leżysz gdzie pod ścianą, odpowiedział gruby głos z pościeli usłanych pokotem.

— Ale proszę mnie nie mitrężyć — Co to się znaczy? Co Waspan sobie myślisz.

Swawolnik który klucz od drzwi zabrał, ażeby nie odpowiadać na groźby i prośby Alexego, zawinął się w kołdrę, przytulił do poduszki i mocno zaczął chrapać udając śpiącego. Napróżno nieszczęśliwy Pan młody, łajał, krzy-

czał, wołał, targał go za rękę, kopał nogami, kołdrę z niego zrywał — leżał jak kamień. Nie widząc innego sposobu, odchylił poduszkę śpiącego Pan młody i zaczął klucza szukać, w pościeli, w ręku, wszędzie Ale naprożno, bo klucz podawany z ręki do ręki, dawno już był na drugim końcu pokoju.

Klął, aż w piekle słychać było Alexy, i to nic nie pomagało, wszyscy się z niego śmieli, nikt o wyprowadzeniu z kłopotu nie myślał. Widząc co się święci, Pan młody pobiegł nareście do okna, ale nim je otworzył, dwóch barczystych stanęło przy niém i śmiejąc się odepchnęło go.

— A to — ja tego — ja nie pojmuję, to okropność, wołał zapyrzony Alexy — Proszę wiedzieć, że to jest impertynencja, ja się tém obrażę. Odstąpcie panowie, bo palnę bez żadnego względu na osoby. Nastawił nawet mówiąc to kułaka, ale wszyscy się śmieli; rzucił się do drugiego okna, i tu już stało dwóch broniących przejścia. Pękano z szalonego śmiechu, z radości iż figiel tak wybornie się powiódł, on pękał ze złości, czerwienił się, tupał, biegał po pokoju, przeklinał, odgrażał się, łajał, ale nic

nie pomogło. Ciężkie tak przeszło pół godziny w męczarniach; ktoś wreście ulitował się nad nieszczęśliwym, spoconym, tylko co nie płaczącym Alexym i tajemnie klucz mu podsunął, szepnąwszy, aby był ostróżny, bo mu go odbiorą. Przestrzeżony Alexy, klnąc bez ustanku zbliżył się do drzwi, niby probując czy ich nie wywali, potém nagle kluczem zakręcił, otworzył i jak piorun wypadł do sieni. Tu podjąwszy poły szlafroka, aby pociemku o co nie zawadzić i nie paść, pobiegł kurydarzem, oglądając się jeszcze, czy za nim nie gonią.

Biegł, biegł i stanął wreście u drzwi pokoju żony. Pokręcił klamką — zamknięto było na klucz ze środka.

Odchrząknął oznajmując się — cicho. Zaczął pokaszliwać — cicho znowu — Tupnął — nic na to — Plunął i zakaszlał mocniéj — nikt się nie odezwał. Trochę już zniecierpliwiony twardym snem żony, zaczął pukać zwolna — milczenie. Puka silniéj — nikt nie odpowiada ze środka. Nuż kręcić klamką i stukać, chrząkać i suwać nogami — Cicho i cicho!

— Ależ śpi dobrze, pomyślał sobie, trzeba

bez ceremonij szturmować. Uderzył pięścią! Nic—

—Juljo! duszko! ozwał się półgłosem — proszę mnie puścić, to ja—Alexy – twój mąż! Słuchał — cicho. Stuknął jeszcze zniecierpliwiony, podejmując zawadzający szlafrok, pocił się, ledwie nie płakał nad swoją niedolą, jeszcze tylko kląć się nie zdecydował, ale już i tego było blizko. Nareście odezwał się głos ze środka.

—Kto tam?

—To ja! to ja! to ja! Juljo! to ja! A! obudziłaś się! Proszę mnie puścić, na klucz zamknięto, już tu z pół godziny stoję.

– Czegoż tak długo zabawiłeś się? spytał głos ze środka.

—A to te łotry, urwisy nie puścili mnie. Jabym tu już był dawno, gadał prędko i żałośnie Pan młody— jam od kiedy już gotów, to oni winni—Puszczaj mnie, bo tu zimno w korydarzu.

—Nie mogę wstać boso z łóżka— czemuś wcześniéj nie przyszedł—Tylko co drzwi zamknęłam.

—Ja mówię ci, czemu nie przyszedłem; te

urwisy zamknęli mnie na klucz — A! otwórz, otwórz, moja duszo!

— Nie mogę żadnym sposobem wstać z łóżka — Dobranoc ci.

— A gdzie ja będę nocował?

— Gdzie chcesz? gdzie wczoraj.

— Tamten pokój już zajęty, wszędzie się pozamykali i śpią.

— A na cóż bawiłeś się tak długo?

— Czyżem ja temu winien?

— Dobranoc.

— Ależ — gdzie ja się położę.

— Gdzie zechcesz.

— Zmiłuj się, mówię ci że wszędzie pozamykano; chyba gdzie w sieni, na ławie, nie wartoż wstać aby mnie z tego kłopotu uwolnić?

— Boso nie podobna mi wstawać, Karolina trzewiki zabrała, jestem rozgrzana, mogłabym chorować.

— Zmiłuj się otwórz, bo ty może, a ja pewnie będę chorował.

— Dobranoc ci, odpowiedziała czuła żona ze środka.

— Zmiłuj się, gdzież ja będę spał?

— Gdzie ci się podoba.

—Chyba na ławie.

—Jak zechcesz.

—A! prawdziwie, tegom się od żony nie spodziewał, zawołał Alexy, w dzień ślubu! Co za fanatyzm, nie wstać z łóżka boso!

—Jam się nie spodziewała, żebyś w dzień ślubu, tak długo kazał mi czekać na siebie.

—To nie moja wina.

—Nie moja wina, że trzewiki Karolina pozabierała.

—Ale gdzież będę spał? chyba jak pies w sieni, pod drzwiami. To być nie może, proszę otworzyć, bo się zdecyduję, wybić okno i wleść oknem.

—A! nie rób że tego, nie rób tego! szybko zawołano ze środka — Otwierając okno w nocy, nabawisz mnie choroby — Śpij, gdzie chcesz, znajdziesz przecie miejsce.

—A! bodajże ich! Gdzież się ja podzieję— nie podobna tu w kurytarzu— nie podobna.

—Dobranoc, dobranoc, idź i nie wybijaj mnie ze snu, zawołała Julja ze środka.

—Ale ja—

—Rób sobie co chcesz, a mnie spać nie

przeszkadzaj, bo cierpię ból głowy, zębów, fluxją — daj mi pokój.

— I nie otworzysz? A! a! No, to dobranoc — Słyszysz duszeczko, nie otworzysz? — Dobranoc — Słyszysz? daję ci dobranoc! Już tylko Dobranoc ci daję — Do zobaczyska.

— Idźże sobie, idź, nie bębnij mi nad głową — Dobranoc, nie krzycz już, bo mnie głowa boli.

— Dobranoc duszko — dobranoc.

I tak został P. Alexy w pantoflach, w szlafroku, sam jeden na ciemnym kurydarzu, pod drzwiami sypialni swojéj, jak ten właśnie, który przy worku złota, umiéra z głodu w pustyni.

Wszyscy w domu spali, uroczysta cichość panowała do koła, kiedy niekiedy tylko przeciągłe chrapanie, od drzwi pokojów gościnnych dochodziło.

Co tu było począć — Alexy zaczął się namyślać, ale nie potrafił tak prędko stanowczo zdecydować. Chodził wielkim krokiem po korydarzu, podnosząc szlafrok, aby na poły kosztownego axamitu nie następować i w pyle go nie wlec za sobą, trząsł się z zimna, truchlał ze strachu, smutny był jak wracający z pogrzebu.

Po niemałéj naradzie z samym sobą, postanowił wreście, zakołatać do drzwi młodzieży. I poszedł, pukał, z początku zwolna, potém ręką, kułakiem, nogami; ale nie prędko podpitych zbudził. Nagle odezwało się kilka razem grubych głosów.

— Kto tam? kto tam?

— To ja—proszę mnie puścić —

Poznano go, zbudzili się wszyscy i zaczęli śmiać do rozpuku, drwiąc niemiłosiernie — puszczać go wszakże ani myśleli. Straciwszy pół godziny na próżném błaganiu u drzwi uporczywie zamkniętych, nasłuchawszy się, boleśnie przeszywających mu duszę żartów, odszedł wreście Alexy, gniewny, oburzony, obłąkany prawie. Nowe namysły, nowe po korydarzu przechadzki, nowy projekt i próba. Zapomniawszy że w salonie posłano kobietom, postanowił pójść tam i położyć się na kanapie—zakręcił klamką, zamknięto od środka na klucz!

— Bodajby te klucze! stuknął parę razy— Pobudziły się panie i najrozmaitsze głosy, cienkie, grube, ochrzypłe, czyste, słyszéć się dały

— Aj! Jezu! złodziej mamo! Karuniu! ktoś

chodzi—Cóś stuka! strach! aj aj! Strach chodzi! Kto tam? Co to?—

Alexy uniosł się jak najprędzéj, nabawiwszy strachu wszystkie kobiety, a oglądając się czy za nim jak za złodziejem w pogoń nie posłano, oparł się w drugim końcu kurydarza.

Znowu tedy myśli, znów wnioskuje i układa plany;

—Pójdę zastukam do izby służących, wywołam mojego, da mi radę. Idzie, stuka i woła, budzą się wszyscy, ale choć głos poznali, w głos nawet nie wierzą.

—A to jakiś łotr jeden, odzywa się stary kamerdyner, udaje pański głos, żeby się tu wszrubować, zalał sobie w karczmie—Jakby to uwierzyć, że się pan młody włóczy po nocy—Otto łotr, jeszcze cudzy głos udaje—Stukaj no tylko, ty jeden, to tak ci wyszedłszy plecy posmaruję, że do sądnego dnia popamiętasz. Słyszycie go i udaje Pana Alexego!!

Nie było czego dłużéj czekać, pociemku gotów był Pan Jakób dotrzymać obietnicy posmarowania—choć by za to poznawszy przeprosić. Znowu więc co prędzéj ode drzwi odszedł Pan Alexy, zaczął chodzić po sieni i myśléć i

płakać nawet. Pół godziny strawił na przechadzce. Wreście przypomniał sobie, o skrzyni wielkiéj, w któréj składano gościnną pościel, i gdzie służący jego sypiał często w lecie, a nie narzekał na niewygodę. Poszedł więc ku niéj omackiem i z kilką guzami, smutny na sercu, płaczący, zafrasowany, dostał się do środka. Sienniki i pościele zniknęły—została tylko garsteczka siana, na któréj rad nie rad złożył znużone ciało i sen skleił mu wkrótce powieki.

Nazajutrz jeszcze cokolwiek było kłopotu, bo rano obudziwszy się, gdy chciał podjąć wieko, znalazł je przywalone. Chciał podnieść, nie zdążał, ogromny ciężar był na wierzchu, któremu podołać nie potrafił. Zaczął krzyczéć, wołać o pomoc, ledwie ludzie uwierzyli, iżby pan młody mógł tę noc, w takiém miejscu przepędzić, zdjęli drwa narzucone i uwolnili go.

Smutny pobiegł z wymówkami do żony, przyjęła go ze śmiechem, siedząc u gotowalni Julja.

—Nacóżeś się tak spóźnił? odpowiedziała.

Zbity z tropu, zamilkł Alexy, a przeprosił jeszcze; nie śmiał czynić wymówek, był to dopiero drugi dzień po weselu — Wkrótce nawet

zapomniał o wszystkiém, ujrzawszy na krześle fular P. Adolfa. Porwał go, nie śmiał się domyśléć, ale osłupiał. Postrzegła to Julja i bardzo obojętnie powiedziała.

— Przypatrujesz się? To fular Pana Adolfa, mając iść chłodnym korydarzem, wzięłam z krzesła w salonie, nie wiedząc czyj jest, dopiéro dziś poznałam. Weź go i odnieś mu proszę.

Alexy poszedł i zaczerwienionemu Adolfowi, oddał jego zgubiony fular.

XI.

XI.

Epilogos.

Taki był koniec czwartego i ostatniego wesela i całego naszego opowiadania — Pozostaje nam tylko uwiadomić czytelników, o losie bohaterów, którzy ich interesować mogą. Jakkolwiek bądź, przeżywszy z tymi ludźmi dwa tomy, nie wątpię iż ciekawi jesteście wiedzieć — Co było daléj — ? Jest to w naturze ludzkiéj szukać we wszystkiém końca, zamknięcia — Wolę więc dać wam kochani i niekochani czytelnicy *koniec* gotowy, niż dozwolić go się domyślać. Moglibyście suszyć głowę nad tém, co prawdziwie nie warto tego —

A naprzód: W pożyciu Julij nic się więcéj nadzwyczajnego nie trafiło, płynęły im dni bardzo swobodne, szczęśliwe, wesołe; sam pan codzień prawie był pijany, sama pani robiła co chciała. Miéwali wiele gości u siebie; mnóstwo przyjacioł. Mąż przez całe życie, nie zdecydował się żonie słowa powiedzieć, choćby dom do góry nogami wywracała; a tym sposobem okupował sobie swobodę i spokojność. Szczęśliwe to małżeństwo nie uwieczniło swéj pamiątki w dzieciach — nie doczekał się ich Pan Alexy, mimo najszczérszych chęci i najgorętszych życzeń przyjacioł domu. Po długiém dość i najszczęśliwszém pożyciu, umarł mąż, Julja nim jeszcze rok żałoby upłynął, czwarty raz zawarła sluby z młodym człowiekiem, bez wychowania, bez majątku, bez imienia, ale silnéj budowy, barczystym i hożym. I tego przeżyła podobno— przynajmniéj tak słyszałem. Mówiono mi nawet iż po raz piąty chciała sprobować jeszcze, tak lekkich dla siebie więzów; aleśmierć sprzeciwiła się temu. Umarła Julja w dwudziestą rocznicę śmierci Henryki.

Adolf wkrótce po weselu Alexego, został wdowcem, a nie bardzo długo płacząc zgonu

anielskiéj Matyldy, pojął za żonę Ruzię, siostrę Julij, z któréj zostawił sześciu synów i dwie córki. Był z nią niezmiernie szczęśliwy, tak szczęśliwy iż swemu szczęściu, nie wierzył! Poumiérali jak gołębie się kochając!

Sędzia zgasł w podeszłym wieku — zapaliła się w nim wódka. Półkownik skończył dni swoje na skórzanéj poduszce, z fajką w ustach; mówią iż jego przyjaciółka fajka, przyśpieszyła mu śmierć gardłowemi suchotami. Pana Djonizego kawalerem poncz wpędził do grobu, umarł tknięty po pijanu apoplexją, z żalem przyjaciół i krewnych. Reszta osób poumiérała z różnych przyczyn, w różnym czasie, a ci którzy jeszcze żyją, pójdą za tamtymi, jak ja czytelniku i ty.

Śmierć kończy wszystko.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

str.

I. Dwie pary 9
II. Pobyt w mieście — Spotkanie 25
III. Ktoś niepotrzebny 43
IV. Pojednanie 63
V. Trzecie Wesele 77
VI. Viwat 101
VII. Śmierć i życie 115
VIII. Litość 135
IX. Ostatnie dobra noc 149
X. Czwarte Wesele 163
XI. Epilogos 165

DODATEK.

BYŁO NAS DWOJE.

IMPROWIZACJA FANTASTYCZNA.

BYŁO NAS DWOJE (*).

Improwizacja Fantastyczna.

O złote sny młodości, o brylantowe marzenia moje, chodźcie tu jeszcze raz do mnie, chodźcie, usiądźcie na brzegu kielicha, zamąćcie skrzydełkami napój, ulatujcie w koło mnie, na dymach wonnych Lataqué, Havanny! Bez was, marzenia, tęskno na duszy i serce próżne, kurczy się, wysycha, boli — bez was jestem sam jeden; z wami — jest nas dwoje.

O! co za roskosz być we dwoje! Nie tak jak wy prozaiczne pary tego świata, co ciałem blisko, a sercami daleko jesteście; kiedy jedno

(*) Drukowana ta powiastka naprzód w *Birucie, Części drugiéj* 1838 roku.

z was patrzy w lewo, drugie się na prawo odwraca — nie tak; ale tak we dwoje, jak powój z topolą, jak liście z drzewem, jak piorun z chmurą, jak matka z dziecięciem, które w swém łonie nosi—Tak we dwoje jak krew z sercem człowieka, jak zęby tygrysa z ciałem jego pastwy — jak — — Wy mnie nie zrozumiecie — wy mnie nie pojmiecie!

Ale — mniejsza oto. Czyż na to się pisze żeby rozumiano? nie — tylko żeby czytali! Więc nie rozumiejcie sobie, a ja będę pisał dla tego. Przyjdzie ktoś co zrozumie.

Ja i moje marzenia, jesteśmy dwoje, jak kochankowie, pieścim się z sobą, ściskamy i tęsknim po sobie, gdy nas zimny świat, żelazną ręką rozdzieli — Wracamy znowu do siebie, łączym się i jesteśmy szczęśliwi.

Kiedyś, było nas dwoje inaczéj. Wówczas nie było jeszcze marzeń, ale rzeczywistość, roskoszna jak marzenie, jak marzenie zmienna. Było nas dwoje, jak zapamiętam, naprzód — w niebie. Graliśmy sobie na tym szerokim błękicie, graliśmy o gwiazdy i robiliśmy z nich bukiety dla kogoś trzeciego — dla kogoś dobrego— O! nie powiem dla kogo! Wówczas było nas

dwoje, a nie mieliśmy nazwiska, ani postaci, byliśmy jak jedno, a było nas dwoje, i było nas w jednym, dwoje.

Potém, przez ciemną jakąś noc boleści, rozdzieleni, znaleźliśmy się nizko, — na ziemi — i było znowu nas dwoje, ale rozdzielonych mgłą, ludźmi, górami, czasem światem, życiem. A czuliśmy zdaleka, że nas było dwoje i po ciemku, wzdychając, szukaliśmy siebie długo, bardzo długo.

I znaleźliśmy się i spójrzeli, a nie śmieli się witać, bo poubiérani w piękne dziecinne sukienki nie poznaliśmy się oczyma, tylko duszą. A było nas dwoje tych samych, co w niebie.

O Boże, jakże długo czekać było trzeba, nimeśmy sobie śmieli powtórzyć znajome w niebie wyrazy — Kocham ciebie! — nim padliśmy w objęcia jak w niebie bywało, jak w niebie skleili usta i zjednoczyli serca; nim znaleźliśmy się znowu dwoje jak jedno, dwoje jak w niebie.

Było tak — o! nie wiém jak długo — pachniały kwiaty, świeciła noc długa nad naszemi głowy, ptaszek nam śpiewał na bzach rozkwitłych, wiatr dmuchał, niebo jasne, czyste, sklnące błyszczało nad naszemi głowy; a wszystko to:

kwiaty, ptaszki, bzy, niebo, wszystkie roskosze były w naszém sercu, bo nie mieliśmy wówczas tylko jedno wielkie serce na nas dwoje.

Potém, po téj nocy, przyszła noc druga, czarna, z burzą, z piorunem, z chmurami — Drżeliśmy i szli razem. Piorun uderzył — Czy uwierzycie że z nieba??? — uderzył i zabił jedno z nas dwojga, połowę, ją — a z nią moje serce, bo serce było jedno na nas dwoje. Zostałem sam jeden, bez serca i patrzałem w niebo z rozpaczą. Nie widać było nieba tylko chmury — Byłem już znowu sam jeden, strasznie jeden, jeden jak jedno piekło (a tysiąc męczarni), jak jeden fenixs, jak samotna szczęścia godzina, jeden jak robak okuty skałą, który nigdy świata i brata nie zobaczy, który nigdy nie będzie, we dwoje.

A! wy nie wiecie co to jest *sam — jeden!* Patrzcie na nędzarza, który zgnił do połowy patrząc na wasze złoto, który sam, jeden, walczy z chorobą, głodem, zimnem, śmiercią. Ja byłem tak sam jeden, i gorzéj jeszcze, bo nie miałem nawet *serca.*

Wy nie wiecie co to jest nie mieć serca? Jest to być jak nóż lékarza, jak trucizna, jak

zwierciadło, jak bogacz, jak kobiéta zalotna, jak kamień. Jest to śmiać się a nie czuć śmiechu, płakać bez smutku, spać bez snów, budzić się ziéwaniem, jeść bez ochoty, głodzić się bez męki, zabijać bez zgryzoty, kochać i nie czuć kochania, całować a nie czuć pocałunku, jest to być zimnym szatanem, który ma zapaloną smołę w miejscu gdzie bywa serce, albo żywą jaszczurkę, albo kawał kamienia. Wiecież co to jest nie mieć serca? Przysiągłbym żeście mnie jeszcze nie zrozumieli i myślicie że sam siebie nie rozumiem! Mniejsza oto, mnie to nie obchodzi, ja nie mam serca.

Byłem więc sam jeden, a wkoło mnie, tysiące ludzi, ja tylko byłem sam jeden, jak w worku zboża sam jeden jest robak.

Wiecież com wówczas zrobił? Pewno nie! (co wy kiedy wiecie?!) Postawiłem sobie szklankę w piersiach zamiast serca i fajkę przy niéj, potém położyłem się do góry brzuchem, zadarłem nos, jak po dobrym obiedzie i zacząłem drzémać.

Przyszła do mnie kobiéta, tak piękna, tak piękna jak ona! różowa, biała, tysiące gwiazd miała w oku niebieskiém, piersi jéj, to były fa-

le wieczornego morza, ręka, to gałąź palmowa, kibić to trzcina giętka — w sercu zaś miała młynek ze skrzydeł motyla, który latał tak prędko, prędko — że go okiem dogonić było trudno i mlél, mlél. Nie powiem co mlél, bo niewiém, dosyć że mlél.

Westchnęła.

Westchnąłem.

Spójrzała w niebo.

Ja, na ziemię.

— Jak się masz Józiu?

— Bądź zdrowa — I poszła sobie — Widocznie nie miałem serca, kiedym jéj nie zatrzymał, nie padł przed nią na kolana.

Przyszedł potém przyjaciel, w głowie miał pełno jesiennego błota, w sercu dukaty, w ręku nadzieję, którą ściskał mocno tak że piszczała nieboraczka; — przyszedł i skłonił mi się.

— Dzień dobry.

— Dobranoc.

— Jak się masz?

— Bądź zdrów.

Musiał odejść także i zostałem znowu sam jeden. Przyszedł ubogi, w sercu miał łzy, w głowie rozpacz, w ręku kij, a torbę na plecach.

—Wspomóż.

—Spać mi się chce.

—Ratuj!

—A która godzina?

—Ja umrę.

—Bądź zdrów i ruszaj z Panem Bogiem.

Poszedł i ten. Widocznie nie miałem serca, leżałem sobie, piłem, latałem myślą w obłokach dymu, a byłem zawsze sam jeden, a niebo było czarne i wiatr gdérał i piorun łajał i błyskawica śmiała mi się w oczy szydersko.

Jam się nie zląkł wiatru, gromu, błyskawicy, bo nie miałem serca, tylkom się nudził okropnie, bo nudno bez niego, ziéwałem a zasnąć nie mogłem, a czasem pamięć jak latarnia złodzieja, błyskała mi w głowie chodząc przypomnieniem, że niegdyś, było nas dwoje.

Było nas dwoje!.. niegdyś, dawno! i jedno serce mieliśmy i jedno szczęście, patrzaliśmy w jedno niebo, i było nas dwoje w jedném—A! ale to dawno, dawno! Żal mi się zrobiło przeszłości i nudno było bez serca, poszukam myślałem, znajdę pewnie, kupię sobie za pieniądze i przyprawię. Tyle się rzeczy kupuje, czemuż by sobie serca kupić nie można,

zwłaszcza gdy kto ma pieniądze. A wówczas miałem jeszcze pieniądze.

Włożyłem więc surdut, wziąłem laskę, kapelusz i poszedłem serca szukać.

Zastukałem do pałacu, było tam dużo ludzi i światła i sług i koni — Wszedłem na salę.

— Co tu robisz? spytano.

— Szukam serca.

— Gdzie? na balu?

— Chcę kupić sobie, moje mi piorun spalił.

— Biédny człowiek, prosim do tańca.

— Dziękuję.

Zbliżyłem się do jednéj panny, zastukałem do jéj piersi i pokazałem worek.

— Czego chcesz, dobry człowiecze (zkąd wiedzieli że dobry?)

— Serca na przedaż.

— Serca? i zarumieniła się.

— Przeda ci piersi jeśli zechcesz, rzekł mi do ucha jakiś stary, ale serca nie, bo go niéma.

Ukłoniłem się i poszedłem do staréj matrony. Dałem jéj tabaki i pokazałem worek.

— Proszę siadać, rzekła z uśmiechem.

— Czy nie przedasz mi Asindzka serca?

— Ach! z największą chęcią, oddawna mam

go na zbyciu, nie było tylko kupca — trochę zwiędłe, ale to nic, bardzo jeszcze do ludzi.

— O! ja nie chcę zwiędłego, odpowiedziałem, upadam do nóg.

Szedłem do jakiegoś jegomości — Był wielki, rumiany — musi mieć serce co się nazywa, pomyślałem. Spytałem go o nie.

— Zgodzim się łatwo o cenę, odpowiedział, śliczne serce, jak mego stryja kocham, tylko je sobie trochę odczyścisz, bo wczoraj upadłem w błoto i odrobinę powalałem.

— Bardzo dziękuję, rzekłem uciekając, gdybym chciał błota, znalazłbym go dosyć na ulicach.

— Wyszedłem z pałacu, wszedłem do chatki.

— Otwórzcie w imie Boże!

— Bóg z wami a czego to chcecie?

— Serca matulu.

— Miała je Fruzia, ale pan Leon wziął i pojechał z niém do Warszawy, może gdzie zgubił po drodze. Dobranoc.

Z chatki pobiegłem do domku ślachcica.

— Przedajcie mi choć jedno serduszko, panie a bracie.

— Co? przedajcie! fuknął ojciec. Szlachcic

miałby frymarczyć, handlować, przedawać! precz ztąd, bo ci Mosanie, uszy poobcinam.

Uciekłem, alem się potém dowiedział, że mi tam dla tego serca nie przedali, bo się gdzieś zawalało między stare sprzęty, że go oddawna napróżno sami szukali.

Pójdę, choć do klasztoru, myślałem.

— Laudetur —

— In saecula.

— A co powiecie?

— Czy nie macie jakiego serca na przedaż?

— Wszystkie nasze odesłaliśmy do nieba, jest tylko jedno stare u Ojca Dominika, a i te zastawił gdzieś w sklepie.

— Bądźcie zdrowi.

— Zamykaj furtę za sobą.

Poszedłem odpocząć i myślałem — Oczéwiście ja tu nigdzie nie dostanę serca, chybabym je kazał sobie zrobić na urząd, ale tego pewnie nikt nie potrafi, nawet w najlepszych akademijach i pensjach. I bieda i bieda! O! lepiéj było we dwoje z jedném sercem, we dwoje jak w niebie!

Pewno się znowu ani domyślacie, jakem sobie poradził — myślałem długo, bo prawdziwie było i nad czém. Nareście poszedłem do cu-

kierni i kazałem sobie tymczasowie, ulepić dla formy serce z cukru. Będzie przynajmniéj słodkie, to mnie pocieszy — Dostałem, jakiego chciałem alem się na niém zawiódł, było nie słodkie, lecz nudne, ckliło mnie nieustannie, każdy go się we mnie domyślał, i ziewał, przewracał oczyma, uciekał.

Osobliwsza rzecz! z czego tu już je zrobić, kiedy z cukru nie dobre? Kogo się spytać — hm? doktora! doktor musi to wiedzieć, i powinien poradzić.

Zapłaciłem naprzód dukata, za niego wyłożył mi doktor, bardzo jasno, całą teorją cyrkulacij krwi, funkcij serca, nagadał o Harweju, dodał nawet wyprowadzając za drzwi, jako jeden fizyolog francuzki, fałszywie wziął serce za organ męztwa i jego wielkości odwagę przypisywał. Wyszedłem bardzo uczony, ale jak wprzódy bez serca. Ha! myślałem, już chyba je sobie ukradnę ze słoja, w anatomicznéj sali. Może być lepiéj zakonserwowane jak w spirytusie? Dobra myśl! pobiegłem, udawałem, że tylko patrzę, a doprawdy ukradłem, tak wielu robi. Przyszedłszy do domu, pełen radości, wstawiłem je w piersi i pobiegłem na miasto, popisać

się z niém, jak drudzy z nowym frakiem uszytym na kredyt.

Ożyło w piersiach — puka! Małom nie oszalał z radości. Będę więc mógł kochać znowu, znowu będzie nas dwoje, tak, jak to dawniéj bywało, a choć nie tych samych dwoje, ale dwoje. Czyż nie dosyć dla tego, kto tak długo był jeden! ach, dwoje! dwoje!!!

Wkrótce jednak jak się serce w piersiach rozruszało, poznałem co to pożyczać. Uczułem wprawdzie, że mógłbym kochać, ale jakaś stara miłość odezwała się w tém zamarynowaném sercu, drżąca, bojaźliwa, brudna. Cóż było robić? lepiéj taka niż żadna.

Pobiegłem poszukać sobie kobiéty — Ale kobiéty żadnéj pokochać nie mogłem. Licho nadało żebym się omylił i zamiast męzkiego, kobiéce wziął z anatomicznego gabinetu.

Poszedłem zaraz po drugie. Cóż znowu, myślałem, nigdyż nie znajdę takiego jak było moje pierwsze, jedno wielkie na nas dwoje? Nigdy? ani kupię, ani znajdę, ani nawet ukradnę? Sprobowałem drugiego, młode było i męzkie, ale jak zaczęło mi z początku stukać i latać po-

piersiach, tylko co mi ich nie rozbiło To dobrze myślałem, niech się tylko ustatkuje.

Trzebaż było nowego nieszczęścia! Przyprawne nie wiele warte! zgubiłem je na pierwszym balu! Kradzione nie idzie w pożytek nigdy. Więcéj mnie już nie chciano wpuścić do anatomicznéj sali, postrzeżono, żem złodziéj.

Jam się jeszcze nie zraził. Wziąłem znowu worek pieniędzy i poszedłem, po drodze spotkałem psa.

— Jak się masz Castorze?

— Zdrów, do usług pańskich. Pokręcił ogonem.

— Dokąd bieżysz?

— Czuję pieczeń.

— A pan twój gdzie?

— Idzie podobno za mną.

— Ty z nim idziesz, czy do pieczeni?

— Razem, umiem to pogodzić.

— Kochasz pana?

— Trochę mniéj niż pieczeń.

— Jesteś z nim szczęśliwy?

— Obciął mi ogon i uszy.

— Atyś go nie porzucił wierny Castorze?

— Cóż kiedy mnie karmi!

— A gdyby ci jeść nie dawał?

— Poszedłbym szukać drugiego.

— Przedaj mi swoje serce, słyszałem, że bardzo je chwalono.

— Najchętniéj — tylko że w tym momencie, serce moje obraca się z pieczenią, którą czuję, potém. Już reszty słuchać nie chciałem. Zamyśliłem się u jakiegoby stworzenia serca sobie dostać?

Zajęcze — będę tchórz; krucze, będę złodziéj; tygrysie, będę okrutnikiem; jagnięce, podobneby było do cukrowego. Pójdę do sowy— Kto wie jakie serce u niéj, sowa była dawniéj ptakiem Minerwy; póki jeszcze żyła pani Minerwa.

Czekałem do nocy, w nocy poszedłem do lasu, do starych zwalisk, stolicy sów. Zdala już ujrzałem ich tłum po świecących oczach widoczny. Siedziały w rząd, na wpół spalonym dachu i śpiewały pieśń zgliszcza i smutku.

— Jak się świat cały spali, śpiewały, my usiędziem na popiołach i na węglach upieczem sobie mnóstwo wróbli, będziemy jeść śpiewać i panować.

— Upadam do nóg, Waszych sowich Mości.

— A kto tam?

— Uczciwy człowiek, który szuka serca, bo by je chciał kupić.

— A wiele wróbli przyniosłeś?

— Żadnego; ale mam pieniądze.

— Wiele mi dasz za moje serce? spytała jedna.

— Ten worek.

— Co znaczy ten worek?

— Za niego można mieć stary spalony zamek i mnóstwo wróbli. Będziesz w zamku panią, a wróbli kopami ci dostarczą.

— Zgoda, za ten worek.

— Zgoda.

I dostałem serce sowie, ale ledwie się to stało, przemieniłem się w ponurego, w lunatyka, w strasznie mądrego, mądrego do tego stopnia, iż wiedziałem jakiego koloru były rzemyki u sandałów Juljusza Cezara, wiele ważyła perła Kleopatry, co Cicero zapłacił za stół cytrynowy. Cóż ztąd? z sandałami Cezara, perłą Kleopatry, stołem Cicerona nie mogłem być we dwoje, nie byłem rad sowiemu sercu; wyrzuciłem je, siadłem u progu domu i zacząłem płakać, bo tak byłem sam jeden na całym świecie!!

Żadne, żadne, nie mogło mego młodego serca zastąpić, żadna kobiéta mojéj pary, nas dwójga, dosztukować; — byłem sam jeden; a na niebie było czarno i północ biała, we wszystkich miastach świata po kolei; takżem tylko północ słyszał od południa do południa — Dla mnie ciągle była północ, godzina strachu, upiorów, samotności.

Nagle, jakby mi się oczy otwarły, złota myśl przyleciała do głowy — pójdę do grobu, wyjmę z niego własne serce! Nie mogło zgnić jeszcze! A! zimne już było, suche, stare — Włożyłem je do piersi, moje własne, a biło w nich jak cudze i w duchu pomyślałem że:

Serce póty jest sercem, póki młode.

Szedłem na świat, chciałem się niém znowu z jakąkolwiek kobiétą podzielić, wszystkie chciały młodego, świeżego, moje w grobie leżąc długo, stęchło i postarzało — połowę nawet podobno szczury zjadły.

O! moja luba, tam w niébie dokąd powrócim znów dwoje, dadzą nam nowe serce, które zawsze, zawsze, będzie młode, jak było nasze chwilę tylko tutaj na ziemi. O! moja luba, czekaj tam na mnie, tam będziem dwoje, dwoje

w jedném, jakeśmy byli wówczas gdyśmy z gwiazd wiązali bukiety. O moja luba, my powrócim tam kiedyś, razem, na zawsze, i będziemy mieli jedno serce, a dwie dusze sklejone, uściśnione z sobą na wieki, złączone jak dwa skrzydła motyla, jedném sercem. O! moja luba, czekaj tam na mnie — czekaj.

Ja tym czasem pójdę — pójdę na obiad, na wino, fajkę — Bo cóż robić pytam, kiedy serce tak zwiędłe i stare.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka
Szkoły Nar. Polskiéj
w Batignolles

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
125142/
6 T. 1-2